



Rafał
Jeruta



**"CO LUBIA
TYGRYSY?"**

Rafał Jeruta

„Co lubią tygrysy?”

**Wydawnictwo Morskie
Gdańsk-Bydgoszcz 1975**

Okladkę projektował
Tadeusz Ciesiulewicz

Redaktor

Alina Walczak

Redaktor techniczny

Ryszard Królikiewicz

Korekta

Maria Dmochowska

Halina Węglińska

WYDAWNICTWO MORSKIE

GDAŃSK 1975

Wydanie pierwsze.

Nakład 30 000 + 250 egz.

Ark, wyd. 8,68. Ark, druk. 5,375

Papier druk, mat. VII kl., 60 g, 70 X 100.

Oddano do składania 8 III 1975 r.

Podpisano do druku i druk ukończono w czerwcu 1975 r.

Zakłady Graficzne w Gdańsku,

ul. Świętojańska 19/23

Zam, nr 1040 0-9

Cena zł 25.–

Rozdział I

Dobili łajbą do chwiejnej kładki, która bez zbytniego powodzenia udawała przystań. W pojemniku kłębiła się drobniça: okonki, leszcze, ukleje... Ozdobę kilkogodzinnego połowu stanowiły dwa spore szczupaki i jeden przyzwoitej wielkości okoń.

Zapadał już zmierzch, pora była spóźniona, a w obozie nie było wiadać najmniejszego śladu życia.

– Co z tym Gutkiem? Utopił się czy co? – powiedział Jerzy.

– Patrzenie! Nawet drzewo na ognisko nie przygotowane. Nasza kolacja w lesie! – zawtórował mu Bolo.

– „Okonki, uklejski, ja wszystkie was rybeńki zajadać chcę!” – zanucił na melodię „Brunetki, blondynki” Edward, zwany popularnie przez przyjaciół Eda, demonstrujący przy każdej nadarzającej się okazji swoje niewyżyte talenty tenora operetkowego.

– Hej, Gutek! Guciu! Guteczku! – wrzeszczeli wszyscy trzej, wdrapując się na dość stromy w tym miejscu brzeg.

Dopiero po dobrej chwili zza jednego z dwu rozstawionych na polance namiotów ukazała się rozczochrana czupryna nad dość pyzaty obliczem z parą niebieściutkich, teraz pełnych pretensji i rozżalenia ocząt i rozległ się urażony jęk.

– Czego się tak drzecie? Już mi się coś właśnie kojarzyło, już ją prawie miałem...

– Ją? Miałeś? Kogo? – pokrzykiwali trzej przybyli.

– Nie „kogo”, a „co”, kretyni. Odpowiedź! Odpowiedź na pytanie „Co lubią tygrysy?”

– Jeść! – krzyknął Bolo.

– Świeże rybki na kolację! – podśpiewywał Eda.

– Ach, ty krzyżówkowy intelektualisto! – skwitował sprawę Jerzy, krzywiąc z niesmakiem swój nadto rozrosły organ powonienia. I demonstracyjnie odwracając się do Gutka plecami, zaczął pracowicie ściągać drewno na obozowe ognisko.

Gutek, wciąż jeszcze coś tam mruczając pod nosem, poszedł w jego ślady. Pozostali zajęli się innymi obozowymi czynnościami. Przygotowania do kolacji szły sprawnie i szybko. Ba, mieli wprawę! Ileż to już lat? Cztery, nie, to już piąty z kolei sezon mija od chwili, gdy zniechęceni do dotychczasowych form letniego wypoczynku – różnych wczasów FWP – postanowili rozłożyć się obozem nad jeziorem w czysto męskim zespole „follblutów”, jak sami siebie zwykli określać. Jeden z nich wyszukał to miejsce. Okazało się znakomite. Mała zatoczka o piaszczystym dnie, ukryta wśród szuwarów, dość głęboko wrzynająca się w tym miejscu w ląd. Brzeg wysoki, suchy, z dość sporą śródleśną polanką, znakomicie nadającą się do rozbicia kilku namiotów. A zaraz za polanką – gęsty, zbity las, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, ale szczęśliwie niespełna pół kilometra od polany przecięty był niezbyt uczęszczaną, ale zupełnie przyzwoicie utrzymaną drogą. Było gdzie pływać, było gdzie łowić ryby, bo jezioro poza ścianą szuwarów rozlewało się szeroko i w dodatku łączyło z całym szeregiem jezior. W drugim sezonie Jerzy przyholował na to jezioro swoją żaglówkę, starą „Omegę”. Od tej pory zimowała u znajomego rybaka i Jerzy na początku sezonu, wiosną, doprowadzał ją zawsze do połysku. Czasem – jak i w tym roku – wypożyczali sobie dodatkowo łajbę. Bo grono czterech przyjaciół-założycieli stale się powiększało. Coraz więcej było amatorów spędzania urlopu w nieco wprawdzie prymitywnych obozowych warunkach, ale za to bez tłumy

wczasowiczów, razem z ich ryczącymi tranzystorami, bez „bab” i bez płynących stąd kłopotów i problemów. Może właśnie ów prymityw im, ludziom miasta, wysoko wyspecjalizowanym pracownikom naukowym, najbardziej przypadł do gustu?

W każdym razie letnie obozowisko cieszyło się dobrą sławą, ba, nawet własną legendą. Nie każdego „folbluci” przyjmowali do swego grona. Musiał uprzednio uzyskać aprobatę wszystkich uczestników, co nie było rzeczą łatwą, inaczej nie bywał dopuszczany. Jedyną bowiem, na dobrą sprawę, wspólną cechą „folblutów” było głębokie przekonanie o słuszności własnego stylu życia. Każda zatem kandydatura była długo i docieklewie rozważana, dyskutowaną, osoba ewentualnego kandydata poddawana różnym przemyślnym testom. Nawiasem mówiąc, owe testy znakomicie rozpraszały nudę towarzyskich zimowych spotkań i dostarczały nieraz wiele uciechy... Toteż niektórzy przeciągali przez zęby ową instytucję męskich rekolekcji. A „folbluci” zazdrośnie strzegli tajemnicy miejsca swego letniego pobytu.

Przyjeżdżali samochodami, które garażowali pod wiatą u znajomego leśnika. W tym roku stał pod wiatą tylko jeden: Gutka. Ale był dopiero początek obozu.

– Kiedy ten Jacek się wreszcie przytoczy? – pytał właśnie Eda, najznakomitszy oprawiacz ryb, z godną podziwu wprawą wydłubując im kolejno oczy i wycinając skrzela.

– Ba, chyba nie tak prędko. Z tego miasteczka, gdzie dzisiaj ma prelekcję, nie jest wcale tak blisko – odpowiedział znany z rozsądku Jerzy.

– Co to dla Jacka, sławnego pożeracza kilometrów – kpił Bolo. – Mówię wam, że on kiedyś kark skręci, bo kierowca z niego, jak wszyscy wiecie, nie przymierzając taki jak z koziej dupy trąba.

– No, najlepszy nie jest, to prawda – mruknął Guccio. – Ale już się podciągnął. Pamiętacie, jak przywiózł tego swojego mercedesa?

- At, szkoda gadać.
- Wszystko by było dobrze, gdyby tak nie błagował. Znieść tego nie mogę, gdy zaczyna bredzić o swoich samochodowych przewagach – powiedział Eda.
- I mieszać wszystkich innych z błotem – dorzucił Guccio.
- I wyzywać od prowincjonalnych neptków – uzupełnił Bolo.
- Dajcie spokój – odezwał się Jerzy. – Nie każdy może być asem w każdej dziedzinie. Z reguły nie jest. A Jacek w każdym razie matematykiem jest super dobrym.
- No, no, nie po to tu jesteśmy, żeby znowu gadać o fachowych sprawach. Mamy tego dość, powyżej dziurek w nosie, przez cały okrągły rok – mruknął po swojemu Guccio. – Lepiej byście mi powiedzieli, co właściwie lubią tygrysy?

Odpowiedzią był chórally rechot. Bo też Guccio stale ich zadręczał pytaniami z krzyżówek, na które nie mógł sam znaleźć odpowiedzi. Kpili też z niego na potęgę, ale wcale nie ostudzało to jego zapału. Kiedy dorwał się do jakiejś nowej krzyżówki, mogło się walić i palić, na nic nie zwracał uwagi.

Zjedli kolację, powoli nastrój stawał się coraz bardziej senny, konwersacja monosylabiczna. Nie przyzwyczaili się jeszcze do zmiany warunków i klimatu. Byli po prostu zmęczeni słońcem, ruchem na wolnym powietrzu, obozowymi zajęciami. Ognisko dogasało, nikomu nie chciało się dorzucać gałęzi. Zaleli je w końcu wodą i nie czekając dłużej na spóźniającego się Jacka, poszli spać do swoich namiotów.

Jacek tego dnia zresztą w ogóle nie przyjechał. Natomiast następnego dnia...

Następnego dnia tuż przed zmierzchem zjawił się na polanie Karol. Ba, Karol, jak Karol. Miał przyjechać, to i przyjechał. Jego przyjazd nikogo nie zaskoczył ani nie zdziwił. Ale kogo przywłókł ze sobą? Ano,

swoją nowo poślubioną żonkę, zwaną popularnie „Wesołą Zulką”, która notabene była uprzednio żoną Gutka. Rzuciła go przed trzema laty dla jakiegoś fircyka, a ten ją potem szybciućko spławił. Jakiś czas wiodła bujne, wesołe życie, ale widać sprzykrzyło jej się to w końcu, bo wiosną tego roku wyszła za Karola. „Znalazła sobie drugiego jelenia” – jak komentowali to przyjaciele, zresztą nie bez ledwie wyczuwalnej nutki zawści, bo Zulka była co się zowie atrakcyjną babką, miała w sobie to coś, co tak bardzo pociąga i nęci mężczyzn. Z drugiej strony, powodowani męską solidarnością, współczuli Karolowi, bo było rzeczą jasną jak słońce na niebie, że jego głowa wzbogaci się o okazałą kolekcję rogów. Sami by chętnie do tego się przyczynili. I tu już męska solidarność nie miała nic do gadania.

A więc tuż przed zmierzchem wyłonił się z lasu, już pogrążającego się w ciemność, Karol, obładowany potężnym plecakiem, a za nim kocim kroczkiem, jakby ukradkiem, Wesoła Zulka.

Wszyscy skamienieli. Było to bowiem pierwsze pogwałcenie najświętszych praw obozu. I nic nawet nikomu nie pisał wcześniej! Po prostu zakpił z nich sobie, zrobił „balonów”, no bo co w takiej sytuacji może począć dżentelmen! Szkoda gadać, ten Karol zwariował widać ze szczeniem i z nich też chce zrobić durniów.

Nieprzyjazna, wręcz, rzecz można, wroga cisza panowała, gdy tamtych dwoje zbliżało się do namiotów. Gutkowi oczy zrobiły się najpierw jak dwa błękitne talerzyki, potem ściągnęły w wążutkie szparki. Koledzy posądzali go o niewygasły wciąż sentyment do byłej małżonki, ale nie wiadomo jak było w rzeczywistości. Na pozór naiwny i wzruszająco czasem – mówiąc delikatnie – prostoduszny, Guccio nie zdradził się w tej mierze przed nikim. Nikomu nigdy ani słowa na ten temat nie powiedział. Oczywiście nie stanowiło to bynajmniej hamulca dla języków kochanych kolegów. Wręcz przeciwnie. Smakowite komentarze bardzo uprzyjemniały codzienne szare życie zapracowanych naukowców,

dostarczając im tak potrzebnej dla przemęczonych koncepcyjnym myśleniem mózgownic rozrywki.

Gucio więc – jak się powiedziało – zareagował najsilniej, ale nie puścił pary z ust. Jerzy, sensat z usposobienia, miał taką minę, jakby przypadkiem nastąpił na ogon żmii. Eda, choć mu się Zulka bardzo podobała, zdawał sobie sprawę, jak niewiele ma u niej szans. Takie rzeczy czasami się wie... Nadął się więc i zasyczał wiązką sprośnych przekleństw pod adresem przybyłych, ale tak cicho, że słyszalnych jedynie uszom kolegów. Najwięcej opanowania i właściwie, można powiedzieć, radości, tak, radości, starannie oczywiście maskowanej, wykazał Bolo. Zulka już od dawna spoglądała na niego nader łaskawie, może więc właśnie teraz, na nieskrępowanym łonie natury, nadarzy się okazja bliższego kontaktu? Takiego całkiem bliskiego kontaktu?

– Nie gniewajcie się na Karola! – prosiła Zula zakładając ręce takim gestem na piersiach, że nie sposób było nie zauważyć ich jakże ponętne-go kształtu. – To ja i tylko ja jestem winna. Ja wiem, że wy tutaj bab nie lubicie, ale skłonna jestem was jakoś przekupić, myć garnki, gotować, bo ja wiem co robić! To nasze pierwsze z Karolem wakacje, jakże je mamy spędzać osobno, a on uparł się jak dziki: nad jezioro i nad jezioro! Życ bez was nie może po prostu. No i sami widzicie, że musiałam przyjechać! – łasiła się Zula, a łasiła się tak ładnie, że powoli lód na twarzach „folblutów” tajał.

Zresztą cóż mieli zrobić? Gdyby Karol prosił o pozwolenie przywiezienia z sobą Zuli, a, to inna sprawa. Nikt z nich by oczywiście nie wyraził na to zgody. Ale tak postawieni zostali w obliczu faktów dokonanych. A fakty przecież są, jakie są – jak zwykł mawiać filozoficznie Jerzy. Więc po prostu nie ma innej rady, jak tylko się z nimi pogodzić.

Co uczynili.

Wieczór powoli stawał się coraz weselszy. Zula wniosła z sobą pewne

napięcie atmosfery, ale zarazem przyjemnie potrafiła oddziaływać na poczucie męskiej rycerskości. Tak że już po niedługim czasie ten i ów zaczął się zastanawiać nad względnym pożytkiem „prawa o kobietach”, będącego w mocy na ich corocznych obozach. Dobrze jest bowiem – ani słowa – patrzeć na takie coś zgrabnego, o wypukłościach porozmieszczanych jak należy i ładnym pyszczku. Patrzeć, jak odrzuca grzywę jasnych włosów i zgrabnie przyrządza kanapki. Cienkie, posmarowane jak trzeba, obłożone należycie przysmaczkami...

Nawet Gutek w końcu trochę się rozczmuchał i zaatakował nowo przybyłych, zadając im swoje sakramentalne już pytanie: – Co lubią tygrysy?

– Przerzuciłeś się ze swojej ukochanej elektroniki na technologię żywienia dzikich zwierząt? – niewinnie zapytała Zulka.

– Stary, a na co ci potrzebna podobna informacja? No, doprawdy... – łagodził Karol.

– Do krzyżówki ze „Sztandaru Młodych” – lakonicznie stwierdził Gutek. – Całą rozwiązałem, a na tym pytaniu się zahaczyłem.

– Świeże mięso? – rzucił, wykazując dobrą wolę Karol.

– Gdzie tam! I ja tak początkowo myślałem. Ale to krótki wyraz. Na cztery litery.

– Na cztery litery! – podśpiewywał Eda. – No, panowie, cóż to może być na cztery litery? Dla Gucia istotne! Nie lekceważyć!

Zbiorowy chichot narastał. Śmiała się Zulka, śmiał Bolo, chichotał Karol, nawet sensat Jerzy rechotał wesoło. Tylko Eda, mistrz ceremonii, celebrował z powagą swoją rolę, wymyślając coraz bzdurniejsze wyrazy na cztery litery, w czym dzielnie sekundowali mu pozostali. Gutek sam po chwili przyłączył się do tego turnieju nonsensownych czteroliterowców, ale później, nie zakłócając zabawy przyjaciół, zapadł w głęboką zadumę, szpareczkami swoich niebieściutkich oczek obserwując

pełganie płomieni po żywicznym drewnie. Czy myślał o problemie „co lubią tygrysy?” czy o czymś zgoła odmiennym – nie wiadomo.

Wtedy właśnie, powiększając wesoły rozgardiasz, pojawił się przy obozowym ognisku Jacek.

– Ty stary byku! – wołał Eda. – Wczoraj miałeś już być!

– Czekaliśmy, aż nam się sprzykrzyło, i poszliśmy spać.

– Rozwaliłeś wóz? Słuchacze tak cię pokochali, że nie chcieli puścić? Żona cię na klucz zamknęła? – dopytywano się zewsząd. W tym hałasie, jaki wszyscy czynili, odpowiedź Jacka została nie zauważona. Zresztą tak naprawdę nikt nie był jej ciekawy. Ot, jeszcze jedna zabawa, jeszcze jeden pretekst, by wbić przyjacielską szpilkę pod piąte zebro kolegi.

– „Jeść mi dajcie, jeść mi dajcie i wesoło zaśpiewajcie” – zaciągnął przyjemnym barytonem na melodię „Sokołów” Jacek, puszczając znaczące oko do Edy.

I Eda, mimo chóralnego śmiechu, bohatercko podjął wezwanie i zaprodukował się w swoim popisowym numerze: w arii z „Aidy”.

Długo tego dnia siedzieli przy ognisku. A rano kąpiel, wyprawa żaglówką, łowienie ryb, pichcenie skromnych posiłków... Tak upływały im dni tradycyjnych męskich „rekolekcji”, które wprawdzie w tym roku nie były czysto męskie, ale przynajmniej jedna osoba wydawała się być z tego całkiem zadowolona: Bolo. Jego szanse u Zulki wyraźnie z dnia na dzień wzrastały.

Nie wszystkim się to podobało. Nie mówiąc już o młodym małżonku, Karolu, na powstałą sytuację swoim okazałym nosem wyraźnie kręcił Jerzy. No i Gutek. Nie czynił bynajmniej żadnych uwag, nie puszczał pary z ust, wszelkie podstępnie kierowane na ten temat rozmowy kwitował wzruszeniem ramion i niezbyt uprzejmymi odburknięciami, ale przyjaciele i tak wiedzieli, co myśleć o nagle objawionej pasji do rybołówstwa, pasji będącej często w uprzednich sezonach celem jego kpin. Bo

po prawdzie lubił ryby tylko na talerzu; subtelna rozkosz wpatrywania się całymi godzinami w tańczący na wodzie sęp był mu raczej zupełnie obca.

Teraz natomiast chętnie wypływał na jezioro lub jeszcze chętniej siedział samotnie brzegiem na jakieś jemu tylko znane miejsce, gdzie „ryba najlepiej bierze”. Nie było tego widać po plonie jego połowów, ale taktownie wstrzymywali się od komentarzy, przynajmniej w jego obecności, bo sami...

– Ta dziewczyna całkiem nam wywraca normalny porządek. Zauważyłeś, jaki Gutek osowiały? – mówił Jerzy do Edy.

– E, z niego zawsze był kawał dziwaka. Inna sprawa, że ta Zulka potrzebna nam tutaj jak zeszłoroczny śnieg. Tylko patrzeć, jak się Karol z Bolem wezmą za łby.

– Będzie Karol miał za swoje. Po co przywoził taką babkę do męskiej menażerii?

– No, Bolo trochę za wiele sobie pozwala. Chyba przyznasz...

– Ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni... Ty byś też sobie pozwalał, gdybyś miał u niej szansę. Nie zgrywaj się, Eda, na pierwszego cnotliwego!

– Zawsze musi z ciebie wyleźć złośliwiec. Wcale się nie zgrywam. Wnerwią mnie tylko ta sytuacja. Chłopaki nie te same, tylko się oglądają za jej okrągłościami, a Zuleczce w to graj... E, nie to samo życie, co zawsze bywało!

– Ano nie to samo – zgodził się melancholijnie Jerzy.

Jakkolwiek by jednak – szczerze czy nieszczerze – psioczyli na to czy na owo, musieli przyznać, że taka pogoda jeszcze nigdy, w żadnym sezonie, im się nie przytrafiła. Niebo bez jednej chmurki, sam błękit, woda nagrzana, pływać można godzinami, wieczory z umiarkowanym chłodem, nawet komary nie dokuczają... No słowem: pogoda-bomba. Nic dodać, nic ująć. Była akurat sobota. Już od dwu dni to ten, to ów

napomykał, że warto by było zrobić „bums” – tak nazywali tradycyjne wieczorne picie na dużą skalę przy blasku obozowego ogniska. Dzisiaj Bolo z Edą przeforsowali ostatecznie ten projekt, wszyscy inni – nawet Gutek, zwykle raczej odnoszący się obojętnie do podobnych akcji – solidarnie ich poparli.

Zaraz po wczesnym tym razem obiedzie Gutek z Jackiem – jako naj-słabsi w pięknej sztuce rybołówstwa – zostali wyprawieni do pobliskiego miasteczka w celu zakupienia za składkowe pieniądze większej ilości alkoholu. No i czegoś „na ząb”, bo zapasy żywności też im się powoli kończyły.

Wyruszyli samochodem Gutka, który w żaden sposób nie chciał się zgodzić na kierowcę w osobie Jacka. Tak więc kremowe volvo przywiezione pół roku temu ze Szwecji, gdzie Jacek czas jakiś przebywał zaproszony przez jedną, z uczelni do wygłoszenia cyklu wykładów, zostało pod wiatą, a wielce niezadowolony Jacek zmuszony był umieścić się obok Gucia na przednim siedzeniu sfatygowanego renaulta. Gutek był kierowcą z talentem, obdarzonym tak zwaną bożą iskrą, ale o swój samochód nie zwykł zbytnio dbać. „Samochód jest po to, żeby nim jeździć, a nie żeby pod nim bez końca leżeć” – twierdził i beztrząsco eksploatował swojego renaulta ku dyskretnemu, niemniej zasadniczemu oburzeniu swoich przyjaciół, w większości posiadaczy samochodów, i to dość dobrych marek. Wszyscy oni przecież w swoim czasie wyjeżdżali na różne stypendia i wykłady za granicę, no a samochód był po prostu „artykułem pierwszej potrzeby” w ich pracowitym życiu.

Po wyjeździe Gutka z Jackiem reszta obozowiczów udała się na połów, mający wzbogacić menu „bumsowej” kolacji, a Eda, strojąc tajemnicze miny, zniknęła w bliżej nie znanym kierunku i celu.

Gdy rybacy powrócili z połowu, okazało się, że cel wyprawy Edy, pięknie wypatroszony, leżał już przygotowany do smażenia, czyniąc

despekt drobnej płoci i mało okazałym okonkom. Był to bowiem pokazowy, tłusty węgorz, nabyty od rybaków z sąsiedniej spółdzielni rybackiej, u których Eda, sam zawołany rybak, miał „chody”.

Wieczór zatem zapowiadał się bogato i wesoło. Zulka zakrzętnęła się wokół wiktuałów przywiezionych przez Gutka i Jacka, Eda ze śpiewem na ustach skrobał i patroszył jeziorną drobnicę, inni pracownicy ścigali zapas drzewa na wieczorne ognisko. Pokażna kolekcja butelek chłodziła się w jeziorze, gwarantując niejako pomyślne na ten wieczór horoskopy.

Istotnie, wieczór był wesoły. Tak wesoły, iż nie było potem ani jednej osoby, która by była w stanie odtworzyć go chronologicznie, szczególnie, co okazało się niestety, w świetle późniejszych wypadków, rzeczą zgoła niezbędną.

Rozdział II

Ranek wstał kryształowo pogodny, taki sam kropka w kropkę jak wszystkie, które spędzili tego roku nad jeziorem. A jednak okazał się od pozostałych diametralnie różny...

Słońce było już wysoko na niebie, gdy pierwszy wyczołgał się ze swego namiotu Eda. Głowa łupała go niemiłosiernie i nie dziw, zważywszy ilość alkoholu, jaką wlał w siebie poprzedniego wieczora i nocy. Niemniej nie był skłonny uznać swego stanu za naturalną i sprawiedliwą konsekwencję picia, słowem – ocenić go obiektywnie. Bardziej mu odpowiadała postawa niewinnie i ponad miarę doświadczonego cierpieniem człowieka.

Oglądając swoje brudne nogi, z wysiłkiem godnym lepszej sprawy zastanawiał się, gdzie, u Boga Ojca, tak się mógł ubłocić?! Nie znajdując na to w obolałej głowie odpowiedzi, doszedł jednak do logicznego wniosku, iż wymagają bezzwłocznego umycia. Pojękując więc żałośnie (przy okazji stwierdził, że głosik też ma taki więcej zachrypnięty... z przepicia czy ze śpiwu po nocy?...), powłókł się do wody.

Orzeźwiła go trochę, toteż postanowił w dobroci serca innym też nie żałować tego leku na kaca. Zabrał się więc do zbożnej czynności budzenia przyjaciół. Najbliżej stał namiot Karola. Eda już się pochylił, by pociągnąć za wystającą z namiotu nogę, gdy coś go tknęło i przygiąwszy się jeszcze bardziej (choć w głowie łupnęło ostrzegawczo), zajrzał w głąb. No, naturalnie! Zuli nie było!

Przez chwilę pieścił się myślą, jaki to wrzask i skandal wybuchnie, bo przeczuwał, z kim na wspólnym łożu dzisiejszej nocy spoczęła małżonka Karola – ale ostatecznie, choć z wyraźną przykrością, zrezygnował jednak z natychmiastowego obudzenia Karola i wycofał się bezszmerowo. Chwilę stał medytując po czym chcąc sprawdzić, czy jego podejrzenia są słuszne, ostrożnie zajrzał do namiotu, który zajmowali wspólnie Bolo z Gutkiem. No proszę, oczywiście! Gutka nie było, a na jego miejscu rozpierała się w całej swojej niczym nie przysłoniętej krasie – Zula.

– No, no – zdołał tylko wymruczeć pod nosem – ale z niej niewąska suka! – Bo mimo podejrzeń porządnie go to zaszokowało. Takie historie na ich obozie! No, tego już trochę za wiele! Ładny pasztet z tego może wyniknąć! Karol... Gutek.. Niech diabli porwą baby, szczególnie w rodzaju Zuli! Ale co tu robić? Kiedy się wszyscy o tym dowiedzą, chłopaki na pewno wezmą się za łby, dobrą atmosferę na obozie szlag trafi. Żeby tylko to! Ale jak to się odbije na stosunkach towarzyskich w ich paczce? Nie ma nawet co myśleć, wiadomo jak... A gdyby Zulkę obudzić? Wszyscy jeszcze śpią. Nikt by może nie doszedł prawdy... Całe towarzystwo było porządnie zaprute... A Zulka ani Bolo we własnym interesie pary z ust nie puszcza. Tak, to jest myśl!

Chwilę jeszcze z mieszaniną odrazy i lubości popatrzył na bujne, naprawdę warte grzechu wypukłości Zulki, po czym delikatnie potrząsnął ją za ramię. Otworzyła błędne oczy, rozejrzała się i coś sobie widać przypomniała, bo podniosła się gwałtownie, naciągając na siebie koc. Eda, patrząc z ironią, wycedził przez zęby:

– Wracaj do siebie. Karol jeszcze śpi. Wszyscy inni też.

– Eda! No, zapisałam się! Nie powiesz nikomu? – i jej oczy stały się wymownie proszące i... no tak, Eda się nie mylił... pełne jakowejś obietnicy. Aż go zatkało, ale odpowiedział chłodno.

– Nie jestem małomiasteczkową kumochą, żeby klepać. No, zbieraj

się stąd i idź do siebie. – I wycofał się z godnością.

Po chwili, niby to patrząc na jezioro, dostrzegł, jak przemknęła do swojego namiotu.

– No to i spokój! – zamruczał. Ale trochę mu było żal sensacji. Jednak... nie, nie ma rady, wszystko musi być zachowane w najgłębszej tajemnicy. Nikt o tym nie ma prawa teraz wiedzieć. No, może kiedyś, później...

Nie chciało mu się już budzić przyjaciół. Kac zagarnął go znowu w swoje posiadanie. Czuł się piekielnie źle, ułożył się więc w cieniu i usiłował zasnąć, ale słońce coraz wyżej się wznoszące grzało już dokuczliwie i wyganiało z namiotów pozostałe ofiary wczorajszego pijaństwa. Tylko Gutka nie było wśród nich.

Co się z nim mogło stać? – myślał z niejakim trudem Eda, bo myśle nie w takim stanie nie należy w ogóle do rzeczy łatwych. – Czyżby i on wiedział, co się stało dzisiejszej nocy? Bardzo możliwe, bo to przecież i jego namiot. Mógł wrócić później i przyłapać tę parkę „in flagranti”. Ale ten Bolo durny... Mógł przecież jakoś inaczej. Mało to okazji na obozie? Ale tak... Swoją drogą nawet jeżeli Gutek ich przyłapał, co go to może teraz obchodzić? Przecież i tak puściła go w trąbę, i to już dawno. Powinien od wieków mieć całą tę hecę w nosie...

Inni także po pewnym czasie zauważyli nieobecność Gutka. Ale tłumaczyli sobie, że taki dziwak, że pewnie – co się już przedtem czasem zdarzało – poszedł spać do lasu. Nawet Bolo usiłował huknąć na niego, ale ani nie odpowiedział, ani się nie zjawił.

– Widać mocno śpi po wczorajszym – orzekł Jerzy. I przestali się nim przejmować.

Niemrawo wszystko dziś szło w obozie. Postękiwali, pojękiwali, przeklinali nadmierne zaopatrzenie wczorajszego „bumsu” w napoje wyskokowe. W końcu większością głosów zdecydowali, że na kaca doskonale powinna zrobić kąpiel w jeziorze. Tylko Jacek nie wykazał

entuzjazmu zaplanowaną kąpielą i zgnuśniały, razem z równie źle się czującą Zulką, pozostał na brzegu.

Pozostali nieco opieszale, ale w końcu wypłynęli na jezioro. Pierwszy Eda piękną krytą żabką. I właśnie on, wracając już do brzegu, zauważył w szuwarach jakiś podejrzany kształt.

Wszystko odbyło się właściwie w ciszy, tylko Zulka parę razy załkała, powtarzając, że przecież on, Gutek, taki świetny pływak...

Było rzeczą jasną i oczywistą, choć niemal niemożliwą do uwierzenia, że nic już tu się zrobić nie da. Gutek był martwy. Utopił się prawdopodobnie w czasie nocnej, w „pijanym widzie” odbywanej kąpeli. Ale jak to się stało, że nie wzywał pomocy? Że nikt nic nie zauważył? Serce? Miał zdrowe. Może nagły skurcz?

Leżał najoczywściej martwy, pyzata twarz przestała być dobroduszną, wykrzywił ją grymas, błękitne, szeroko otwarte oczy, z których tak często sobie pokpiwali, były wytrzeszczone i martwo patrzyły prosto w słoneczny blask.

– Coś z tym trzeba zrobić – przełamał w końcu milczenie Jerzy.

– Chryste Panie! Kto zawiadomi jego matkę? – jęknął Eda.

– Trzeba go jakoś przewieźć, dobrze że są samochody – powiedział Jacek.

– Przewieźć? Nie da rady. Najpierw musimy zawiadomić milicję.

– Po co? Przecież się utopił? – słabo powiedział Bolo, któremu milicja kojarzyła się automatycznie z płaceniem mandatów.

– Nie gadaj bzdur! – ofuknął go Jerzy. – Trzeba to załatwić jak najprędzej. Przecież nie może tak leżeć tutaj w słońcu. Jacek, ty bierz wóz, masz najszybszy, i jedź na posterunek, zawiadom kogo trzeba. A tymczasem przenieśmy go chociaż w cień.

– O rany, trzeba będzie się tłumaczyć jak na spowiedzi z tego, co

wczoraj żeśmy narozrabiali! – ponuro zauważył Bolo.

– Ano trzeba będzie. Nie ma rady – powiedział Eda. – Gorzej Gutkowi, chociaż on się przed nikim już nie musi tłumaczyć... Pojadę z Jackiem, nie wytrzymam tutaj tak siedzieć i patrzeć – dodał i pogonił za odchodzącym już przyjacielem.

Inni też czuli, że nie mogą „tak siedzieć i patrzeć”, ale co można było innego w tej sytuacji zrobić? Karol uspokajał wciąż łkającą Zulę.

– Teraz ryczy. Krokodyle łyż! – powiedział mściwie Jerzy. – A życie to nieźle chłopakowi zabagniało.

– Daj spokój! Stare dzieje... – Bolo był wyraźnie przygnębiony, le-dwie otwierał usta, bardziej szepcząc niż mówiąc.

Nie czekali długo. Wkrótce z bocznej ścieżki wypadł rycząc motocykl, zeskoczyło z niego dwóch mundurowych milicjantów. Starszy szarżą, sierżant, służbowo przyłożył palec do daszka. Powiedział urzędowym tonem:

– Gdzie jest denat?

Poprowadzili go do miejsca, gdzie wciąż wpatrując się martwymi oczami w błękit pogodnego nieba, leżał Gutek.

Teraz szybko potoczyły się pytania i odpowiedzi. Imię, nazwisko denata, gdzie zatrudniony, czy żonaty, adres rodziny itd. Potem kolejno ich nazwiska, adresy... Młodszy milicjant z coraz większym zdumieniem patrzył na tych golasów legitymujących się tytułami naukowymi. Ale sierżant, nie okazując żadnego wrażenia, dalej prowadził przesłuchanie.

– Więc obywatele nie wiedzą, jak to się mogło stać? Aha, za dużo obywatele wypili. I kąpali się potem. Znaczy się w alkoholowym zamroczeniu. A obywatele nie wiedzą, że tego robić nie wolno? Z takim wykształceniem powinni wiedzieć. Młodzież na naszej ludowej wyższej

uczelnia uczyć, a przepisów nie przestrzegają. Nic dziwnego, że potem nieszczęście. Denat dobrze pływał? Aha. Dobry pływak. I serce miał silne? Ale wypił, jak obywatele mówią, dużo? Tak? Jak dużo? Niewąsko... No, zobaczmy. Wszystko się wyjaśni. Karetka już powinna czekać przy drodze. Oczywiście zabieramy ciało. A jak obywatele myśleli? Dochodzenie musi iść swoim trybem. Urzędowo. Sekcja czy będzie? A jak inaczej? Co z tego, że się utopił? Wiadomo. Wypadek. Więc sekcja musowo się odbędzie. Tak, zawiadomimy. Jak szybko? No, to nie od nas zależy. Ale na pewno nie będzie trwało długo. W taką pogodę to się trzeba spieszyć. Tak, potem wydamy ciało. Czy obywatele zawiadomią rodzinę, czy my to mamy zrobić? No, jasne. Tak, lepiej żeby obywatele. Delikatniej będzie, bo to dla matki straszne. Poza tym... aha, poza tym prosimy o pozostawanie na tym samym miejscu. Nie, nikomu nie wolno opuszczać obozu. Takie zarządzenie. Jutro? Możliwie, że już jutro będzie wiadomo. Damy znać. I nikomu nie radzimy się wydalać. Nazwiska mamy. A porządek musi być. Przepisy należy szanować, bo jak ktoś nie szanuje, to wiadomo, nieszczęście z tego gotowe. Ot, jak to, co się teraz przytrafiło denatowi.

– Ależ piła! – westchnął Eda, gdy sierżant ze swoim podopiecznym opuścili wreszcie teren obozu, zabierając ze sobą ciało Gutka.

– Minął się z powołaniem. Na belfra w szkółce by pasował – zauważył zjadliwie Jerzy.

– Ano robi, co do niego należy. Nie zazdroszczę mu – skwitował Jacek.

Popołudnie wlokło się wolno, chodzili struci, nie wiedząc co z sobą zrobić. Nie mogli tak do końca uwierzyć w to, co ponad wszelką wątpliwość jednak się wydarzyło.

Eda z niejaką pretensją patrzył na wciąż kryształowo błękitne niebo. Denerwowało go. Ten pogodny sierpniowy dzień był w zbytnej, a kontrastowej opozycji do tego, co czuł. Zatoczka, jezioro, szuwały (tu się

mimo woli wzdrygnął) tak dobrze znajome, przez tyle lat wyznaczające ramy beztraskiej wakacyjnej egzystencji – jakby zmieniły nagle swój charakter. Wiedział, że odtąd kojarzyć się będą nie z tymi dobrymi chwilami, których tyle tutaj przeżyli, ale z dzisiejszym dniem. Nigdy już tutaj nie przyjadą. To więcej niż pewne. Koniec z „męskimi rekolekcjami” w tym miejscu. Kto wie czy w ogóle nie koniec z ich obozami wakacyjnymi?

Zapewne wszyscy w przybliżeniu odczuwali to samo, bo snuli się po polance markotni, bez celu. W końcu Bolo, nie mogąc już wytrzymać tej coraz cięższej atmosfery, zaproponował:

– Wiecie co, panowie? Nic, tylko się upić. To jedyny ratunek.

Nikt nie zaoponował. Ale jak różne było to picie od wczorajszego! Prawdziwa stypa, jak to określił Jerzy. Edzie bezwstydnie łyzy ciekły po policzkach i nawet się z tym zbyt nie krył. Innym mało do tego brakowało. Wspominali, jakim dobrym kolegą i przyjacielem był ten Gutek. I jak mu nieraz po głupiemu dokuczali. I że nie wyglądał na intelektualistę, ale łeb to on, ho! ho! miał! Wysoko by pewnie zaszedł w tej swojej ukochanej elektronice. A tak co? Pozycja horyzontalna i robaczki. Zastrane takie życie. W ogóle wszystko zastrane, jak stwierdził Eda. Co z tego, że się pracuje jak wół świątek czy piątek, nikogo to nie obchodzi, pisz, publikuj, czytaj, ciągnij tę cholerną pracę dydaktyczną pod ścisłą kontrolą durniów z administracji – a w końcu co? Ani się człowiek obejrzy jak zramoleje. Fiuut! i po życiu. A starość, wiadomo, nie radość. Najgorsze to, że człowiek może w podeszłych latach stać się taki sam kropka w kropkę jak „starsi koledzy naukowcy”. Godne to, nadęte, a nie daj Bóg, jak naukowo zacofane. Nie sposób takiemu wytłumaczyć cokolwiek, a najgorzej kiedy się połapie, że wyniki prowadzonej pracy mogą podważyć to, do czego sam w życiu doszedł. Rozżalili się i w końcu nie wiadomo było, nad czym losem tak boleją: swoim czy Gutka?

– Bo jemu to teraz już wsio rawno, a człowiek się dalej będzie męczył – filozoficznie podsumował ten wątek rozważań Jerzy.

– Ale przeżyliśmy dzień, że gorszego być nie może! – powiedział melancholijnie Eda, gdy pokazało się dno ostatniej już butelki.

I nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się pomylił. Bo następnego dnia...

Rozdział III

Następnego dnia koło południa zjawił się na polanie nad jeziorem sierżant w eskorcie swojego podopiecznego szeregowca. Bardzo oficjalnie kazał zebrać się wszystkim obozowiczom, po czym nie mniej oficjalnie zakomunikował zebrany oschłym tonem:

– Od tej chwili proszę się nie wydalać poza ten teren. Wszyscy jesteście zatrzymani do dyspozycji władz śledczych. Wasz kolega Gustaw Norski został zamordowany.

Chwilę trwała martwa cisza. W, osłupieniu patrzyli na milicjantów, ogłuszeni tą wiadomością podobną gromowi z jasnego nieba. Dopiero potem jakby się piekło rozpętało.

– To nieprawda! Fałsz! To niemożliwe! – krzyczał Bolo.

– Jakaś fatalna pomyłka. Wszystko się musi wyjaśnić! Taka horrendalna bzdura! – mówił Jerzy.

– Bezprawie! I to nas, nas o to posądzacie?! – Edzie aż się głos zamywał ze zdenerwowania.

Zula głośno łkała, powiększając jeszcze panujące zamieszanie.

– Proszę się uspokoić! Proszę o spokój – wołał sierżant.

– Czy jesteśmy aresztowani? – pytała Zula przez łyżę.

– Bzdura! Odwołamy się do władz wyższych!

– Coś zupełnie potwornego. Nas, nas, jego kolegów i przyjaciół o to podejrzewać – powtarzał swoje Eda. – Zatrzymani do dyspozycji władz śledczych!

– Spokój – ryknął sierżant. – Swoje zastrzeżenia i uwagi przekazać śledczemu. Już zawiadomiliśmy władze w N. Lada chwila ktoś się

zjawi, żeby przejąć śledztwo.

– Ale... ale na jakiej podstawie tak twierdzicie? No, że to nie wypadek, tylko... – Jackowi wyraźnie przez usta przejść nie chciało słowo „morderstwo”,

– Sekcja – poinformował krótko sierżant. – Sekcja to wykazała.

– Ale przecież jest prawdopodobne, że doktor mógł się pomylić. W takim małym ośrodku. Specjaliści...

– Ani mowy! Nasz doktor to stary praktyk, nie myli się. Zresztą już zdążyliśmy wezwać z Olsztyna drugiego. Potwierdził. Tak, tak, obywatele naukowcy – dodał sierżant zjadliwie – macie wśród siebie niezłą świnię. Bo żeby tak kolegę, przyjaciela, w taki sposób załatwić...

Umilkli. To był nowy aspekt sprawy. I żaden z nich nie zdobył się nawet na jakąś ciętą odpowiedź sierżantowi, któremu się to przecież należało.

Ledwie opuścili polanę, sierżant rzekł do swego podopiecznego szeregowca:

– Widziałeś, jak im miny zrzedły? Ale im powiedziałem, co? Obywatele naukowcy, intelektualiści, psia ich mać.

Żeby tak przyjaciela... – kręcił głową do głębi swojego służbowego serca poruszony.

– Ale może to w końcu wcale nie żaden z nich? – nieśmiało wtrącił szeregowiec.

– Człowieku! Jeżeli to żaden z nich, to kto? Duch święty? No, powiedz, kto?

Na to pytanie podopieczny nie znalazł odpowiedzi.

Nad tym samym pytaniem biedził się kapitan Bronisław Zaliwski z komendy wojewódzkiej MO. Kiedy rano został wezwany do szefa, nie przeczuwał nawet, jaki pasztet szef dla niego przygotował. Za tydzień rozpoczynał swój dobrze całoroczną pracą zasłużony urlop. Wybierał się na jeziora mazurskie, na rybki... No i właśnie jedzie, tylko że z łowieniem

rybek ten wyjazd mało ma wspólnego.

– Sami rozumiecie, okres urlopowy – powiedział szef – a to wygląda bardzo nieprzyjemnie. Sprawa bez wątpienia trudna i śliska. Nie mogę jej powierzyć byle komu. Trzeba będzie wykazać maksimum taktu, bo wiecie, jak to jest z naukowcami. Zaraz z byle błahostki zaczną „odnosić się wyżej” i możemy mieć kupę kłopotów. Więc zalecam wam ostrożność i jeszcze raz ostrożność. I dobrze by było, żebyście możliwie szybko rozwiązali ten węzeł, zanim sąd pójdzie dalej. Pamiętajcie: maksimum dyskrecji i pośpiechu.

Dobrze szefowi „zalecać”! Ale jak to wykonać? Z której strony w ogóle podejść do tej sprawy?

Kapitan zdążył się już zapoznać z opiniami o ludziach, z którymi będzie miał do czynienia. Zresztą nie wszystkie nazwiska były mu obce. Spotykał się z nimi w prasie z okazji publicznych prelekcji. – Niech to grom strzeli! – mruczał, przeglądając opinie. Sami nieposzlakowani. Ani cienia zarzutów w stosunku do żadnego. Dorobek naukowy, cenieni pracownicy, życie bez skazy, dobrze sytuowani, wyjazdy zagraniczne, stypendia, wychowawcy najmłodszej kadry, uspołecznieni, w większości członkowie Partii i przeróżnych towarzystw naukowych, zagranicznych także... Choć zęby w ścianę wbij, nie ma się absolutnie czego przyczepić.

Trzeba będzie dokładnie przebadać, co się działo na tym ich obozie – myślał kapitan – może to coś wyjaśni?

Ale z natury był raczej sceptykiem. I zdawał sobie sprawę, że będzie to twardy orzech do zgryzienia. To nie „margines społeczny”, którym rządzą na ogół mało skomplikowane sprawy i zasady. Wystarczy zorientować się w działających mechanizmach i układach. A podejrzani i świadkowie? No cóż, tylko przycisnąć trochę przesłuchiwanym, logicznie pomyśleć – na każdego niemal znajdzie się jakiś haczyk. I już prawda jak oliwa samoczynnie wypływa na wierzch.

A jaki haczyk można znaleźć na intelektualistę? Jeśli taki ma coś na sumieniu, to na pewno głęboko ukryte i niełatwo się będzie tego dogrzebać.

Zresztą... zresztą zbyt mało jeszcze wie o towarzyszących okolicznościach. Wprawdzie raport z miejscowej placówki MO był dosyć jednoznaczny w sformułowaniach, ale może czegoś nie dopatrzili, coś prześlępili. Skąd mają mieć doświadczenie w tego typu sprawach? Jakieś drobne złodziejstwa, bójki na wiejskich weselach – to tak.

Nie, nie sposób na razie wykluczyć możliwości działania przygodnych osobników z zewnątrz. Trzeba i to brać pod uwagę.

Wóz (szef z okazji tego śledztwa przydzielił mu służbową wołęgę) dojeżdżał już do miasteczka, skąd nadszedł do komendy meldunek o morderstwie nad jeziorem.

– Zatrzymajcie się gdzieś w bocznej uliczce. Dojdę piechotą, po co wywoływać zbiegowisko przed posterunkiem – powiedział kapitan Zaliwski do szofera.

W niewielkim, przedzielonym na pół drewnianą barierką pomieszczeniu posterunku MO siedział przy biurku za barierką milicjant w randze sierżanta i pracowicie coś pisał. Mimo panującego upału zapięty był regulaminowo na wszystkie możliwe guziki. Kapitan stanął przy barierce. Sierżant spokojnie dokończył rozpoczęte zdanie, odłożył długopis i zmierzyszy petenta uważnym spojrzeniem od góry do dołu, zapytał urzędowo:

– Czego obywatel sobie życzy?

Kapitan wyciągnął legitymację służbową i wręczył ją bez słowa funkcjonariuszowi. Tamten zerwał się, stuknął obcasami i służbiście zameldował się starszemu rangą.

Kapitan uśmiechnął się, wszedł za barierkę i swobodnie sadowiąc się na twardym krześle powiedział:

– W porządku, sierzancie. Powiedzcie mi teraz coś bliższego o wypadkach nad jeziorem. No, siadajcie.

Sierżant wprawdzie postuchał, ale usiadł na brzeżku krzesła sztywno wyprostowany. Jeszcze stara szkoła – pomyślał z rozbawieniem kapitan Zaliwski, po czym wystuchał krótkiego, naszpikowanego służbowymi

terminami raportu sierżanta.

– Nikt nie opuścił obozu? – zapytał na koniec.

– Ależ gdzieżby tam, obywatelu kapitanie! – tubalnie roześmiał się, oswojony już widać z nowo przybyłym sierżant. – Ostrzegłem ich, że nie wolno im się ruszać ani na krok.

– Tak? – kapitan przypomniał sobie zalecenia zwierzchnika i złość w nim zabulgotała jak w gotującym się czajniku. – I jak sądzę uczyniliście to bez zbytnich ceregieli, co?

– No a jakżeby inaczej, obywatelu kapitanie, przecież któryś z nich to morderca.

– Tacy pewni tego jesteście?! – kapitan był tym bardziej rozdrażniony i zły, że sam przecież był skłonny tak właśnie myśleć.

Oczy sierżanta zrobiły się zupełnie okrągłe. Ani w ząb nie pojmował, za co się kapitan czepia. Bo czepiał się, to jasne.

– Przecież tylko oni tam byli! Popili się i wiadomo... Szydło wylażło z worka.

– Czyli według was to takie proste, chuligańskie, po pijanemu załatwienie porachunków! – roześmiał się z goryczą kapitan. – Akurat! Dobrze by było...

– Wszystko na to wskazuje, obywatelu kapitanie – tonem służbowym, z nutką urazy w głosie powiedział sierżant.

– No dobrze – machnął ręką kapitan – nie będziemy o tym dyskutować. Ale powiedzcie mi, czy żeście sprawdzili teren? Kto przebywał w pobliżu, kto nocował nad jeziorem?

– A po co, obywatelu kapitanie? Przecież sprawa jest prosta: musiał to zrobić jeden z nich, tych panów naukowców. – Sierżant był coraz bardziej zdumiony i urażony.

– Ładny pasztet! Więc nie było rozpoznania terenu? Niech to jasny grom strzeli! Pojęcia nie macie... Ech, szkoda gadać. Wątpię, czy to da się odrobić. Ale... Sierzancie, proszę natychmiast wysłać ludzi, niech się dowiedzą, czy nie było tej nocy jakichś obozowiczów w pobliżu. Nie ma

tam gdzieś w bliskości kempingu?

– Jest, ale po drugiej stronie jeziora, w prawo. Będzie kilka kilometrów.

– Sprawdzić, kto tej nocy przebywał na kempingu.

– Tak jest, obywatelu kapitanie! – Sierżant nie śmiał już powiedzieć, że to przecież zgoła niemożliwe. No, ci meldowani, tak. Ale ci włączający się „na dziko”! Któremu z nich w głowie meldowanie? Ot, prześpi jedną noc i hajda dalej. Żebyż jeszcze w kempingu! Zawsze znajdzie się ktoś, kto zauważy, opisze. Ludzie są ciekawi... Ale ci „dziocy” turyści? Rozbijają namioty byle w dobrym miejscu. Rano się zwijają i zostaje tylko wygnieciona trawa na miejscu namiotu. Szukaj wiatru w polu!

– Powiedźcie mi jeszcze, gdzie tutaj można wypożyczyć sprzęt turystyczny, no, namiot i tak dalej...

– Jak obywatel kapitan nie pogardzi, to mamy tutaj na posterunku. Namiot wprowadzie trochę sfatygowany, ale nie przecieka. Zresztą pogoda jak dzwon, nie będzie padać.

– Dobrze. A jak dojechać do jeziora, na to ich obozowisko?

– O, to już trudno wytłumaczyć. Trzeba wiedzieć, w którym miejscu skręcić w las. Ale ja obywatela kapitana zawiozę na swoim motorze. Będzie szybko i wygodnie.

– Aha, zajmijcie się jeszcze szoferem. Zgłosi się tutaj. Ja przenocuję nad jeziorem.

– Według rozkazu, obywatelu kapitanie. Ale czy to tak... no, bezpiecznie? Myślę – nocować razem z nimi?

– Niby że mnie mogą stuknąć? Już wy się o to nie troszczcie. Lepiej starajcie się zrobić, co do was należy. Skoroście sami do tej pory o tym nie pomyśleli – kapitan nie mógł sobie odmówić pełnego goryczy stwierdzenia.

– Tak jest, obywatelu kapitanie! – wyprężył się przepisowo sierżant i ani okiem nie mrugnął, choć do żywego drasnęło jego ambicję zawodową to odezwanie kapitana.

Ci z miasta! – myślał. – Zdaje im się, że wszystkie rozumy pozjadali. Wszystko im nie tak, wszystko źle. Dla nich, jak człowiek na wsi siedzi, to już musi – głupi. „Naukowe metody pracy”, laboratoria – takie to tam ich wymądrzanie. Człowieka trzeba znać, podejście właściwe do niego mieć. Jakby coś takiego u nas, tobym od razu wiedział, kto winien, kogo przymknąć i jak z nim gadać. Sprawdzaj mu, kto nad jeziorem nocował! To i co, że nocował? Kto ze spokojnych ludzi, turystów, miałby interes topić jakiegoś naukowca? Po mojemu to tylko któryś z nich, tych kolegów, coś do niego mógł mieć. I głowę bym dał, że na moje w końcu wyjdzie!

Ale wiadomo – szef każe, podwładny musi. Więc sierżant z niewygasłą w sercu złością zabrał się do wykonania poleceń kapitana.

Rozdział IV

Kilka godzin upłynęło, nim kapitan Zaliwski mógł wyruszyć nad jezioro, do obozowiska naukowców. Rozmawiał z lekarzem, który dokonał sekcji zwłok, przestudiował wstępne protokoły. Długo nie mógł uzyskać połączenia z szefem, który kazał się informować na bieżąco o przebiegu śledztwa.

Przez ten czas sierżant rozwinął ożywioną działalność, tak że gdy kapitan był wreszcie gotowy do drogi, sierżant mógł go poinformować, że istotnie ktoś był obecny w pobliżu obozu naukowców krytycznej nocy. Mianowicie leśniczy przypomniał sobie, że widział, wracając z obchodu lasu, żaglówkę przycumowaną do brzegu w pobliżu leśniczówki. Kręciło się przy niej dwóch młodych mężczyzn, chłopców raczej. Pora była już późna, na pewno nocowali. Ale rano żaglówki przy brzegu nie było. Musieli wypłynąć bardzo wcześnie, chyba o świcie.

– Podrzucie mnie najpierw do leśniczówki – zdecydował kapitan.
– Sam porozmawiam z leśniczym.

– Rozkaz, obywatelu kapitanie.

Leśniczy był w domu. Nie zdziwił się wizycie kapitana. Wiedział, co stało się nad jeziorem.

– Pan Gutek – mówił – mój Boże, znałem go tyle lat! Zawsze garażował u mnie swój samochód. Ot, i teraz stoi pod wiatą...

– Zna pan wszystkich od dawna?

– Różnie. Niektórych dłużej, niektórych krócej... Najdłużej to znam pana Edwarda. Bywał tutaj, zanim jeszcze zaczęli przyjeżdżać na te

swoje obozy. Rybak z niego zapalony i właśnie względem rybek tutaj trafił. Bo musi pan kapitan wiedzieć, nasze jeziora rybne...

– Ba, sam jeżdżę nieraz w czasie urlopu na ryby. Może kiedy i tutaj zajrzę, skoro pan tak zachwala.

– Nie będzie pan kapitan żałował. A wracając do panów z obozu, to najpierw zaczęli tu przyjeżdżać w czwórkę: pan Edward, pan Bolo, pan Jerzy, no i właśnie pan Gutek. Panie świeć nad jego duszą! To byli prawdziwi przyjaciele i muszę panu kapitanowi powiedzieć, że ja nic, a nic nie wierzę w to, co mówi sierżant: że to jeden z nich.

– No a inni?

– Inni? Ano bywali tu i inni. Taki pan Kazio...

– Nie, nie, mnie chodzi o tych, którzy teraz tutaj byli.

– A, o pana Jacka i pana Karola? Bo tej babki, znaczy żony pana Karola, to nie znam. Pierwszy raz tu jest. Oni zawsze bez żon przyjeżdżali, mówili, że przez cały rok dość się z nimi namęczą, więc choć wakacje chcą mieć spokojne od damskich fochów. No, pan Gutek był rozwiedziony, ale wszyscy inni żonaci i niektórzy dzieciaci...

– No a ci dwaj?

– Pan Karol to dopiero drugi sezon tutaj. A pan Jacek – dawno. Chyba już w drugim roku przyjechał. Chociaż go raz nie było. Tak, w zaprzesłym roku. Gdzieś za granicą siedział, to i nie mógł przyjechać. On to najczęściej za granicę jeździ, chociaż i inni też. Widać dobrzy w swoim fachu...

– A co z tymi, którzy tu blisko wtedy nocowali?

– Z tymi? A czy ja to wiem? Ot, przyjechali, zanocowali i pojechali dalej. Jak te ptaszki, co ino przysiadą na chwilę, żeby ździebko odpocząć.

– Nic bliższego nie potrafi pan o nich powiedzieć? Jacy byli, jak ubrani, jak się zachowywali? Nie rozmawiał pan z nimi?

– Co miałem nie rozmawiać? Rozmawiałem, Ot, tak sobie, jak to bywa z nieznanymi. Zwyczajni byli. Takie sobie chłopaki. Ubrani

też zwyczajnie, w dzinsy i jakieś takie koszulki. Patrzyli mi na studentów.

– Poznałby ich pan?

– Bo ja wiem? Może bym i poznał. Chociaż wie pan kapitan, u mnie większa pamięć do drzew niż do ludzi. Z drzewami na co dzień przystaję, a z ludźmi to tylko od czasu do czasu. Samotny jestem.

– Nie mówili skąd są? Dokąd płyną?

– A mówili. Znaczy, dokąd płyną. W Mikołajkach z kimś tam się umówili. A skąd? Tyle tylko że nie z naszych okolic, że gdzieś z daleka. Ja wiem? Może z Krakowa, może ze Śląska... Teraz ludzie w całej Polsce, ci młodszy, ze szkół, jednakowo mówią. Dawniej każdego po mowie było można poznać, skąd jest. Teraz nie. Tyle widzi mi się, że ci młodzi to nie byli z Warszawy.

– Dlaczego nie z Warszawy?

– A bo wie pan kapitan, chłopaki z Warszawy zwykle taki swój styl mają. Jak by tu rzec? No, na takich większych cwaniaków patrzą. A ci tutaj nie. Skromne chłopaki, spokojne. Spytały, czy przeszkadzać nie będą. No, jak się należy...

– A w nocy nic pan nie słyszał?

– A słyszałem, słyszałem. Zaraz z samego wieczora, a i potem też. Nocą głos daleko po wodzie niesie. A oni, jak sobie trochę wypili, lubili pośpiewać. Nieraz to takie stare piosenki śpiewali, legionowe jeszcze, co mi czasy młodości przypominały. To nieraz żem specjalnie przed dom wychodził, żeby posłuchać. Eda, to znaczy pan Edward, taki mocny ma głos, że nieraz, jak śpiewał, słowa słyszałem.

– Często tak sobie popijali?

– Różnie bywało. Ale żeby często – nie powiem.

– A w tym roku?

– W tym roku, żeby prawdę powiedzieć, to pierwszy bums był.

– Co takiego?

– Bums, panie kapitanie. Oni tak nazywali duże picie. Tego dnia

właśnie pan Gutek do mnie zawołał, gdy brali samochód: „Panie Wacku – bo mnie Wacław na imię – panie Wacku, niech pan dzisiaj zamknie okna, żebyśmy pana w nocy nie budzili. Po wódkę na bums jedziemy!” Mój Boże, jakbym go jeszcze słyszał! Taki wesoły był, a teraz nieboszczyk...

– Po alkohol Norcki pojechał? Sam czy z kimś?

– Pan Gutek z panem Jackiem. Jeszcze się przepierali, który wóz wezmą. Bo pan Jacek chciał naturalnie swój. Ale on innemu swojego wozu nie da prowadzić. Żony i samochodu nikomu nieżyczam – tak zawsze mówił. A znowu pan Gutek bardzo nie lubił, kiedy pan Jacek prowadził. Bo i po prawdzie pan Gutek lepszym był kierowcą od pana Jacka, choć wóz miał gorszy i sfatygowany nieźle. Pan Jacek to wtedy nawet krzyczał: „Takim gruchotem nie pojadę!”

– W końcu którym pojechali?

– Ma się rozumieć pana Gutka.

– Czy to te samochody, które tam stoją?

– A jakże. Może pan kapitan obejrzyć. O proszę – ten szary to pana Gutka.

– Renault, niezła marka. Drogi wóz. Ale rzeczywiście przydałby mu się generalny remont.

– Pan Gutek to samo mówił. Ale bez samochodu obyć się nie mógł, a w remoncie trzymają, wie pan kapitan... To wołał tak jeździć. Zresztą w środku to on jest dobry ten samochód. Tylko po wierzchu taki.

Kapitan Zaliwski przeszedł do drugiego samochodu i aż gwizdnął z podziwu.

– A co, panie kapitanie, Polakowi oko może zbieleć na widok takiego wozu, no nie? – dobrodusznie śmiał się leśniczy. – Ja też gwizdnąłem, jakżem ten samochód zobaczył. Bo przedtem pan Jacek miał mercedesa. Też samochód jak się patrzy. Ale czy mu się uprzykrzył, czy go trochę poharatał, dość że sprzedał, a ten sobie niedawno w Szwecji kupił.

– I to kremowe cacko też widać już miało jakiś wypadek – mruknął kapitan, oglądając reflektor chyba już zmieniany, bo choć nieznacznie, ale jednak różnił się kolorem od drugiego. A pochyliwszy się niżej dostrzegł wyraźne dla wprawnego oka ślady nowej warstwy lakieruj na prawym błotniku.

– Pan Jacek wzrok ma nietęgi. Okulary nosi. Może, dlatego nie najlepszy z niego kierowca. Ale o jakimś wypadku nic nie wspominał – zastrzegł się leśniczy.

– Jego volvo, jego sprawa – i strata, jeżeli je rozbije – powiedział kapitan;. – A trzeci samochód, ten wartburg?

– To pana Karola. Już używany, ale w dobrym stanie. Niedawno go kupił.

– No, sierzancie, chyba możemy już iść. Nic więcej tu nie wypatrzemy. Dziękujemy panu, panie Wacku, za informacje.

– E, jakie tam informacje. Com wiedział, tom rzekł. Ale niech pan kapitan pamięta: to nie może być prawda, żeby któryś z nich zabił pana Gutka. Po co by miał zabijać?

– Po co by miał zabijać? – mruczał kapitan bardziej do siebie niż do sierżanta – właśnie! Po co by miał zabijać! W tym sęk!

– Może o jakiś wynalazek im się rozeszło albo o babkę? – uważał za stosowne wygłosić swoje zdanie sierżant.

– Naczytaliście się, sierzancie, marnych kryminałów! Praca naukowa to nie znaczy „robienie wynalazków”. A o kobietę w tym środowisku nikt się nie morduje. Po prostu się rozwodzą.

– Kryminałów to ja, panie kapitanie, w ogóle nie czytuję – czuł się w obowiązku sprostować błędne mniemanie o sobie sierżant. – Mam, co innego do roboty!

– Słusznie – mruknął na wpółprzycumnie kapitan i zapadł w głęboką zadumę, które j sierżant nie ośmielił się już przerwać. Dotarli do obozu naukowców w milczeniu.

Zastali wszystkich na miejscu. Chociaż Eda właśnie szykował łajbę,

żeby wypłynąć na jezioro, ale gdy tylko zobaczył przybyłych, natychmiast przyłączył się do kolegów.

Kapitan Zaliwski nie czekał na pośrednictwo sierżanta. Zauważył od razu nieprzyjemne spojrzenia, jakimi sierżant został obdarzony i pomyślał sobie, że zetknięcie się z tym prostolinijnym i służbistym funkcjonariuszem milicji musiało być dla tych ludzi dość szokujące. Toteż podziękował mu i odesłał zaraz z powrotem. Potem nabierając oddechu jak przed skokiem w głęboką wodę zaczął:

– Państwo pozwolą, że się przedstawię. Jestem Bronisław Zaliwski, kapitan, z komendy wojewódzkiej MO. Zostałem tutaj delegowany, ażeby przejąć dochodzenie w sprawie tego smutnego... – szukał chwilę najwłaściwszego wyrażenia – wydarzenia. Myślę, że państwu będzie wygodniej porozmawiać ze mną tutaj, na miejscu. Oczywiście później, o ile to się okaże konieczne, będę kolejno musiał państwa prosić na bardziej, hm... oficjalne rozmowy. Ale to już wtedy, gdy państwo wrócą do własnych domów.

– Z tego wynika, że nie będziemy musieli tutaj zimować – mruknął ironicznie Jerzy, a Zulka zawołała impulsywnie:

– To nie jesteśmy wszyscy zatrzymani?

– Oczywiście że nie! – niby swobodnie roześmiał się kapitan, klnąc w duchu sierżanta.

– Bo ten sierżant... – jakby sprowokowana myślami kapitana ciągnęła Zulka.

– Niech państwo wybaczą sierżantowi. Terenowi funkcjonariusze rzadko spotykają się z podobnymi sprawami.

– A komenda wojewódzka często? – wtrącił niewinnie Bolo.

– Nie, także nieczęsto – rzekł kapitan, wpierv dokładnie przyjrząwszy się Bolowi, po czym tonem swobodnej konwersacji dodał: – Czy państwo nie będą mieli nic przeciwko temu, że się tu gdzieś w pobliżu rozłożę na biwak? Nie zdążyłem wcześniej tu dotrzeć, a chciałbym mieć nieco więcej czasu na rozmowy z państwem, więc postanowiłem

zanocować tu, o ile naturalnie państwo się na to zgodzą.

– Uff, co za Wersal – szepnął Bolo do Edy, a Jerzy powiedział głośno:

– Oczywiście że się zgodzimy! – A po cichu szepnął: – Niechbyśmy tylko spróbowali się nie zgodzić!

Do kapitana nie dotarła treść tych szeptów, ale same szepty dobrze zauważył i pomyślał sobie, że twardszy to będzie orzech do zgryzienia, niż mu się wydawało. Ale robiąc dobrą minę do złej gry, zaczął rozkładać namiot. Pomogli mu. Oczywiście. Byli dobrze wychowani.

Prowadząc lekką towarzyską rozmowę, kapitan Zaliwski głowił się cały czas nad tym, jak zaaranżować akt pierwszy sztuki pod tytułem „Śledztwo w środowisku naukowym”. Prolog już się odbył. I – kapitan musiał przyznać – nie wypadł dla niego najlepiej. Cholerna sprawa! Rozmawiać z wszystkimi naraz czy próbować brać ich na spytki po kolei? Ale to z punktu stworzy atmosferę urzędowego przesłuchania, a tego właśnie – w myśl zaleceń szefa – chciał kapitan uniknąć. Ha, zdajmy się na przypadek! – powiedział sobie w końcu.

Wsunął do namiotu nadmuchany materac, rozłożył śpiwór, starannie poskładał rozrzucone rzeczy, słowem – skończył się urządzać i nic więcej nie miał już do roboty.

Obozowicze wyraźnie czekali, co teraz nastąpi i widać było, że mimo całego dobrego wychowania ani im w głowie było ułatwić mu jakoś niezręczną sytuację. Odnosił wrażenie, że, traktują go jak studenta na egzaminie, o którym z góry wiadomo, że musi oblać. I mimo woli zaczął się czuć jak słabo przygotowany do egzaminu student. A niech to licho! – zaklął w duchu i w tym momencie zbawcza myśl przyszła mu do głowy.

– Zdaje mi się, że zakłóciłem panom obozowe zajęcia – powiedział swobodnie. – Chcieli panowie wypłynąć na połów? Wspaniała rozrywka! Sam za tym przepadam. Proszę się mną nie krępować, porozmawiamy sobie później. Zostaję, więc przecież czasu będzie jeszcze dosyć. Może

przy wieczornym ognisku? – i patrząc na ich twarze stwierdził z niemąłą uciechą: No, zaskoczyłem ich. Tego się nie spodziewali! Jeden zero dla mnie.

– Tak – powiedział Eda – chcieliśmy nałowić trochę rybek na kolację: Zapasy się kończą, a nikt z nas nie miał głowy, żeby o tym pomyśleć. W dodatku przecież sierżant „przypisał” nas do tego miejsca.

– Już przepraszałem państwa...

– Tak, tak, rozumiemy, głupstwo. – I rzucając niepewne spojrzenie na kolegów, Eda jednak zaproponował: – Może pan kapitan wybierze się z nami, skoro śledztwo dopiero wieczorem?

– Z dużą przyjemnością – ucieszył się kapitan, którego celem było właśnie sprowokowanie podobnej sytuacji. Przy czym udał, że owego słówka „śledztwo” w ogóle nie dosłyszał. – Tylko sprzętu nie mam. Rozumieją panowie, nie myślałem o łowieniu rybek, nie mogłem przypuszczać, że sprzęt mi się może przydać...

– To głupstwo, wędek tutaj dosyć. Coś się na pewno znajdzie. Proszę tylko wybrać sobie, bo jeden lubi to, a inny. tamto. Mnie się najlepiej łowi o, tą... – Eda zademonstrował swoją wędkę, rozwodząc się szeroko nad jej zaletami.

Wypłynęli na jezioro we trzech: Eda, Bolo i kapitan. Woda była gładka i spokojna. Ani podmuchu wiatru. Ryby rzeczywiście brały. No, wprawdzie drobnica, ale za to w dużych ilościach. Co chwila jakiś spławik szedł pod wodę. Toteż zbiorniczek szybko zapełniał się drgającą, szamoczącą się masą rybich ciał.

Kapitan celowo nie zaczynał rozmowy na interesujący wszystkich temat. Cekał, aż tamci to zrobią. Było to dla niego taktycznie znacznie korzystniejsze. Wiedział, że długo nie wytrzymają. I nie zawiódł się. Zaczął Eda, widać mniej odporny psychicznie, czy może bardziej ciekawy (kapitan zanotował to spostrzeżenie w pamięci) od Bola.

– Panie kapitanie – powiedział – sierżant nam właściwie nie

wyjaśnił, w jaki sposób zdołano stwierdzić, że nasz przyjaciel nie uległ wypadkowi, a...

– Rozumiem. To dosyć proste. Serce było w najlepszym porządku, inne organy też. Natomiast w płucach stwierdzono zbyt dużą, jak na utopionego, ilość powietrza, poza tym brak okrzemków w głębszych warstwach płuc. Ponadto obrażenia szyi. Wniosek może być jeden: nie był to przypadek prostego utonięcia. Utopienie to pozór.

– Dlaczego się nie bronił?

– Prawdopodobnie został zaskoczony i zanim się zorientował, że to nie przyjacielskie igraszki – już było za późno. Zresztą przy gwałtownym wdarciu się wody do nosa następuje szok i nagła utrata przytomności.

– On był bardzo silny. Chybaby dał radę każdemu z nas... – powiedział wahająco Bolo.

– Właśnie. Gdyby napastnik był od niego silniejszy, po prostu przytrzymałby mu głowę pod wodą przez wystarczającą do utopienia ilość czasu. To w końcu nie tak długo... Wtedy, oczywiście pod warunkiem, że na ciele ofiary nie byłoby żadnych śladów walki (co jest raczej wątpliwe, bo człowiek topiony gwałtownie się broni), nic byśmy nie mogli stwierdzić.

– Czyli wtedy by była tak zwana zbrodnia doskonała... – powiedział z namysłem Bolo.

– Można to i tak nazwać. Ale zapewniam pana, że przy obecnym stanie wiedzy kryminologicznej zbrodnia doskonała jest raczej utopią. A przez utopienie? Już w okresie pierwszej wojny światowej swoisty geniusz, jakim był bez wątpienia niejaki Smith, który wymyślił metodę topienia swoich ofiar w wannie przez gwałtowne pociągnięcie za nogi – powodowało to szok, natychmiastową utratę przytomności, a w rezultacie śmierć w wodzie – wprawdzie dopiero po utopieniu z kolei trzeciej żony, ale jednak wpadł. No i zawisł, jak należy, na szubienicy... Morderca zwykle popełnia jakiś błąd. W wypadku Smitha było to zbyt

przywiązanie do raz opracowanej metody, no i zbyt częste jej stosowanie.

– Gdyby przestępcy nie popełniali błędów, milicja nie miałaby co robić, prawda? – skomentował przydługi wywód kapitana Bolo.

– Zapewne. No ale o to najmniej potrzebujemy się martwić – odciął się kapitan.

– Więc wniosek można wysnuć jeden: że napastnik był słabszy od Gucia – myślał głośno Eda.

– Rozumuje pan logicznie. Tak jest.

– Co wszystkich nas automatycznie czyni podejrzanymi – z goryczą podsumował Bolo.

– Powiedziałbym może inaczej: nikogo z państwa, bo i panią musimy brać pod uwagę...

– Zwłaszcza że Zulka świetnie pływa – wtrącił Eda, a Bolo spiorunował go natychmiast spojrzeniem, co kapitan znowu zanotował sobie skrzętnie w pamięci.

– Tak? – więc i panią musimy tym bardziej brać pod uwagę, zatem nikogo z państwa nie eliminuje to od podejrzeń.

– Bardzo precyzyjnie i elegancko pan to formułuje, kapitanie, tylko co z tego wynika? Jakaż różnica, czy wszyscy jesteśmy podejrzeni, czy nikogo z nas ten fakt nie eliminuje od podejrzeń? Na jedno przecież wychodzi – powiedział Bolo.

– Zgoda. Istotnie, praktyczne konsekwencje pozostają te same – roześmiał się kapitan. – Jeden zero dla pana. Swoją drogą nie ma to, jak mieć do czynienia z reprezentantami nauk ścisłych! À propos, wśród państwa nie ma, jak się zdaje, żadnego przedstawiciela medycyny?

– Nie. A dlaczego pan pyta? – zdziwił się Eda.

– Bo teoretycznie rzecz biorąc, sposób popełnienia tego morderstwa eliminowałby go właśnie – przynajmniej częściowo – od podejrzeń. – I na pytające spojrzenia tamtych uzupełnił: – Lekarz byłby zorientowany,

że sekcja musi wykazać prawdziwy powód zgonu.

– No tak. Ale na nieszczęście nikt z nas nie jest lekarzem. Co znowu sprawia, że jesteśmy stale w punkcie wyjścia.

– Na to by wyglądało – filozoficznie zgodził się kapitan.

Jakiś czas łowili w milczeniu. W końcu Eda nie wytrzymał i wybuchnął:

– To jest doprawdy nie do wytrzymania! Stale mam wrażenie, że to tylko jakiś koszmarny sen, z którego za chwilę się obudzę i wszystko będzie jak dawniej!

– Niestety – rzekł surowo kapitan – to jedno nie ulega wątpliwości: że wasz przyjaciel został zamordowany. I cokolwiek byśmy myśleli i czegokolwiek pragnęli, ten fakt nie da się już odwrócić.

– Niestety nie – powiedział z goryczą Bolo. – Wiemy o tym. Nasza niewiedza dotyczy tylko przyszłości; co się jeszcze stanie?

– Z pewnością nic dobrego – pokiwał głową Eda. – Na to musimy być przygotowani.

– Niestety. Obawiam się, że czeka nas jeszcze dużo niespodzianek, i to bardzo nieprzyjemnych. – Bolo, jak widać, też był daleki od optymizmu.

Kapitan nie silił się na komentarz do tych wypowiedzi. Cóż tu można było powiedzieć? Niewątpliwie obydwaj mieli rację. Dobrze, że zdają sobie sprawę z sytuacji. Kapitan w milczeniu przypatrywał się uważnie tym dwom. W końcu to jedno z jego zadań: przypatrywać się i z zauważonych reakcji wyciągać wnioski przydatne dla dalszego prowadzenia dochodzeń. Ale kiedy tak patrzył, ku własnemu zdumieniu zaczęło w nim kielkować coś, co może wahałby się określić słowem „sympatia”, ale niewątpliwie było to coś niebezpiecznie do tego odczucia zbliżonego...

Słońce chyliło się ku zachodowi, woda stała w jego ukośnych teraz promieniach cicha i spokojna. Pod przeciwległym brzegiem gromadził

się mrok i powoli wysuwał coraz dłuższe macki ku środkowi jeziora. W zbiorniczku niektóre ryby przestały się już szamotać i rzucać. Odwracały się białymi brzuchami ku górze.

Czas było wracać do obozu.

Rozdział V

Był już zmrok, gdy w końcu oprawione ryby znalazły się na patelni, ognisko rozpalone i wszyscy zebrali się na skromną kolację. Nastrój był dosyć napięty, do czego w niemałym stopniu przyczyniło się drobne spięcie między Edą a Jerzym. Stało się to w czasie, gdy kapitan przebywał we własnym namiocie, przebierając się po powrocie z połowu. Zaczęło się od niewinnej uwagi Edy, że ten kapitan to owszem, całkiem na poziomie gość.

– Już się zdążyłeś z nim zaprzyjaźnić? – spytał ze szczególną intonacją Jerzy.

Eda odczuł to i zareagował po swojemu, impulsywnie:

– Jeszcze nie. A gdybym się nawet zaprzyjaźnił, to co?

Masz coś przeciwko temu?

– Owszem, mam. Widać kieruje tobą jakiś głębszy interes...

Było to powiedziane takim tonem, że trudno było nie zrozumieć intencji. Edę aż zamurowało z oburzenia.

– To insynuacja w twoim stylu. Naturalnie. Ale ty uważaj, Jerzy, bo jak ja zacznę się bawić w insynuacje...

– No to co? Co się stanie? Dokończ!

I Eda już otwiera usta żeby „dokończyć” ale w tym momencie ukazał się na placu boju kapitan, co w sposób niejako automatyczny spowodowało natychmiastowe zawieszenie broni.

W czasie kolacji wszyscy wytrwale milczeli, ale też jedzenie ryb, zwłaszcza małych i ościstych, wymaga nie lada uwagi i raczej nie sprzyja konwersacji. Toteż kapitan odczekał, aż miska zostanie wymięciona

do czysta i dopiero przy herbacie rzucił jedną i drugą uwagę, która sprowokowała zebranych do wypowiedzi na właściwy temat.

– Czy w czasie tego wieczora i nocy nikt z państwa nie zauważył kogoś obcego w pobliżu obozu? – zapytał.

Pokręcili głowami.

– Nie – powiedział Jacek. – Niestety nie.

– A jednak byli tutaj niedaleko dwaj nieznani osobnicy. Przypłynęli żaglówką i biwakowali w pobliżu leśniczówki. Leśniczy nawet z nimi rozmawiał.

Wszystkie twarze obróciły się w stronę kapitana niczym słoneczniki do słońca. Ożywił je wyraźny blask nadziei.

– No i co?

– Kto to był?

– Odnaleziono ich?

Pytania padały jak z karabinu maszynowego. Aż się kapitan uśmiechnął.

– Powiedziałem to państwu po to, abyście nie myśleli, że milicja „z góry się nastawiła”. Owszem, szukamy tych dwu. Ale proszę sobie nie robić zbytnich co do tego nadziei. Prawdopodobnie byli to studenci w trakcie wakacyjnej wólczugi. W dodatku nie z naszego ośrodka akademickiego. Cóż wspólnego mogli mieć z osobą pana Gustawa Norskiego?

Ożywienie zgasło jak zdmuchnięta nagle świeca.

– No a kemping? Tam zwykle przebywa sporo osób.

– Jest dość daleko – zauważył kapitan.

– Łądem – tak. Ale wodą nie tak bardzo. Łodzią łatwo dopłynąć – powiedział Jacek.

– A czy państwo zauważyli jakąś łódź?

– Kręci się ich tutaj sporo – wzruszył ramionami Jerzy. – Trudno na wszystkie zwracać uwagę. Zresztą po ciemku...

– Zakładając, że ktoś miał interes w tym, żeby go nie widziano...

– Tak. Gdyby ktoś miał interes, nie miałyby zbytnich kłopotów, zwłaszcza wtedy. Wypiliśmy bardzo dużo. A ognisko znakomicie

orientowało w terenie – dorzucił Bolo.

– Ale kto, zdaniem państwa, mógłby ten interes mieć? – spytał kapitan.

Odpowiedzią było milczenie.

– Proszę państwa, nie będę ukrywał, że jest to dla nas może najbardziej istotna rzecz. Czy Gustaw Norwski miał wrogów? Jakich? Czy pozostawał w jakichś konfliktowych sytuacjach? Jakiego rodzaju były te sytuacje? Państwo go znali, o ile się nie mylę, najbliższej... Może miał jeszcze kogoś bliskiego? Może istnieje jakaś kobieta? Bardzo bym prosił o wszystkie tego typu informacje.

Spoglądali po sobie namyślając się. Kapitan Zaliwski obserwował, czekał spokojnie. Pierwszy zaczął Bolo.

– Panie kapitanie, oczywiście życie jest już takie, że ma się swoje konflikty. I Gutek je miał. Ale słowo daję, nawet przy największym wysiłku nie potrafię sobie wyobrazić, by cokolwiek z tego, o czym wiem i o czym zapewne wiedzą koledzy, mogło w jakikolwiek sposób stać się przyczyną czy powodem jego śmierci.

– A o czym pan wie?

– Na przykład o konflikcie Gutka z jego profesorem na temat pracy, którą u niego pisał. Przyzna pan, że trudno posądzać starszego pana, cenionego naukowca, o mordowanie wychowanków, którzy niezupełnie podporządkowują się jego koncepcjom naukowym.

– Istotnie trudno. Zwłaszcza że zapewne był daleko od tego miejsca. Czy pan Gustaw często miał zatargi ze współpracownikami?

– Na to pytanie najlepiej odpowie panu kapitanowi Jerzy – powiedział Bolo. – Pracowali w jednym zakładzie.

Jerzy obrzucił Bola niezbyt przyjaznym spojrzeniem. Namyślał się chwilę, zanim zaczął mówić, a mówił wolno, ważąc każde wypowiedziane słowo.

– Cóż, skoro już trzeba mówić... Niewiele zresztą jest do mówienia. Gutek nie miał więcej konfliktów niż każdy z nas, Ot, jakieś głupstwa.

Spory o zajęcia dydaktyczne... Prawie nikt z nas tego nie lubi. Na ogół każdy stara się dostać zajęć dydaktycznych możliwie mało, żeby mieć więcej czasu na własną pracę naukową. Gutek kończył już pracę habilitacyjną, zależało mu specjalnie na wygodnym układzie zajęć. W tym roku nie było to łatwe, ponieważ akurat szereg osób otrzymało stypendia zagraniczne i ja koś trzeba było to załatać. Doprawdy nic szczególnie ciekawego nie potrafię panu wskazać...

– A sprawy konkurencji? Wyścigu do wyższego stołka? – popisał się znajomością obiegujowej terminologii kapitan.

– Muszę pana rozczarować – Jerzy zza swoich szkieleł zmierzył go ironicznym spojrzeniem. – Ludzie nie mający bezpośredniej styczności z naszym środowiskiem zwykli żywić na ten temat dość, hm... bzdurne poglądy. Mitologia maluczki... W rzeczywistości te sprawy nie inaczej u nas, wyglądają niż w innych środowiskach. A może nawet lepiej, bo w większej cenie są rzeczywiście indywidualne uzdolnienia i kwalifikacje, niż to bywa gdzie indziej. W każdym razie w naszym zakładzie żadnego konkurencyjnego „wyścigu do wyższego stołka” ostatnio nie notowaliśmy.

– Czyli wygląda na to, że nie w dziedzinie zawodowej trzeba szukać klucza do tej sprawy.

– Raczej nie – potwierdził Jerzy.

– A co z życiem osobistym pana Norskiego? Ja rozumiem, proszę państwa, że jestem niedyskretny i zgoła wścibski, ale niestety okoliczności tego wymagają. Po prostu nie da się tego uniknąć...

– Przykro nam, ale i na temat jego życia osobistego niewiele możemy panu powiedzieć – odezwał się Bolo. – Po pierwsze, nie ma, u nas obyczaju wchodzenia z kaloszami do cudzej duszy, a po drugie, jeżeli się orientujemy, nic dramatycznego ostatnio w życiu Gutka, się nie działo.

– Powiedział pan „ostatnio”. A uprzednio?

Popatrzyli po sobie skonsternowani. Wyrwał się Eda.

– Tylko Zulka może panu coś na ten temat powiedzieć. Jeżeli zechce,

Zulka, dotychczas milcząco wpatrzona w ogień, uniosła oczy i... rozplakała się.

– Proszę się uspokoić – powiedział kapitan. – Jak się domyślam, nie są to dla pani przyjemne sprawy. Pani była jego żoną, prawda?

– Tak. Byłam. Ale trzy lata temu... – znowu głośno zaszlochała.

– Rozumiem. Pani go opuściła. Czy od tej pory państwo się jakoś kontaktowali?

– Bardzo rzadko. Gutek nie szukał okazji, a ja tym mniej. Pan rozumie... On... on zachował się bardzo na poziomie. Wzięliśmy rozwód za obopólną zgodą, bez orzekania winy. A to ja... ja przecież byłam winna. I on tak naprawdę nigdy mi tego nie wybaczył. A teraz...

– To już minęło – nieco sztywno powiedział kapitan.

Zapadło znowu milczenie, przerywane tylko szlochaniem Zuli.

– No tak – powiedział w końcu kapitan Zaliwski – wygląda na to, że to raczej pan Norski miał powody do popełniania czynów gwałtownych, a wszyscy inni w stosunku do niego – nie.

– To paradoksalne, co pan powiedział, ale chyba prawdziwe – po kiwał głową Eda. – Nie widzę żadnego powodu, żadnego punktu zaczepienia...

– Zaczniemy zatem z innej beczki – rzekł kapitan. – Z tego, co państwo tu mówili, mam zaledwie jakiś mglisty obraz – nic charakterystycznego. A przecież każdy człowiek ma swoje cechy, sposoby zachowania, słabostki... Chciałbym, żeby mi państwo coś więcej powiedzieli o koleźce, którego przecież dobrze znaliście. Jaki był na co dzień? Jaki był w kontaktach koleżeńskich, towarzyskich? Jaki był naprawdę?

– Na to ostatnie pytanie obawiam się, że nikt panu nie potrafi odpowiedzieć – poważnie stwierdził Jerzy. – Kto wie, czy potrafiłby sam

Gutek, gdyby żył. Niełatwa to sprawa orzec, jaki ktoś jest „naprawdę”. Dla jednych taki, dla drugich inny...

– A dla pana... jaki?

– Dla mnie? No cóż, sądzę, że najwięcej mogę panu o nim powiedzieć od strony zawodowej. W końcu pracowaliśmy w tej samej dziedzinie, w tym samym zakładzie.

– Elektronika?

– Tak. Gutek był bezsprzecznie bardzo inteligentny i zdolny. Niechętnie uznawał autorytety. Lubił do wszystkiego dochodzić sam. Może ta jego cecha była właśnie powodem konfliktów z naszym profesorem. Był uparty. Gdy sobie jakąś koncepcję wbił do głowy, nikt nie był w stanie jej wybić. Dopiero gdy mu się coś nie chciało sprawdzić, rewidował swoje poglądy. Znaczyły dla niego fakty, a nie autorytety. Nie znosił wszelkiego „pucu naukowego”, jak to określał. W związku z tym czasem się temu i owemu naraził. Ale to nie były nigdy sprawy mogące mieć groźne konsekwencje. W każdym razie ja nie przypominam sobie nic takiego. Nie lubił także „oficjatek”, ale to rzadko kto z nas lubi. Cóż by tu jeszcze? No, może to, że stał na progu być może nie olśniewającej, ale solidnej kariery naukowej. Zajmował się dziedziną, która ma przed sobą dużą przyszłość. I był w tej dziedzinie dobry. – Jerzy zastanawiał się jeszcze chwilę, by wreszcie zakończyć: – To chyba wszystko, co miałbym panu w skrócie do powiedzenia.

– Może ja bym tutaj jeszcze coś dorzucił – wtrącił się do rozmowy Eda. – Gutek nie lubił na ogół rozmawiać o problemach naukowych, klepać, aby klepać, jak to określał. Ale jeżeli rzeczywiście któryś z kolegów trafił w swojej pracy na jakąś naukową „zagwozdkę”, można było być pewnym, że Gutek to poważnie potraktuje i o ile tylko będzie mógł, pomoże w rozwiązaniu. Chociażby przez rzeczową dyskusję. Sam nieraz do niego chodziłem w podobnych sprawach. To dosyć rzadka cecha u naukowców, taki stosunek do cudzych problemów – dorzucił, zerkając spod oka na Jerzego.

– I jeszcze jedna rzecz, o której koledzy nie wspomnieli – powiedział Bolo. – Otóż Gutek nie tylko lekcewał sobie oficjalne formy życia wyższej uczelni, jej, rzec by można, ceremoniał; on jakoś akcentował to sposobem bycia, ubraniem, no, wszystkim. Nawet swoim wyglądem... Bo Gutek nie pasował zupełnie, że tak powiem, zewnątrznie do utartych pojęć o pracowniku naukowym, intelektualście. Chętnie zgrywał się na chłopka-roztropka i wielu dawało się na to nabierać. Nawet my czasami... Choć dla kogoś, kto go bliżej poznał, było rzeczą oczywistą, że Gutek więcej wiedział i dostrzegał, niż można go było o to posądzać.

– Może więc ostatnio dostrzegł coś, co dla kogoś nie było wygodne?

– To nie jest wykluczone... Nieraz coś takiego się zdarzało – z namysłem powiedział Jerzy. – Niektórych to nawet denerwowało, bo każdy człowiek ma jakieś swoje małe czy duże tajemnice i na ogół woli je zachowywać dla siebie. Ale i to również trzeba brać pod uwagę: Gutek wcale nie był skłonny do komunikowania wszystkim swoich odkryć. A najmniej zainteresowanemu. Kim jak kim, ale plotkarzem z pewnością nie był. Musiałoby się zdarzyć coś zupełnie wyjątkowego, żeby Gutek puścił farbę.

– A jednak na coś mógł trafić, czegoś się dowiedzieć, skoro panowie tak go określają.

– Niewątpliwie – powiedział Bolo. – Ale niech pan się zastanowi, panie kapitanie, co mianowicie mógł Gutek dostrzec w naszym środowisku? Może wielką aferę gospodarczą? Czy handel narkotykami? Takie „cudy” zdarzają się jedynie w powieściach kryminalnych, i to nie najwyższego lotu. W przyzwoitym środowisku naukowym, do jakich – chyba pan w to nie wątpi – i nasze się zalicza, mógł najwyżej zauważyć, że ktoś komuś podkłada tak zwaną świnię, że gwałtem chce zająć jego stołek, że nie zdolności i kwalifikacje, ale „plecy” i „chody” decydują

o czymś awansie – no, tego typu sprawy. A z tego powodu nikt nikogo nie morduje – najwyżej sam zajmie się odwetowo podłożeniem jeszcze solidniej cuchnącej świni...

– Może to się stało nie w środowisku naukowym? – bronił swojej koncepcji kapitan Zaliwski.

– Wątpię – machnął ręką Bolo. – Choć oczywiście Gutek stykał się z ludźmi i z innych środowisk. Może z nas wszystkich on najczęściej, a to głównie z powodu swoich licznych hobby.

– Jakich na przykład?

– Miał ich wiele – powiedział Eda. – Pierwsze to chyba samochód. Bardzo lubił prowadzić i prowadził wóz, trzeba to przyznać, świetnie.

– Tylko nie dbał o niego – mruknął Jacek.

– Tak jak i o własny wygląd. Ale w środku wszystko grało.

– Co jeszcze?

– Uprawiał swego czasu namiętnie szybownictwo. Skończył kurs żeglarstwa. Niezle grał w szachy, brał nawet udział w jakichś konkursowych rozgrywkach. Lubiał także grać w brydża. Dość często urządzaliśmy, sobie w zimie takie męskie brydże...

– A wódka, hazard i... – kapitan zawahał się ze względu na Zulę i dokończył eufemistycznie: – te inne sprawy?

– Wypić potrafił sporo, ale tylko przy jakiejś okazji – ciągnął Eda. – Hazardu, o ile wiem, nie uprawiał, chyba że za hazard uznać te brydże z trzymaniem boczków. Ale i to go zbytnio nie pasjonowało. Co do innych spraw – nie lubił się tym chwalić. Jeżeli podobne rozmowy miały miejsce w jego obecności, raczej milczał.

– Albo złośliwie komentował wypowiedzi innych – uzupełnił Jacek.

– Zapomnieliśmy o jeszcze jednej pasji Gutka – odezwał się Jerzy.

– O rozwiązywaniu krzyżówek!

– Krzyżówek? – zdziwił się kapitan.

– Tak. Wprost nas tym zamęczał. Bo musi pan wiedzieć, że chyba nigdy w życiu nie udało mu się jakiejś krzyżówki rozwiązać do końca. Zawsze coś mu tam brakowało. Wtedy chodził i pytał wszystkich naokoło...

– Pytał na przykład: „Co lubią tygrysy?” Właśnie ostatniego wieczora męczył nas tym...

– A myśmy się wyśmiewali... – żałośnie powiedziała Zulka.

– Tak, to był nieustający powód do kpin, ta pasja Gutka – przyznał Eda. – Nikt mu nigdy nie chciał odpowiedzieć po ludzku.

– Nie można negocjować, dość szerokie zainteresowania, jak na jednego osobnika – skomentował kapitan Zaliwski. – Dziękuję państwu. Już mam nieco wyrazistszy, pełniejszy obraz waszego kolegi.

– Przyda się to panu do czegoś? – sceptycznie odezwał się Jerzy.

– Nigdy nie wiadomo, co może się przydać, a co nie. Czasem drobiazgi decydują o dojściu do jakichś pozytywnych rozwiązań.

– Pozytywnych! – mruknął Bolo. – W tym kontekście to, przyzna pan, bardzo dziwnie brzmi.

– Nie z mojego punktu widzenia, niestety.

– Tak, naturalnie. Skrzywienie zawodowe. Wszyscy temu w jakiejś mierze podlegamy.

– Przykro mi, że jednak w tym wypadku muszę forsować mój punkt widzenia jako jedyny do przyjęcia. Ale przejdźmy do innych spraw. Jest to dla mnie także rzeczą bardzo istotną zrekonstruowanie wypadków tego dnia i nocy. Muszę prosić państwa w tym o pomoc.

– Raczej wątpię, czy będziemy jej w stanie panu udzielić – powiedział grzecznie, z lekko tylko wyczuwalną ironią Jerzy. – Z dniem nie ma problemu, ale z wieczorem będzie gorzej, a z nocą już całkiem źle...

– Widzi pan, to było kosmiczne pijaństwo i choć głowy mamy na ogół mocne, tym razem film nam się wyraźnie urywał... Sami już

chcieliśmy sobie coś przypomnieć, ale to raczej beznadziejna sprawa – dodał ze skrucą Eda.

– Spróbujemy jednak. Może wspólnymi siłami jakoś dojdziemy do pewnych ustaleń. Przecież w końcu każde z państwa coś tam zapamiętało. Jak to razem poskładamy, może coś wyjdzie.

– Jak pan sobie życzy, ale nie rokuję temu zbyt wielkich nadziei – obojętnie powiedział Jerzy.

– Może zaczniemy od tego, jak w ogóle przebiegał pobyt nad jeziorem w tym roku.

– Na ogół normalnie. Jeżeli nie brać pod uwagę tej ostatniej historii... – z nieco makabrycznym humorem stwierdził Bolo.

Kapitan obrzucił go uważnym spojrzeniem. Nie był przyzwyczajony do podobnych zachowań. Ciągnął jednak dalej:

– Czy państwo wszyscy przyjechali razem?

– Oczywiście nie. Też jak zwykle, bo każdy z nas ma inaczej rozplanowany czas, zależnie od własnej pracy. Ja na przykład – powiedział Jacek – przyjechałem później i miałem wyjechać jeszcze przed końcem obozu. W ogóle byłem zadowolony, że chociaż te kilka dni mogę dla siebie wygospodarować. Mniej więcej za miesiąc wyjeżdżam do Kanady i mam w związku z tym całą masę spraw do załatwienia.

– Panowie przyjechali pierwsi? – zwrócił się kapitan do Jerzego i Bola.

– Tak. I Eda oczywiście. Gutek nas przywiózł swoim wozem. Mój samochód jest właśnie w remoncie, a Eda i Bolo jeszcze nie mają – rzeczowo informował Jerzy.

– Długo panowie byli w czwórkę?

– Trzy, nie, cztery dni, bo Jacek się spóźnił o jeden dzień i dołączył do nas w tym samym dniu co Karol z Zułą.

– Można wiedzieć, dlaczego pan się spóźnił? – spytał kapitan Jacka.

– Oczywiście! – odpowiedział wzruszając ramionami. – Przypomniałem sobie o pewnych nie załatwionych sprawach i wolałem załatwić je przed przyjazdem nad jezioro. Byłem jeden dzień w Warszawie i prosto stamtąd przyjechałem tutaj.

– Czy jeszcze ktoś miał być w tym roku obecny na waszym obozie i nie przyjechał?

– Owszem, jeden z naszych kolegów wybierał się, ale tuż przed naszym wyjazdem okazało się, że nie może. Przyjechali do niego zaprzyjaźnieni znajomi z zagranicy i jego plany wakacyjne uległy zmianie. Razem z tymi znajomymi wybierał się w góry.

– Więc aż do dnia „bumsu”...

– O, już pan zdążył poznać to określenie? – zdziwił się Jerzy.

– Tak. A więc aż do dnia owego „bumsu” wszystko było jak zwykle?

– No, niezupełnie – wtrącił Eda.

– Dlaczego „niezupełnie”?

– Chociażby dlatego, że po raz pierwszy przebywała na naszym obozie kobieta. Zwykle spędzaliśmy czas w czysto męskim gronie, nawet utarło się nazywać nasz pobyt tutaj „męskimi rekolekcjami”. W tym roku było po raz pierwszy inaczej.

– Czy tylko z tego względu było inaczej?

– Uważa pan, panie kapitanie, że obecność kobiety może być bez znaczenia? – z podejrzaną galanterią zauważył Eda.

– Mógłbyś dać spokój głupim żartom, chyba to nie jest najwłaściwsza chwila – chłodno stwierdził Jerzy, a Bolo wyraził głośno swoją aprobatę dla stanowiska Jerzego.

– Czy ja coś niewłaściwego powiedziałem? – bronił się Eda. – Po prostu zwykłe stwierdzenie oczywistości. No bo przecież było trochę inaczej, chociażby dlatego, że obecność jakiegokolwiek przedstawiciela płci pięknej automatycznie narzuca mężczyznom inny styl bycia. Tylko

tylko i tylko to chciałem stwierdzić, a chyba pan kapitan, wbrew reakcji moich kolegów, dobrze mnie zrozumiał, prawda?

– Mam wrażenie, że dobrze – mruknął kapitan pomyślawszy, że koniecznie trzeba się bliżej przyjrzeć kontaktom Edy z Jerzym. Coś między tymi dwoma niewątpliwie jest... A i z tą Zulką jakaś niewyraźna historia. Dlaczego już po raz drugi Eda tak obcesowo kieruje na nią uwagę? Jerzemu i Bolowi wyraźnie się to nie podoba. Ciekawe dlaczego jej mąż, Karol, milczy jak zaklęty? – Przejdźmy zatem do dalszej rekonstrukcji wydarzeń – powiedział, obiecując sobie powrócić do tej sprawy w rozmowach indywidualnych, zwłaszcza w rozmowie z Edą. – Od kogo wyszedł projekt urządzenia w tym dniu „bumsu”?

Popatrzyli na siebie niepewnie.

– To chyba ty, Eda, najbardziej za tym gardłowałeś? – powiedział wreszcie Jacek.

– Eda jest na ogół pierwszy w tego rodzaju inicjatywach – dorzucił Jerzy.

– Przepraszam, jeżeli chodzi o ścisłość, to wszyscy mieli ochotę na bums – powiedział Eda. – Już co najmniej od dwu dni stale ktoś zagadywał na ten temat. A Bolo chyba jeszcze częściej niż ja.

– Racja! – przyznał Jacek. – Więc było tak, że wszyscy byliśmy zgodni w sprawie urządzenia bumsu, a stosunkowo najwięcej aktywności, jeśli można się tak wyrazić, wykazywali Eda i Bolo.

– A pan Norski? – spytał kapitan.

– Gutek? Jak na niego, przejawiał nawet nadzwyczajną ochotę – stwierdził Jerzy. – To on zajął się składką na alkohol. On także razem z Jackiem pojechał do miasteczka. Delegowaliśmy ich – dodał, uprzedzając pytanie kapitana – bo z nich najślabi rybacy, a chcieliśmy na kolację nałowić jak najwięcej ryb.

– Czy mógłby pan coś powiedzieć o zachowaniu się pana Norskiego w czasie waszej wspólnej wyprawy do miasteczka? – spytał kapitan Zaliwski Jacka.

– Takie jak zwykle. Nie odbiegające od normy. W każdym razie ja nic niezwykłego nie dostrzegłem – wzruszył ramionami Jacek.

– Panowie zdaje mi się mieli na wstępie jakąś sprzeczkę?

– Sprzeczkę? – szczerze zdziwił się Jacek. – Ach, zapewne chodzi panu o to przepieranie się, którym samochodem pojedziemy. Takie rozmówki należały do naszego stałego repertuaru i właściwie prowadziliśmy je gwoli tradycji. Przecież od początku wiedziałem, że Gutek nie da się wyrugować z miejsca przy kierownicy. O, to nie on! Owszem, poprowadziłby moje volvo, ale ja, widzi pan kapitan, mam swoje zasady. Zresztą Gutek doskonale o tym wiedział. Więc rzeczywiście trudno to określać jako „sprzeczkę”.

– Czy mógłby pan, chociaż pokrótce, zrelacjonować, o czym panowie rozmawiali?

– Trochę o tym, trochę o tamtym... On sobie pokpiwał z mojej naukowej aktywności, ja z jego nagle w tym roku objawionej pasji do samotnego łowienia uklejek... Rzecz ma się tak, panie kapitanie, że nawet gdybym panu zrelacjonował słowo po słowie, a to, jak się pan orientuje, byłoby bardzo trudne, bo po prostu tak zapamiętywać jakiegokolwiek rozmowy, zwłaszcza wtedy gdy nic nie wskazuje na ich doniosłość, jest niemożliwe, cóż, jak powiedziałem, gdybym był nawet w stanie wszystko dokładnie powtórzyć – nic by to panu, jak sądzę, nie dało. Bo widzi pan, myśmy mieli taki specyficzny, ugruntowany tradycją sposób porozumiewania się, który dla ludzi postronnych nie bardzo był zrozumiały. Czasem może nawet szokujący, co żeśmy nie raz i nie dwa stwierdzili. Ot, choćby i ta „sprzeczką”. Być może dla kogoś, kto słuchał z boku, mogło to wyglądać na sprzeczkę. Ale dla nas nią nie było. Nie wiem, czy dość jasno to ujmuję, bo to w ogóle trochę trudne do pojęcia dla kogoś, kto nas bliżej nie zna, nie może się orientować w naszym sposobie bycia, ugruntowanym wieloletnią znajomością i wypływającą stąd tradycją.

– Sądzę, że wiem, o co panu chodzi. Więc trzymajmy się tylko faktów. Czy pan Norski odebrał jakąś pocztę? Czy może spotkał się z kimś w miasteczku?

– Nie. Cały czas byliśmy razem. Poczta była tylko dla Jerzego i Karola. Zresztą nie byliśmy w miasteczku długo. Załatwiliśmy sprawunki, kupiliśmy wiktuały i alkohol i zaraz żeśmy wyruszyli z powrotem. Aha, musieliśmy wrócić z drogi, bo przypomniało nam się, że nie kupiliśmy papierosów. Gutek nabył je w kiosku. To chyba wszystko.

– A państwo co przez ten czas robili? Aha, panowie łowili ryby, a pani?

– Opalałam się. A potem, gdy Gutek z Jackiem wrócili, zajęłam się przygotowaniami do kolacji.

– Co pan Norski robił po powrocie?

– Najpierw zrzuciliśmy łachy i skoczyliśmy do wody – powiedział Jacek. – Było strasznie gorąco, spociliśmy się w drodze. A potem ja ściągałem drzewo na ognisko, rozmawiałem z Zulką... A Gutek?

– Gutek leżał i grzebał się w jakichś gazetach – włączyła się do rozmowy Zula. – Pewnie rozwiązywał te swoje nieśmiertelne krzyżówki, bo nawet nam nie raczył odpowiedzieć, gdyśmy go wołali, żeby trochę pomógł. Pamiętasz?

– Rzeczywiście.

– Tak żeśmy jakoś dobrnęli, jak się orientuję do właściwego „bumsu”, prawda? – stwierdził kapitan.

– No jeszcze przedtem było sporo zamieszania. Trzeba było oskrobać ryby, a Eda nam się zbuntował, że stale tego robić za wszystkich nie będzie, więc się po swojemu posprzeczali, grali nawet w „marynarza”, kto ma Edzie pomagać. Potem wszyscy „robili tualetę”, no i w końcu zaczął się ten „bums” – objaśniała Zula.

– Jak zachowywał się pan Norski?

– Jak najbardziej normalnie – tym razem czuł się w obowiązku odpowiedzieć Bolo. – Tempo od początku było dość duże. To pewnie nas zgubiło.

- Eda stale wznosił toasty – dorzucił Jerzy.
- Ty także – powiedział znacząco Eda. – Na przykład za rozwiązywaczy krzyżówek...
- Bo Gutek, gdy tylko sobie trochę wypił, zaczął nas znowu zadreżać swoim nieśmiertelnym problemem „co lubią tygrysy?”... – objaśnił Bolo.
- I co, nikt z panów nie odpowiedział mu na to pytanie?
- Nie. Chyba nie... Nie chciało nam się po prostu wysilać mózgu na takie głupstwa. Zresztą chyba Gutek nie liczył nawet na to. Przecież już przedtem tyle razy nas pytał... To, wie pan, stało się jakimś hasłem wywoławczym do nowej formy zabawy. Tak to traktowaliśmy – ciągnął Bolo.
- Czy państwo cały czas przebywali razem?
- I tak, i nie. W zasadzie siedzieliśmy wszyscy przy ognisku. Jednak co jakiś czas ktoś odchodził na bok. No, wiadome sprawy. Zwłaszcza że konsumpcja płynów znacznie przekraczała zwykłe normy – odpowiedział Eda.
- Czy zdarzyło się, że nie było przy ognisku większej liczby osób na raz?
- O, zapewne. Chęć wyrażona przez jedną osobę, wywołuje z reguły w tym względzie reakcję zbiorową. Ale harmonogramu zaiste nie mógłbym tu panu podać. Wiem, że sam odchodziłem kilka razy. Że raz było mi dosyć trudno trafić z powrotem. Ktoś mi, pomógł, ale kto? Ty, Eda? – mówił Jerzy.
- Nie pamiętam. Może i ja. Tyle sobie przypominam, że gdy ostatni raz spojrziałem na zegarek, była blisko północ. A potem tylko jakieś fragmenty. Zula stała na tym pieńku i „chrzciała” Karola wódką, Bolo z Karolem coś tam z sobą mieli do pogadania, bo aż odeszli razem na bok, sam chyba bodaj posprzeczałem się z Jerzym, ale o co? Zupełnie nie pamiętam...

- O operetki Offenbacha – przypomniał Jerzy.
 - Możliwe. No i śpiewaliśmy. Chyba dość dużo i głośno, bo rano byłem zupełnie zachrypnięty. Aha, Karola zmuszaliśmy do śpiewu, a on nie ma głosu i nie chciał, dalej już tylko pamiętam kąpiel. Chyba mnie woda trochę otrzeźwiła. Potem poszedłem spać.
 - Czy ktoś z państwa rozmawiał dłużej z panem Norskim?
 - Dłużej? Chyba nie. Konwersacja była raczej ogólna. Jeżeli można nazwać konwersacją takie gadki prowadzone w pijanym widzie...
 - Ja jakiś czas siedziałem przy Gutku – odezwał się po raz pierwszy Karol. – Ale nie bardzo pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Chyba tak ogólnie, o życiu. I o kobietach – dorzucił po chwili namysłu.
 - I ty, Jacek, chyba też gadałeś z Gutkiem? – powiedział Bolo.
 - A tak. Coś sobie przypominam, ale mętnie. Zdaje się, rozmawialiśmy o moim ostatnim pobycie w Szwecji. I o Kanadzie – odpowiedział Jacek.
 - Wszyscy państwo do końca uczestniczyli w „bumsie”?
 - Wszyscy. A raczej nie. Prawda! Karol „padł”. Zasnął przy ognisku na amen, tak że nie było siły, która sprowadziłaby go na ziemię. Więc żeśmy go procesjonalnie, ze śpiewem odnieśli do namiotu. I Jacek na jakiś czas gdzieś się nam zapodział. Pamiętacie? Wtedy gdy zabrakło drzewa i ściągaliśmy dodatkową partię z lasu.
 - Chyba gdzieś przysnąłem na chwilę.
 - Pan Norcki nigdzie nie odchodził na dłużej?
 - Nie.
 - Czy państwo pamiętają, kto pierwszy zaproponował kąpiel?
- Chwilę trwała cisza.
- Bodaj ty, Bolo? – powiedział po namyśle Eda.
 - Pamiętam, że ty pierwszy skoczyłeś do wody – rzekł Jerzy.
 - Nie, pierwsza była Zulka – sprostował Bolo.
 - Naprawdę trudno nam na to pytanie odpowiedzieć. Wszyscy

mieliśmy na kąpiel ochotę. Ponadto jest to w jakimś sensie tradycja bum-sów nad jeziorem. Prawie z reguły kończą się nocną kąpielą – podsumował Jerzy.

- Więc tylko pan Karol nie uczestniczył w tej kąpeli?
- Tak, tylko Karol, bo w tym czasie już spał w swoim namiocie.

Wszyscy pozostali wypłynęli na jezioro – potwierdził Jacek.

- Która wtedy była godzina?

– Trudno powiedzieć. Jeszcze było ciemno... Ale chyba już blisko świtu, bo pamiętam, że zrobiło się chłodno. Druga, po drugiej...

- Potem państwo poszli spać?

– Oczywiście. Co innego w takim stanie można zrobić? Tylko iść spać – roześmiał się Bolo.

- A ognisko? Palilo się dalej?

– Ależ skąd! My jesteśmy, panie kapitanie, starzy obozowicze. Zaleliśmy ogień wodą jeszcze przed pójściem do wody.

- I już wszyscy nie zebraliście się po kąpeli?

– Nie. Niektórzy mieli dość kąpeli stosunkowo szybko. Jacek już stał na brzegu, kiedy przyplynałem – powiedział Jerzy. – Zaraz poszedłem do namiotu. Edy jeszcze nie było.

- Czy państwo tak byli porozmieszczani po namiotach, jak obecnie?

– Tak. Gutek z Bolem, ja z Edą, Karol, oczywiście, z Zulą, no i Jacek sam.

- Pan wrócił później? – zwrócił się kapitan do Edy.

- Zwykle wypływam dosyć daleko. Tak było i tym razem.

- Czy wracając spotkał pan kogoś?

- Nie. Chyba wszyscy wrócili wcześniej.

– Poza panem Norskim – zauważył kapitan. – A pani? – zwrócił się do Zuli.

- Ja... ja nie pływałam długo. Zaraz za mną przyplynał Bolo. Innych nie widziałam.

– Więc z tego wniosek, że kolejność wychodzenia na brzeg była następująca: pan Jacek, pan Jerzy, pani Zula, pan Bolo i pan Eda. Pan Nor-ski, jak wiemy, już w ogóle nie wyszedł... Czy nikt z państwa w czasie kąpieli nie zauważył żadnej łodzi?

– Było ciemno. Nawet gdyby coś stało w pobliżu, trudno by nam było zauważyć, zwłaszcza po takiej ilości alkoholu, jaką wypiliśmy – powiedział Eda.

– No to chyba na razie wszystko. Niewiele tego, ale zawsze coś. Nie będę państwa dzisiaj dłużej męczył. Późno się zrobiło. Pora chyba spać?

Rozeszli się do namiotów w dość ponurym milczeniu. Nikt nie objawił ochoty na wieczorną kąpiel.

Rozdział VI

Ranek był pogodny jak już od wielu dni tego upalnego sierpnia. Jezioro leżało spokojnie w okolu szuwarów, cienisty las zastygł w bezruchu. Tylko z przeciwległego brzegu od czasu do czasu dochodziły podniesione głosy kempingowiczów, dolatywały strzępy melodii emitowanej przez skrzekliwy tranzystor. Po gładkiej wodzie snuły się tam i sam kolorowe wrzeciona kajaków, intensywne w barwie w tym nasyconym słońcem sielankowym krajobrazie. I tutaj, na tym brzegu, kolorowe namioty wśród soczystej zieleni polanki, zamkniętej z jednej strony ścianą cieniatego lasu, z drugiej otwartej na błękitny przestwór wody i nieba, stwarzały pozór sielanki. Ale sprawy ludzkie dalekie były od tego nastroju.

Obozowicze ospale snuli się po uroczej polanie, kapitan Zaliwski zbierał się powoli do drogi. Jeszcze dzisiaj musiał się zameldować w komendzie u szefa.

Zresztą cóż tu więcej było do roboty? To, czego się miał dowiedzieć, już się dowiedział. To znaczy tyle co nic. Garść szczegółów, które nie wiadomo czy do czegokolwiek mu się przydadzą. Długo w noc przewracał się w swoim śpiworze, rozmyślając nad całą sprawą. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to musiało być jedno z nich, i ta myśl sprawiała mu niejaką przykrość. Po kolei rozpatrywał kandydatury na mordercę i po kolei je odrzucał. Motyw! Jaki mógł zadziałać motyw? Nic mu nie pasowało, nic się nie kleiło.

Rano wstał niewyspany i nie w humorze. Widział, jak obserwowali

go spod oka, może już bez wczorajszej ostentacyjnej niechęci, ale także bez sympatii. Ba! A z jakiego tytułu mieliby go darzyć sympatią? Stali po przeciwnej stronie barykady. I na to nie było żadnej rady.

Śniadanie minęło raczej w ciszy. Od czasu do czasu ktoś rzucił jakieś mało znaczące zdanie, po czym znów zapadało milczenie.

Tuż po śniadaniu do kapitana Zaliwskiego zbliżył się Jacek.

– Panie kapitanie, trochę niepokoję się o swój wyjazd. Wszystko już zostało ustalone, oczekują mnie w Kanadzie. Nie wiem, czy z powodu tych spraw tutaj nie będzie jakichś komplikacji...

– To zależy, jak dalej będzie przebiegało śledztwo. Być może do pana wyjazdu sprawa się wyjaśni. Ale sam pan rozumie, obiecywać tutaj cokolwiek byłoby lekkomyślnością.

– A jeśli się nie wyjaśni?

– Jeśli się nie wyjaśni, to zapewne będzie pan niestety musiał przesunąć swój wyjazd na późniejszy termin.

– Ależ to niemożliwe!

– Proszę pamiętać, że jest to śledztwo w sprawie morderstwa.

– Chyba pan mnie nie posądza, że mógłbym zamordować kolegę!

– Uważa pan, że powinienem w większym stopniu podejrzewać pana przyjaciół?!

– Nie. Przecież tego nie powiedziałem...

– Ale to właśnie wynikało z pana wypowiedzi. Niestety, proszę pana, póki nie zamkniemy śledztwa, wszyscy państwo muszą pozostać z nami w kontakcie, w każdej chwili być osiągalni.

– Ależ to się może ciągnąć miesiącami!

Kapitan rozłożył ręce.

– To zależy w dużej mierze i od państwa – powiedział. – Na ile ze-
chcecie nam pomóc.

– Czyżby pan oczekiwał, że zajmiemy się szpiegowaniem i

denuncjowaniem jeden drugiego? – powiedział ze złością Jacek.

– Nie, proszę pana. Wystarczy, jeżeli nie będziecie ukrywali przed nami istotnych w tej sprawie szczegółów.

– Sugeruje pan, że coś ukrywamy?

– Ja nic nie sugeruję. Ja odpowiadam po prostu na pana dość ostro sformułowaną uwagę.

Jacek zreflektował się.

– Przepraszam, panie kapitanie. Jestem wyprowadzony z równowagi tą sprawą. Wszystkie moje plany naukowe mogą być pokrzyżowane. Proszę zrozumieć, jak bardzo mi to nie na rękę...

– Rozumiem. Przynajmniej staram się zrozumieć. Ale proszę również pamiętać o tym, że pana przyjaciel, Gustaw Norski, już nigdy żadnych swoich planów ani naukowych, ani innych nie będzie w stanie zrealizować...

Kapitan odwrócił się na pięcie i odszedł. Prawdę powiedziawszy, sposób podejścia do sprawy, jaki zademonstrował Jacek, wprowadził go wściekłość. Coraz bardziej uświadamiał sobie trudności, jakie go czekają w śledztwie, w kontaktach z tymi ludźmi.

Miał do załatwienia jeszcze jedną rzecz, o której powinien był wcześniej pomyśleć. A właściwie powinien to zrobić sierżant zaraz po otrzymaniu wyników sekcji. Służbisty i formalistyczny sierżant! A jednak nie dopatrył. Swoją drogą mogło być i wtedy za późno. Jeżeli istniało w ogóle coś, co mogłoby wskazać jakiś ślad, morderca miał dość czasu, inteligencji i możliwości, ażeby to w porę usunąć. Ale i tak, i tak dla porządku trzeba zabezpieczyć wszystko, co pozostało po Norskim. Zwrócił się z tym do Bola jako współmieszkańca namiotu.

– Ależ oczywiście, panie kapitanie – powiedział Bolo. – Nikt tutaj niczego nie ruszał.

Niewiele tego było. Spodnie, dzinsy, parę koszul, dwa swetry – ot, zwykły ekwipunek turysty. Oczywiście dowód osobisty, legitymacja

kolejowa (po co ją zabierał, skoro podróżował samochodem?), notes, jakieś dwie karty pocztowe i kilka innych szpargałów. Osobno leżała spora kupka gazet. Kapitan zawahał się, czy warto to w ogóle zabierać, ale przypomniał sobie krzyżówkowe hobby Norskiego i do zabieranych rzeczy dołączył także gazety.

Czegoś mu jednak wyraźnie jeszcze brakowało. Prawda! Co z prawem jazdy i kartą samochodową?

– Na pewno są w wozie – objaśnił Bolo. – A kluczyki od wozu są chyba w dzinsach w tylnej kieszeni. Zawsze je tam kładł.

Rzeczywiście były. Kapitan zabrał więc ze sobą Bola i poszli razem do leśniczego. Samochody stały pod wiatą. Ale w wozie Gutka kapitan również nie znalazł nic ciekawego. Jeszcze kilka szpargałów, kilka gazet. Nic więcej. Kartę wozu zostawił na miejscu, bo przecież musieli wracać autem.

– Kiedy państwo chcą wyjechać? – spytał przy okazji kapitan.

– Jeżeli zakaz pozostawiania na miejscu jest cofnięty, to jak najszybciej. Choćby dziś. Sądzę, że wszyscy podzielają moje zdanie, bo pozostawać tutaj po tym, co się stało... Zresztą trzeba się zająć pogrzebem. Z bliższej rodziny Gutek miał tylko matkę. Trudno, żeby ona się tym zajmowała. Jest jeszcze zamężna siostra, ale mieszka za granicą. Pewnie nie będzie jej nawet na pogrzebie.

Wrócili do obozu. Sierżant, zapięty na ostatni guzik, sztywny i w każdym calu służbowy, czekał już ze swoim motorem na kapitana.

Nastąpiły pożegnania, kapitan Zaliwski raz jeszcze, żeby nie było żadnych wątpliwości, powiedział głośno, że żaden nakaz pozostawiania na miejscu nie obowiązuje, że natomiast bardzo prosi o skontaktowanie się z nim po powrocie do miasta. Podał im adres, numer telefonu. I o uprzedzenie go o każdorazowej zmianie miejsca pobytu. Najlepiej jednak, żeby przez najbliższe dni byli osiągalni na miejscu. To może okazać się bardzo potrzebne. Ponadto zalecił jak najdalej idącą dyskrecję.

W interesie śledztwa, instytucji, jaką reprezentują, a przede wszystkim w dobrze rozumianym interesie własnym. Oficjalna wersja brzmi: wypadek, utonięcie. I to ich obowiązuje.

Kiedy już wjeżdżali w las, kapitan obejrzał się odruchowo za siebie. Wszyscy obozowicze stali na polanie. Jakby pozowali do pamiątkowej zbiorowej fotografii. Malownicza grupa w pełnym, jaskrawym słońcu sierpnia. Jeden z nich był mordercą.

Sierżantowi widocznie podobne myśli chodziły po głowie, bo ledwie zdążyli się nieco oddalić, powiedział:

– Kiedym przyjechał i nie zastał obywatela kapitana, tom się już bał, że coś się niedobrego przydarzyło.

– A co się mogło stać? – roześmiał się kapitan.

– Co? Toć ten morderca mógł próbować i obywatela kapitana sprzątnąć.

– On jest na to za mądry, sierzancie. O wiele za mądry...

– Więc jednak obywatel kapitan doszedł do wniosku, że to jeden z nich! – z satysfakcją stwierdził sierżant. – Od razu tak mówiłem!

– E, jeszcze nic pewnego. Sprawdziliście tych z kempingu?

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej możliwości. Ale za tymi dzikimi turystami sam diabeł nie trafi. A jakby już co – to na pewno byłby właśnie taki dziki.

– A co z tymi dwoma, co nocowali koło leśniczówki?

– Jeszcze nic nie wiadomo. Ale już ich szukają i dadzą znać, jak tylko trafią na ślad. Ale po mojemu te chłopaki nic nie mają do tego.

– Mają, nie mają... sprawdzić trzeba.

– Tak jest, obywatelu kapitanie – powiedział służbiście sierżant.

Na posterunku kapitan nie zabawił długo. Wziął listę kempingowiczów, zalecił natychmiast przysłać meldunek, jeśliby coś nowego przypadkiem wyszło na jaw, w końcu pożegnał służbistego sierżanta i wsiadł do wołgi.

Jechali dosyć ostro i kapitan, zajęty porządkowaniem swoich wiadomości w sprawie morderstwa nad jeziorem, ani się obejrzał, jak zajechali przed budynek komendy wojewódzkiej. Zaraz też zameldował się u szefa.

– No jak tam, wyszperaliście coś? – powitał go szef.

Kapitan przedstawił dość szczegółowo wszystko, o czym zdołał się dowiedzieć. W miarę opowiadania mina szefa coraz bardziej posępniała.

– Z tego, co mi tutaj mówicie, wniosek jest jeden: nie ma się absolutnie za co zaczepić – mruknął w końcu. – Żadnego motywu, żadnych poszlak...

– Tak jest, obywatelu pułkownika.

– Co proponujecie?

– Po pierwsze dokładne przesłuchanie podejrzanych. Jestem pewien, że każdy coś tam ukrywa w zanadrzu. W obecności innych nie chcieli albo nie mogli tego ujawnić, ale w rozmowie w cztery oczy może będą mniej dyskretni.

– Dobrze. Tylko pamiętajcie, z jakimi ludźmi macie do czynienia. Trzeba z nimi w białych rękawiczkach.

– O, to już mi dali do zrozumienia oni sami – zauważył kapitan.

– Co dalej?

– Dalej, obywatelu pułkownika, trzeba moim zdaniem zebrać wszystkie możliwe informacje zarówno o zabitym, jak i o podejrzanych.

– Czyli chcecie zatrudnić całą komendę! Bójcie się Boga, przecież urlopy!

– Ja sam miałem iść na urlop za tydzień – smętnie zauważył kapitan.

– Rzeczywiście. No ale takie jest życie, kapitanie, zwłaszcza w milicji. Więc mam wam przydzielić ludzi, tak?

– Tak, obywatelu pułkownika. A specjalnie proszę o Zawadę. On ma dostęp do tego środowiska. Jeśli on czegoś nie wyszpera – to nikt.

– Dobrze. Co jeszcze?

– To chyba na razie wszystko. Psów, daktyloskopów ani radiowozów nie potrzebuję – z wisielczym humorem powiedział kapitan. – Jedyne genialny Sherlock Holmes bardzo by mi się przydał w tej sprawie.

– Niestety w tej chwili Sherlockiem Holmesem nie możemy wam służyć. Ale znacie przecież jego metody... – zakpił pułkownik. Momentalnie jednak poważniejąc dodał już serio: – Jakoś musicie sobie radzić. Tylko pamiętajcie: ostrożność i dyskrecja. Oczywiście obowiązuje wersja wypadku przy pływaniu.

Kapitan Zaliwski opuścił gabinet swego przełożonego bynajmniej nie podniesiony na duchu. Wprawdzie miał już na swoim koncie rozwikłanie wielu tak zwanych trudnych spraw, ale wszystkie one przy tej, z którą teraz się zetknął, wydały mu się dziecinnie proste. I jeszcze to „działanie w białych rękawiczkach”! Bardzo się obawiał, czy tym razem nie przyczyni się aby do zwiększenia statystyki spraw nie rozwiązanych, odłożonych w końcu „ad acta”. Był ambitny i bynajmniej mu nie odpowiadało podobne rozwiązanie.

Jakby nie było, trzeba się zabrać do pracy – powiedział sobie w końcu i na początek wezwał do siebie porucznika Zawadę.

Był to młody jeszcze człowiek o świetnej prezencji i doskonałych manierach. Koledzy, skłonni zawsze do przylepiania łątek, nazywali go czasem żartobliwie „Świętym”. Kapitan sam się nieraz zastanawiał, co skłoniło tego ulubieńca kobiet do wybrania podobnego zawodu. Ale choć niejednokrotnie w rozmowach z porucznikiem starał się coś na ten temat dowiedzieć, nigdy mu się to nie udało. Porucznik Zawada nie lubił mówić o sobie. Na każdy inny temat mówił chętnie i dużo. A zainteresowania miał rozległe. Można go było spotkać na odczycie, w filharmonii, chętnie odwiedzał salony wystawowe, orientował się w towarzyskich i koteryjnych układach sfer naukowych i artystycznych. Był zawsze „au courant” Wszelkich nowinek i ploteczek. Jego znajomości – podobnie

jak zainteresowania – były rozległe. Dlatego bywał nieoceniony w sprawach wymagających dobrej informacji, a jednocześnie ścisłej dyskrecji.

Kapitan Zaliwski bardzo liczył na jego współpracę przy rozwiązywaniu tej przekłętej sprawy. Nieraz już zresztą pracowali razem; można powiedzieć, że byli nawet ze sobą zaprzyjaźnieni, jeśli porucznik Janusz Zawada przyjaźnił się naprawdę z kimkolwiek...

– Coś ciekawego? – powiedział wchodząc do pokoju kapitana i sadowiąc się na niewygodnym krześle.

– Że trudno jeszcze coś ciekawszego wymyślić – z goryczą zauważył Zaliwski.

– O, aż tak?

– Aż tak. Takiej cholерnej sprawy chyba jeszcze nie mieliśmy – i referował szczegółowo wypadki nad jeziorem.

Porucznik słuchał nie przerywając. Na zakończenie powiedział:

– Stawiasz na kogoś z tego miłego grona?

– No a na kogo innego można stawiać?

– Bo ja wiem... Może przyczyna tkwi w życiu Norskiego? Pamiętaj, że do tej pory zupełnie wykluczyć nie można udziału kogoś z zewnątrz.

– To mało prawdopodobne.

– Ale możliwe.

– Owszem, wiem, że możliwe. Dlatego kazałem odszukać tych dwu z żagłówką, kazałem sprawdzić, kto biwakował na kempingu.

– To ci nic nie da. Ktoś, kto miałby istotny interes w zabiciu Norskiego, na pewno urządziłby się tak, że nikt by go na oczy nie widział w pobliżu obozu naukowców. Warunki tam przecież na to znakomite.

– Nie takie to proste, jak ci się wydaje. Pomyśl, musiałby przecież znać ich obyczaje, wiedzieć o „bumsie”, ba, i to także, że zachce im się potem w pijanym widzie kąpać!

– Zdaje się mówiłeś, że u nich to niejako tradycja, ta kąpiel nocna po picciu.

– Tak. Coś takiego mówili. Ale skąd ten twój hipotetyczny „ktoś” mógłby wiedzieć, o jakiej porze nastąpi owa kąpiel? Sami przecież tego nie wiedzieli...

– Po prostu mógł czekać na odpowiedni moment do działania.

– Takie numery – to tylko wywiad!

– A masz pewność, że Norski w coś takiego nie był wplątany? Pamiętaj, że dość często, jak to wynika z jego biografii, wyjeżdżał do Niemiec Zachodnich, że ma tam rodzinę...

– Masz rację. Czegoś takiego z góry nie można wykluczyć. Zatem trzeba będzie przez szefa zadziałać, żeby sprawdzili powiązania zagraniczne Norskiego. Chociaż... chociaż muszę ci powiedzieć, że raczej wątpię w wyniki. Jakoś nie pasuje mi to do Norskiego.

– Kto wie, co w człowieku siedzi? Zresztą ja wcale nie sugeruję, że trzeba się tej właśnie koncepcji ucześcić i po tej linii prowadzić dalsze śledztwo. Po prostu wskazuję ją jako jedną z możliwych.

– Jedną z wielu możliwych – smętnie zauważył kapitan.

– A wracając do twojej koncepcji, to zapewne chcesz, żebyśmy zebrali informacje o twoich pupilach znad jeziora, co? Chyba po to właśnie zaangażowałeś mnie do tej sprawy?

– Twoje detektywistyczne uzdolnienia przynoszą ci chlubę. Oczywiście. Problem jest diablo delikatny i szef aż się trzęsie, żebyśmy nie strzelił jakiejś gąfy. Pewnie łatwiej by mi wybaczył poszkapienie się w śledztwie niż nastąpienie na odcisk temu środowisku...

– Przesadzasz, stary.

– Może i przesadzam.

– Od kogo zaczynamy?

– Przede wszystkim chciałbym mieć nieco dokładniejsze wiadomości o samym Norskim. Bo jeśli ty masz rację...

– Dobrze. Ale to nie będzie łatwe. Zwłaszcza teraz. O umarłym źle się nie mówi...

Długo jeszcze po odejściu Zawady kapitan siedział wpatrzony tępo w blat biurka. Rozważał koncepcję, którą wysunął porucznik. Ale do żadnych wniosków nie doszedł.

Zabrał się tedy do zbadania pozostałych po Norskim szpargałów. Najwięcej było gazet. Uśmiechnął się, przeglądając numer „Rozrywki”. Rzeczywiście zgodnie z tym, co mówili jego przyjaciele, Norski nie miał zwyczaju rozwiązywać krzyżówek do końca. Wszystkie były zaczęte, w niektórych brakowało zaledwie dwóch, trzech wyrazów, niekiedy nawet wcale nie tak trudnych do odgadnięcia. Złapał się na tym, że mechanicznie dopełnił jedną z takich krzyżówek. Wyglądało na to, że Norskiemu zdecydowanie brakło cierpliwości, w związku z tym zamiast się głowić nad prawie rozwiązaną, wołał przechodzić do następnej krzyżówki. Szczególne obyczaje u naukowca – pomyślał Zaliwski.

Dlatego zaskoczył go numer „Sztandaru Młodych”, w którym krzyżówka nie świeciła pustymi miejscami. Jeden wyraz wpisano widać na kolanie, ołówkiem. Brzmiał: „tran”. Kapitan odszukał pytanie – trzecie poziomo – „Co lubią tygrysy?”

Zabawne – pomyślał – tran? Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Ale zaraz... coś mi się tu jednak nie zgadza. Przecież to tym pytaniem cały czas zamęczał kolegów Norski nad jeziorem. Kto to mówił, że jeszcze w czasie „bumsu” o to pytał? Bolo? Nie, chyba Jerzy. Tak, Jerzy. Ciekawe, czy sam wpadł na to rozwiązanie, czy ktoś mu podpowiedział. Trzeba będzie o to spytać.

Jedna z kart pocztowych była od matki. „Cieszę się, że odpoczniesz i przyjemnie spędzisz czas w gronie swoich kolegów, ale potem wpadnij, synku, do starej matki. Czuję się nieszczególnie. Twoja siostra dawno do mnie nie pisała, natomiast ciocia Andzia zapowiada swój przyjazd na

jesień” – czytał kapitan. Pismo było staranne, jakieś pajęczko ozdobne. Tak piszą starzy ludzie, którzy uczyli się za młodych lat gotykiem.

Następna pocztówka zawierała zdawkowe pozdrowienia z wczasów od jakiejś Ali z Tadkiem. „Pozdrowienia znad polskiego morza ślą...”

Kapitan zaczął z nadzieją przeglądać dość duży, oprawny w czarną imitację skóry notes Norskiego. Ale widać służył on Norskiemu tylko do notowania spraw związanych z pracą. Jakieś terminy, nazwiska, telefony, adresy instytucji...

Słowem, nic ciekawego, nic, co mogłoby się przydać. Kapitan załatwił bieżące sprawy, porozmawiał z tym i owym, przydzielił robotę swojej ekipie, bo szef dotrzymał słowa i oprócz Zawady przydzielił mu jeszcze dwóch ludzi, w końcu zamknął biurko i poszedł do domu.

Zamknięty przez trzy dni pokój buchnął na niego dusznym żarem. Co go podkusiło, żeby zamykać okno w taki upał! W razie deszczu najwyżej nalałoby się trochę wody na podłogę. Co prawda miał już jedno smutne doświadczenie za sobą. Kiedyś w czasie jego nieobecności wybuchła burza. Wprawienie nowych szyb to głupstwo, tym się nie przejął, ale sąsiedzi zrobili bardzo przykrą scenę – zalało im świeżo odnowione mieszkanie. Musiał potem sporo wysupłać z kieszeni za powtórne malowanie. Od tej pory nawet w kryształową pogodę zamykał okno.

– Co za idiotyzm to zamykanie! – klął teraz pod nosem. Czym prędzej otworzył szeroko okno, drzwi balkonowe także. Zajmował „ciasną, ale własną” kawalerkę pod dachem jednego z wieżowców, które wystawały ostatnio na przedmieściach miasta jak przysłowiowe grzyby po deszczu.

Z ulgą zrzucił ubranie, splukał pod prysznicem kurz i zmęczenie. Wolał prysznic niż podkurczanie nóg w nowoczesnej wannie, wymiarami dobrej dla dziecka, a nie dla mężczyzny słusznego, bądź co bądź, wzrostu...

Ledwie zdążył przebrać się na „po domu” i rozłożyć się wygodnie na tapczanie z książką w ręku, rozdzwonił się telefon. Telefonował porucznik Zawada z wiadomością, iż wśród przebywających krytycznej nocy na kempingu był jeden ze współpracowników Norskiego z tego samego zakładu, niejaki doktor Norbert Szulc. Samotnie.

Rozdział VII

W dzień pogrzebu Gustawa Norskiego piękna do tej pory pogoda nagle się załamała. Ranek był jeszcze słoneczny, ale koło południa nadpłynęły chmury i zaczął siąpić drobny deszczyk. Ochłodziło się.

Mimo to o godzinie szesnastej sporo osób zgromadziło się przed kaplicą pogrzebową na cmentarzu. Kapitan Zaliwski zdziwił się, że aż tylu znajomych Norskiego przebywa o tej porze roku w mieście. Stał z boku i obserwował zebranych. Co rusz ktoś wchodził i wychodził z kaplicy. Może chcieli popatrzeć po raz ostatni na nieboszczyka. Ludzie żywią w tym względzie szczególne upodobanie... Ale trumna była zamknięta. Doczesne szczątki Gustawa Norskiego nie nadawały się do oglądania.

Kapitan Zaliwski wypatrywał w tłumie znajomych znad jeziora. Pierwszego dojrzał Edę. Stał z jakąś przystojną brunetką, zapewne żoną, ona trzymała w ręku okazałą wiązanek kwiatów. Zaraz²³ potem dostrzegł Jerzego. Karol i Zula właśnie wychodzili z kaplicy. Ona płakała, kryjąc twarz w chusteczce. Był i Jacek, i Bolo. Stawili się wszyscy w komplecie. Ale dziwna rzecz, każdy z nich z osobna. Dlaczego nie zgromadzili się jakoś, nie trzymali razem? Niby nie muszą – myślał kapitan – ale byłoby to chyba bardziej naturalne.

W tłumie dojrzał także Janusza Zawadę. No, ten chociaż nie traci czasu, widać ostro zabrał się do roboty.

Już wynoszono trumnę, formował się kondukt pogrzebowy, zrobiło się małe zamieszanie z wynoszeniem wieńców. Panią Norską prowadził z jednej strony starszy pan, z drugiej jakiś zupełnie młody człowiek.

Trzymali ją mocno pod rękę, widać było, że ciężko jej iść. Była drobna, nieduża, twarz zakrywał ciężki welon.

Pod leniwie siąpiącym deszczykiem posuwali się wolno i statecznie. Do grobu było dosyć daleko. Kapitan Zaliwski nie po raz pierwszy uczestniczył w podobnej uroczystości, ale wciąż jeszcze jakoś trudno mu było pozbyć się pewnego obrzydzenia i niesmaku, jaki mu nieodmiennie towarzyszył w podobnych okazjach. Fakt, że przybył tutaj nie aby pożalować zmarłego, oddać mu – jak to się ładnie określa – ostatnią posługę, a w zupełnie innym celu, wyobcowywał go w przykry sposób z otoczenia.

A poza tym w ogóle nie znosił pogrzebów.

W momencie kiedy rzucana garściami ziemia zaczęła głucho dudnić o wieko trumny, kapitan pomyślał, że jest to szczególnie okrutny obyczaj i właściwie nie wiadomo w jaki sposób zdołał przetrwać aż do naszych czasów.

I widocznie przez jakieś dziwne skojarzenie przypomniał mu się pewien przesąd z zamierzchłych czasów, w który, kto wie, może jeszcze ten i ów wierzy, a mianowicie rozpowszechnione niegdyś mniemanie, iż zbliżenie się mordercy do jego ofiary powoduje u niej, nagłe krwawienie. Gdybyż to było prawdą... Cóż by to było za kapitalne ułatwienie dla organów śledczych! – pomyślał z sarkazmem. – Tylko postawić podejrzanych w kolejce i obserwować...

Cała ceremonia przebiegała w spokoju i milczeniu. Nie było żadnych krzyków, żadnych szlochów. W tym środowisku było to nie do pomyslenia. A jednak... jednak może instynkt prostych ludzi jest zdrowszy: impulsywne objawianie rozpacz, a zaraz potem stypa, której koniec zwykle bywa znacznie weselszy od początku...

Kładziono już wieńce. Było ich sporo. Od rodziny, przyjaciół, instytucji, stowarzyszeń, do których zmarły należał. Na koniec wiele wiązanek i nawet pojedynczych kwiatów składanych na grobie przez uczestniczących w pogrzebie. Kwiaty pokryły każdy skrawek brunatnej ziemi,

urośli w kolorowy kopiec.

Ludzie drobnymi strumykami spływali już w stronę cmentarnej bramy. Kapitan Zaliwski też rozpoczął odwrót, gdy nagle ktoś go przytrzymał za ramię. Jednocześnie usłyszał słowa skierowane niewątpliwie do siebie:

– A ty, mój chłopcze, co tutaj robisz?

– O, pan profesor! – ucieszył się szczerze kapitan. Był to profesor Joachim Korowicz, niegdyś chluba palestry, potem, po wojnie, profesor uniwersytetu, obecnie już emerytowany. Zaliwski zetknął się z nim w czasie studiów na wydziale prawa. Wówczas właśnie zadzierzgnęła się między nimi nie przyjaźń – o tym nie było mowy ze względu na różnicę wieku i pozycji społecznej – ale niewątpliwa obopólna sympatia. Ze strony Zaliwskiego był to podziw dla człowieka wielkiej wiedzy, wysokich walorów intelektualnych i etycznych, profesor natomiast lubił nawiązywać bardziej bezpośredni kontakt z wyróżniającymi się i inteligentnymi studentami. Był znakomitym pedagogiem, lubił młodzież.

– Dawno pana profesora nie widziałem – ciągnął kapitan. – Ale nie pan się nie zmienił! – Istotnie, od czasu gdy Zaliwski jako młody człowiek zetknął się z profesorem Korowiczem, a działo się to jednak sporo lat temu, czas jakby oszczędzał tego na pozór wątłego człowieka. Był niewysoki, szczupły, ale trzymał się wciąż prosto, twarz miał ściągłą, niczym właściwie nie wyróżniającą się, a jednak utrwalającą się łatwo w pamięci. Może dzięki oczom, mądrym i nieraz złośliwie błyskającym spoza grubych szkieł okularów.

– Czyżbyś był tutaj urzędowo, chłopcze? – profesor miał zwyczaj zwracać się tak do swoich studentów, a w stosunku do niektórych zachowywał tę formę na stałe.

– Hm, trudno mi pana profesora wyprowadzać w pole...

– Bo to nie egzamin, co? Na egzaminie wszystkie chwytły dozwolone – roześmiał się profesor, a kapitanowi przypomniawszy się nieudana,

niestety, próba wyprowadzenia w pole starego profesora.

– Proszę mi nie przypominać starych grzechów! Już odcierpiąłem za swoje, mam prawo do rehabilitacji.

– Masz – przyznał wesoło profesor. – No więc jak: prywatnie czy służbowo?

– Służbowo. Ale to tylko do wiadomości pana profesora – poważnie odpowiedział Zaliwski.

– Ciekawe – zastanowił się profesor. – Więc to nie był zwykły wypadek. Gustaw Norski...

– Pan profesor go znał? Właściwie po co pytam. Już samo to, żeśmy się spotkali w takim miejscu...

– Tak, znałem go – wolno powiedział profesor. – Czasem grywałem z nim w szachy. Nawet nieźle grał.

– Wynika z tego, że była to raczej luźna znajomość?

– Bo ja wiem. Co ty rozumiesz, chłopcze, pod „luźną znajomością”?

– Powiedzmy: dość jednostronna.

– Kiedy się z kimś grywa w szachy, wiele się można o nim dowiedzieć. O jego inteligencji, sposobie myślenia, kojarzenia, o odporności psychicznej wreszcie...

Szli w stronę miasta. Powoli niebo przecierało się, deszcz ustawał.

– A czy można by pana profesora zaprosić na małą kawę? – spytał kapitan. – Chętnie bym z panem porozmawiał na temat Gustawa Norskiego. Interesuje mnie wszystko, co dotyczy jego osoby.

– Z przyjemnością bym, chłopcze, skorzystał z twojego zaproszenia, mnie też bardzo ta sprawa interesuje. Niestety, dzisiaj jestem już z kimś umówiony. Wpadnij do mnie kiedy wieczorkiem, porozmawiamy. Nie zapomniałeś chyba drogi do mnie?

– Wpadnę z pewnością. Ogromnie mi zależy...

– Domyślam się. Chociaż nie wiem, czy ci w czymś pomogę. No, do zobaczenia. – I profesor, jak zawsze wyprostowany, odszedł w swoją drogę.

Rozdział VIII

Następnego dnia kapitan Zaliwski rozpoczął przesłuchania. Były to przesłuchania nieoficjalne, dalekie od wszystkiego, co się z tym terminem kojarzy. Przynajmniej starał się, aby jego interlokutorzy z niczym oficjalnym tych rozmów nie łączyli. Ponieważ wiedział, jak działa z reguły atmosfera komendy na ludzi, umawiał się „na kawę” w możliwie cichych i mało uczęszczanych kawiarniach.

Na pierwszy ogień wybrał Edę, czyli Edwarda Dziekonia, lat 41, żonatego, dwoje dzieci (córka 14, syn 12 lat), ze stopniem naukowym doktora, zatrudnionego w Zakładzie Elektroniki Ogólnej.

Eda zjawił się na spotkanie elegancki, rzec by można nawet – wymuskany. Mało przypominał tego człowieka, którego kapitan poznał nad jeziorem. W jego zachowaniu kapitan wyczuł również jakąś zmianę. Na czym ona polegała? Pewne napięcie nerwowe, tak. Ale to było zrozumiałe w obecnej sytuacji. Nie na tym jednak polegała owa zmiana. Eda bardzo starannie dobierał słowa, jak gdyby się bał, że wymknie mu się jakieś niewłaściwe. Co chciał ukryć? Może tymczasem coś mu się przypomniało, coś, co w innym świetle ukazywało wypadki nad jeziorem? Może doszedł do jakiegoś przekonania, którym bynajmniej nie miał zamiaru dzielić się z kapitanem?

Zaliwski poprosił, by Eda raz jeszcze możliwie dokładnie zrelacjonował wszystko, co zapamiętał z feralnego wieczora i nocy. Uczynił to bez zbytnich oporów. Kapitan słuchał uważnie, od czasu do czasu

przerywając tylko pytaniami. W pamięci porównywał wersję opowiedzianą w rozmowie przy ognisku z tą słyszaną obecnie. W zasadzie wszystko się zgadzało. Sprawiało wrażenie „wykutej na blachę” lekcji.

Nie tędy droga – pomyślał w pewnym momencie kapitan. I pochyłając się ku Edzie zaatakował wprost:

– Proszę mi powiedzieć, na czym polega albo czego dotyczy konflikt między panem a docentem Jerzym Budnym?

– Konflikt? – zdziwił się Eda. – Ależ, panie kapitanie, nie ma mowy o żadnym konflikcie!

– Odniosłem zupełnie inne wrażenie, słuchając rozmowy panów nad jeziorem.

– Zapewniam pana, że nie istnieje żaden konflikt. Znamy się od wielu lat i jesteśmy naprawdę blisko zaprzyjaźnieni.

– Co znaczą zatem te wzajemne docinki, nietrudne przecież do zauważenia dla postronnego obserwatora?

– Ach, to! Panie kapitanie, chyba Jacek naświetlił panu sprawę specyfiki naszych kontaktów, no, sposobu bycia, jaki w pewnym sensie obowiązuje, jest przyjęty w naszej grupie.

– Istotnie, przypominam sobie coś takiego. Ale czy to wyłącznie ta sprawa? Nic poważniejszego?

– Zapewniam pana, że nic naprawdę poważnego. Ot, Jerzy ma dość szczególne usposobienie. Potrafi być bardzo kostyczny i złośliwy. Czasem trafia człowieka pod piąte zebro. Ja mam, jak to koledzy nazywają, „zbyt czułe serce”. Stąd może więcej kontrowersji między Jerzym a mną niż między mną a innymi kolegami. A swoją drogą cenimy sobie wzajemnie złośliwości. Rozmowa przez to nabiera smaku. Panie kapitanie, znamy się jak łyse konie od tylu lat! Już dawno zaaprobowaliśmy siebie wzajemnie razem ze swoimi dziwactwami i słabościami. A że czasem lubimy z siebie pokpić! Mój Boże, inaczej byłoby cholernie nudno!

Ale są to kpiny, jeśli się można tak wyrazić, całkowicie niewinne i na ogół nikt do nikogo nie ma o to pretensji.

– Założmy, że ma pan rację – sceptycznie powiedział kapitan. – A jak pan wytłumaczy swój... – zawahał się nad wyborem właściwego słowa – co najmniej nieprzyjazny stosunek do pani Zuli?

– To sprawa bardziej skomplikowana. – Eda spuścił oczy, nerwowo obracał w palcach zapalniczkę. Namyślał się dość długo. Wreszcie powiedział: – Zastanawiałem się, od czego zacząć. Bo widzi pan, rzecz ma się tak, że w zasadzie ja sam przeciwko Zuli nic nie mam. Ot, dość atrakcyjna babka, może trochę zbyt świadoma tej swojej atrakcyjności dla płci brzydkiej... Mój, jak pan to określił chyba słusznie, nieprzyjazny stosunek do Zuli jest zdeterminowany sprawą układów. Pan wie, była żoną Gutka. No, od początku twierdziliśmy, że zrobił głupstwo żeniąc się z nią. Plastyczka, „artystka”, nie pasowali do siebie. Niedługo trwało, a zaczęła go zdradzać na prawo i lewo. Nawet się z tym za bardzo nie kryła, a on wszystko znosił, bo co tu dużo mówić, chłopak był zakochany. Chyba tak zupełnie to mu do końca nie przeszło... Z drugiej strony Gutek przyjaźnił się z Karolem. Oczywiście małżeństwo Karola z Zulą wniosło cały szereg komplikacji do naszego grona. Mało że wbiła klin między Gutka a Karola, nas wszystkich stawiała w jakiejś fałszywej sytuacji. Przy czym nie grzeszyła taktem. Chociażby ten przyjazd nad jezioro. Wiedziała, że są to czysto męskie obozy i że Gutek tam jest. Ale dla Zuli to nie był problem. Przyznaję, mało mnie szlag nie trafił, kiedy ją zobaczyłem. Przecież było rzeczą więcej niż jasną, że nasz obozowy porządek zostanie wywrócony do góry nogami.

– Przewidywania się sprawdziły?

Eda znowu namyślał się przez dobrą chwilę.

– No, z pewnością atmosfera była inna niż zwykle. Jeden kogut w

stadzie kur – to normalne. Jedna kura w stadzie kogutów – to, przyzna pan, zawsze co najmniej ryzykowny układ... – powiedział Eda dość cynicznie, patrząc znacząco na kapitana.

– Czy ktoś zabiegał specjalnie o wzglądy pani Zuli?

– Hm, można powiedzieć, że po trosze wszyscy. Na zasadzie jednej kury oczywiście... Może najbardziej Bolo – dodał niechętnie. – Mówię o tym, bo i tak dowie się pan od innych – zaznaczył.

– A jak się zachowywał pan Gutek?

– Niby to obojętnie, ale odczuł nagły pociąg do łowienia ryb. Szczególnie samotnego...

– Sądzi pan, że w dalszym ciągu był zakochany w swojej byłej żonie?

– Bo ja wiem – powiedział ostrożnie Eda – chwilami bardzo na to wyglądało. W każdym razie z pewnością nie czuł się dobrze w tym układzie.

– A jak się czuł pan Karol?

– Też chyba nie najlepiej. Ale Karol jest flegmatyk. Niełatwo go wyprowadzić z równowagi. A ponadto Zula owinęła go sobie koło palca, jak kiedyś Gutka. Albo nie dostrzegał, albo udawał, że nie dostrzega pewnej, hm, ryzykowności sytuacji. Może nawet był dumny, że posiada taki skarb, którego wszyscy mu zazdroszczą. Bo i to potrafią niekiedy kobiety wmówić we własnego męża.

– Jak widzę, ma pan niejaki doświadczenie w tych sprawach – powiedział złośliwie kapitan.

– To wiek, panie kapitanie, niejedno się już widziało na tym świecie. – Eda udawał, że nie zauważył złośliwości. – „C'est la vie”, jak powiadają Francuzi.

– Czy pan wyrobił sobie jakiś własny pogląd na wypadki, jakie zaszły na waszym obozie? – zaryzykował kapitan. A widząc minę Edy, ciągnął dalej: – Chociaż niepotrzebnie pytam. Nawet gdyby tak było, oczywiście nie podzieliliby się pan nim ze mną, prawda?

– Nie, słowo daję, panie kapitanie, powiedziałbym, gdybym sam cokolwiek wiedział. W końcu to cholerne świństwo, a Gutek był moim przyjacielem. Ale sam jestem jak tabaka w rogu. Zupełnie jak tabaka w rogu – powtórzył. – Nie mogę sobie nawet wyobrazić jakiegoś, no, motywu. Myślę i myślę, aż mi głowa pęka, i do niczego nie mogę dojść. Chyba do tego, że to jakieś koszarne nieporozumienie. W każdym razie żadną miarą nie mogę się zgodzić z tym, że to ktoś z nas...

– No, a przecież pana bardzo obciąża jeden fakt – uśmiechnął się kapitan.

– Jaki? – Eda był niemalże przerażony.

– To że pan ostatni dopłynął do brzegu – spokojnie wyjaśnił kapitan.

– Pan chyba żartuje, panie kapitanie, ja... ja zawsze wypływam dość daleko. Po prostu dobrze pływam.

– No właśnie! – roześmiał się Zaliwski. – Jeszcze jeden argument „za”!

– Nie, doprawdy! – zdenerwował się Eda.

– Proszę się uspokoić, oczywiście żartuję. Ale tak naprawdę, czy pan nic nie zauważył ani w trakcie kąpieli, ani wtedy, gdy pan wracał do brzegu?

– Przysięgam, że nie. Najpierw wszyscy krzyczeli, nawoływali się. Chyba głos Gutka też słyszałem, choć głowy za to w tej chwili bym nie dał. Potem była już cisza. Wtedy właśnie gdy się zorientowałem, że krzyki ucichły, zawróciłem do brzegu. I to wszystko – dokończył nieco bezradnie.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy to pan pomógł Norskiemu rozwiązać krzyżówkę?

– Co? – spytał, nie bardzo wiedząc, o co chodzi, Eda.

– Ostatnia odpowiedź na pytanie „Co lubią tygrysy?” była wpisana do krzyżówki ze „Sztandaru Młodych” – objaśnił kapitan.

– Tak? – zdziwił się Eda. – Może Gutek sam do tego doszedł. Ja mu

w każdym razie tego nie powiedziałem.

– A wiedział pan?

– Przyznam się szczerze, panie kapitanie, że nawet nie próbowałem na ten temat myśleć. Nie pasjonuję się rozwiązywaniem krzyżówek. Gutek mi to dostatecznie obrzydził...

– Dziękuję panu – zakończył rozmowę kapitan Zaliwski. – To na razie byłby koniec przesłuchania – zaakcentował żartobliwie „przesłuchanie”. – Ale chyba jeszcze będziemy musieli się spotkać nieraz. Ja osobiście nie żałuję, bo miło mi się z panem rozmawia – dodał z galanterią, która wydała się jego rozmówcy nieco podejrzana.

Następnie kapitan chciał się umówić z Zulą, ale że Jacek zapowiedział przez telefon swój służbowy wyjazd do Warszawy na dwa dni, umówił się najpierw z nim.

A więc Jacek Chomiński, lat 39, żonaty, jedno dziecko – czternastoletni syn. Samodzielny pracownik naukowy, docent habilitowany, matematyk. Jak twierdzili niektórzy – godny kontynuator i nadzieja sławnej polskiej szkoły matematycznej, w każdym razie, jak twierdzili wszyscy, nadzieja Zakładu Teorii Mechanizmów, w którym pracował.

Nie wyglądał na swój wiek. Szczupły, wysoki, o ściągłej twarzy, regularnych rysach, wysokim czole intelektualisty. Ubrany z nieco niedbłą elegancją.

Rozmowa z docentem Chomińskim rozpoczęła się w trochę innym niż z Edą nastroju. Od razu, na samym wstępie, Jacek wyraźnie dał kapitanowi do zrozumienia, iż traci swój cenny czas na sprawy, na które tracić go nie powinien. Zdenerwowało to kapitana, bo w końcu tylko życzenie szefa i jego dobra wola sprawiały, że przesłuchania odbywały się w tak salonowym stylu. Oczywiście prościej by było zwyczajnie wezwać pisemnie do komendy. A w ogóle kapitan zaczął żywić poważne

wątpliwości, czy słuszne jest takie cackanie się z tymi ludźmi, z których jeden – stawało się to rzeczą coraz bardziej prawdopodobną – popełnił ordynarne morderstwo z premedytacją. Może dlatego bardziej ostro, niż leżało to w jego zamiarach, zażądał przedstawienia sobie raz jeszcze relacji o wypadkach nad jeziorem.

– Czy to naprawdę konieczne? – zaproponował Jacek. – Przecież już wszystko, co miałem do powiedzenia, powiedziałem.

– Bardzo bym jednak prosił o powtórzenie.

– Ach, to takie badanie „drugiego stopnia”! – roześmiał się Jacek. – Ma pan nadzieję, że coś pokręcę i powiem inaczej? Ale niech pan się nie obawia, ponieważ za pierwszym razem trzymałem się ściśle faktów, jakie rzeczywiście miały miejsce, jest mało możliwości, żeby coś się w mojej powtórnej relacji nie zgadzało.

Istotnie, zgadzało się. Niemal kropka w kropkę. Na zakończenie Jacek powiedział:

– Nawet gdyby moja pierwsza wersja nie pokrywała się z drugą, co by to panu dało, panie kapitanie? Zgoła nic. Dzisiaj, z perspektywy czasu, no i spokojniejszych nerwów, mogłem przecież dużo dokładniej wszystko odtworzyć. I gdybym przypomniał sobie jakiś szczegół, o którym nie wspomniałem uprzednio, dowodziłoby to tylko mojej dobrej woli, chęci pójścia panu na rękę, prawda?

– Istotnie. Ale nic takiego pan sobie nie przypomniał?

– Niestety, ku mojemu szczeremu żalowi – nie. Chociaż... Pana zdaje się, szczególnie interesuje sprawa, z kim Gutek tego dnia dłużej rozmawiał, oczywiście poza mną, bo o tym pan już doskonale wie. Otóż rzeczywiście zauważyłem coś, co muszę powiedzieć, trochę mnie nawet zdziwiło.

– Cóż to było takiego? – spytał z nadzieją kapitan.

– To było tuż przed samym bumsem. Tamci przyplłynęli z ryb, zrobiło się lekkie zamieszanie i może dlatego nikt tego nie zauważył. Otóż

właśnie szykując się na bums, Gutek zszedł na brzeg wody, chyba żeby się umyć. Zaraz za nim poszła Zulka. Widziałem, jak rozmawiali i trwało to dobrą chwilę. Pamiętam, nawet się zdziwiłem, bo do tej pory ani Zulka, ani Gutek nie przejawiali jakoś chęci do konwersacji we dwoje. Raczej tego unikali. Pewnie dlatego wpadło mi to w ogóle w oczy.

- A jak pan zareagował na obecność pani Zuli na waszym obozie?
- Najprecyzyjniej można to wyrazić jednym słowem: negatywnie.
- Dlaczego?

– To chyba jasne, panie kapitanie. Jestem tradycjonalistą. Nasze obozy były męskimi obozami. Czynniki kobiece – to ferment. W dodatku takie kobiety jak Zulka z zasady lubią mącić wodę.

- Namąciła?

– Może niezupełnie. Nie zdążyła. Gutek jednak chodził nieswój, a i Bolo zachowywał się jak lekko poszkodowany na umyśle.

- Pan nie stracił, jeśli tak można rzec, równowagi moralnej?

– Nie. Nie jestem do tego zbyt skory. – A po chwili dodał: – Odpowiedziałem panu na to pytanie, bo w końcu co mi tam, ale nie uważa pan, kapitanie, że było, jeśli można tak rzec, mało dyskretne?

– Niestety, drogi panie docencie, dyskrecja musi ustąpić, gdy w grę wchodzi morderstwo – z całą uprzejmością odpowiedział kapitan Zaliwski, ale odczuwał wielką ochotę być nieco mniej uprzejmym. – I jeszcze jedno pytanie, jeżeli pan pozwoli: czy to pan pomógł rozwiązać Nor-skiemu krzyżówkę? Wie pan, to pytanie „co lubią tygrysy?”

– Ja? A dlaczego pan o to pyta? – Jacek wydawał się być nieco zaskoczony.

– Po prostu dlatego, że wśród papierów pana Norskiego znalazłem tę jedyną krzyżówkę rozwiązaną do końca.

- Nie, skąd, nie ja.
- A zna pan odpowiedź na to pytanie?
- Ani mi do głowy nie przyszło zastanawiać się nad bzdurnym pytaniem z krzyżówki. Mam, chwalić Boga, coś lepszego do roboty.
- Nie wątpię w to, panie docencie.
- Czy pan kapitan ma jeszcze jakieś pytania? Bo ja, niestety, mam jutro ten wyjazd, o którym panu mówiłem, i w związku z tym trochę spraw do załatwienia.
- Dziękuję panu bardzo, to już na razie wszystko.
- „Na razie”? Czyli z tego wniosek, że będziemy się teraz częściej widywali?
- Wnioskuje pan logicznie. Choć zapewniam pana, że nie będę na to nastawał bez koniecznej potrzeby – z nieco dwuznaczną grzecznością powiedział kapitan, a docent Chomiński chyba zrozumiał to właściwie, bo uśmiechnął się dość kwaśno.
- Będę bardzo zobowiązany. I proszę pamiętać, panie kapitanie, że chciałbym jednak we właściwym terminie wyjechać do Kanady – wypuścić jeszcze na pożegnanie zatrutą strzałę i odszedł, wysoki, elegancki, pewny siebie, a kapitan ze złości przywołał kelnerkę i zamówił na pocieszenie kieliszek winiaku. Czuł wyraźnie potrzebę pokrzepienia się po rozmowie z docentem Chomińskim.

Trzecia była Zula – Zuzanna z domu Zięba, primo voto Norska, secundo voto Bugajewicz, lat 32, z zawodu plastyczka, bez stałego zatrudnienia.

Nie wyglądała na kobietę po trzydziestce. Kapitan ocenił to, gdy stanęła w progu kawiarni z grzywą platynowych (oczywiście rozjaśnionych) włosów nad twarzą o nieskazitelnym owalu, z orzechowymi, znakomicie kontrastującymi z kolorem włosów oczami. Krótkie mini ukazywało nogi w całej ich doskonałości, ubrana była ponadto w lekką, fantazyjną, o żywych kolorach bluzeczkę. Nie, nie było się co dziwić

Norskiemu ani Bugajewiczowi, że stracili dla niej głowę. Sam kapitan uczył lekki skurcz, a potem przyspieszone bicie serca...

Zula to chyba zauważyła swoim wytrawnym w ocenie męskich wzruszeń okiem, bo uśmiechnęła się do niego nad wyraz promiennie. Kapitan pomyślał, że musi się wziąć porządnie w karby.

– Wcale pan nie wygląda na groźnego inkwizytora – zagaiła kokieteryjnie.

Kapitan jednak, pomny swego postanowienia, nie dał się wciągnąć w tę grę i dość oficjalnie, urzędowo poprosił – jak wszystkich – o opowiedzenie wypadków owego wieczora i nocy nad jeziorem.

Zula gorzej sobie z tym poradziła niż dotychczasowi jego rozmówcy. Plątała się trochę, przeskakiwała pewne fakty, potem wracała do wcześniejszych – słowem był to, nie pozbawiony zresztą uroku, bardzo kobiecey galimatias. Kapitan słuchał cierpliwie, nie przerywając. Kiedy skończyła, zapytał:

– O czym rozmawiała pani z Norskim tuż przed kolacją?

– Ja? – zmieszała się Zula.

– Tak, wtedy gdy zeszła pani do niego nad brzeg jeziora – uzupełnił kapitan, alby nie żywiła wątpliwości, o jaką rozmowę chodzi.

– Ach, wtedy... No więc, panie kapitanie, chciałam się też umyć. I akurat Gutek się mył. Zamieniliśmy z sobą kilka słów.

– Ale konkretnie o czym? Czy może mi pani powiedzieć?

– Ależ oczywiście! To nic ważnego, doprawdy. Ot, że będzie ubaw, że to może rozładuje trochę atmosferę...

– O, czyżby była napięta? Nikt z państwa mi o tym nie wspominał.

– Bo może ja się źle wyraziłam, atmosfera właściwie nie była zła.

No, trochę może dziwna.

– Na czym, zdaniem pani, ta dziwność polegała?

– Och, wie pan kapitan, jak to z mężczyznami. Jeden boczy się na drugiego nie wiedzieć za co.

– A kto się na kogo boczył?

– Gutek. Przede wszystkim Gutek. Na mnie, na Karola... Karol też pokazywał fochy. Złościł się na Bola...

– Czy z tego wniosek, że pani była niejako powodem tego napięcia.

– Tak pan twierdzi? Ja myślę, że to po prostu mężczyźni są w takich wypadkach śmieszni.

– Pan Norski też? – powiedział złośliwie kapitan, na którego rozmowa z Zulą działała jak dobry zimny prysznic.

– Gutek? A pewnie że też. Pan jest zgorszony, widzę. O umarłych źle się nie mówi. I ja nie chcę mówić, przecież wspominałam już panu, że Gutek był bardzo dobry, że się wspaniale wobec mnie zachował. Ale niech pan sam powie, czy to nie śmieszne być zazdrosnym o swoją byłą żonę? Było, przeszło i kropka. A on...

– Wtedy nad jeziorem powiedział pani?

Zula spuściła głowę.

– Tak. Zrobił mi po prostu scenę o Bola. No, niech pan powie, czy to miało sens?

Kapitan musiał przyznać, że istotnie nie miało. Ale jednocześnie poczuł, iż jego serce już zupełnie uodporniło się na wszelkie skurcze i przyspieszone bicie z powodu pani Zuli...

– Gdyby to pan Karol zrobił ową „scenę” – jak to pani określiła – miałyby ona sens, prawda? – zapytał.

– No tak, naturalnie, już Eda musiał panu nagadać...

Kapitan przezornie milczał.

– Więc tak, cóż to zresztą wielkiego – wybuchła Zula i podniecając się, mówiła coraz szybciej: – Mamy, na szczęście, już dwudziesty wiek. Czasy średniowiecza, Bogu dzięki, minęły. Nie jestem niczyją niewolnicą ani sprzętem domowym. Mężczyznom wszystko wolno! Myśli pan,

że nie wiem, jak „szanowni” mężowie, cenieni „intelektualiści” używają sobie, gdy tylko zdarzy się okazja? Bolo też ma żonę i dzieci na dodatek. A jego nikt nie potępi. Załgana moralność!

– Więc jednak pani i pan Bolo...

– Tak. Przespałam się z nim właśnie tej nocy – powiedziała brutalnie Zula. – Zresztą byłam nieźle pijana, a Karol schlał się jeszcze bardziej i dawno spał. Ale po co to panu mówię! Przecież już wszystko pan wie od kochanego przyjaciela Edy, który by sam chętnie zastąpił Bola, gdyby tylko mógł... A przyrzekał, że nikomu nie powie...

– Bo i nie powiedział, proszę pani. Sama pani po prostu się wygadała – stwierdził spokojnie kapitan. Zula spojrzała na niego z osłupieniem i dopiero teraz zrobiła się koloru piwonii. Chyba ze złości – jak cynicznie pomyślał kapitan. Nie zważając na to ciągnął: – Ale skoro już pani tyle mi powiedziała, to może będzie lepiej, gdy odpowie mi pani jeszcze na kilka dodatkowych pytań. Po pierwsze, kiedy to się wydarzyło i gdzie. A po drugie, skąd pan Eda o tym wiedział? Bo chyba pani mu się nie zwierzała...

– No chyba że nie – Zula wzruszyła ramionami i tępo wpatrzyła się w fusy od kawy na dnie filiżanki. – Ma pan rację. Skoro już i tak się wygadałam... No więc to było po kąpieli w jeziorze. Bolo zaciągnął mnie do swojego namiotu. Gutka nie było, więc... No i potem zasnęłam. Wypiłam tego wieczoru dużo za dużo. Obudził mnie dopiero Eda i powiedział, żebym wracała do siebie. I że Karol jeszcze śpi i wszyscy inni też. I że on nie wspomni o tym nikomu. To wszystko.

– Ale przecież pan Bolo nie nocował sam w namiocie – powiedział wolno kapitan. – Więc jakże tak...

– Zwyczajnie – znowu wzruszyła ramionami Zula. – Wtedy Gutka nie było w namiocie. Nie pomyślałam... Bolo podobał mi się od dawna. Ja jemu też. W to chyba pan nie wątpi? No a potem już nic nie wiem, bo zasnęłam.

– A czy państwo się nie bali, że pan Gutek zostanie was razem w sytuacji, no, dość niedwuznaczej?

– Jakoś o tym nie myślałam. Dolo też widocznie nie. A może nawet... tak, coś takiego przyszło mi do głowy, ale widzi pan, przecież Gutek zrobił mi już awanturę na zapas, więc sobie pomyślałam, że niech chociaż będzie za co... A poza tym przecież mówiłam panu, że wypiałam tego wieczora sporo, a wtedy człowiek nie myśli logicznie i właściwie wszystko mu jedno...

– Czy nic już więcej pani przede mną nie ukrywa? – spytał kapitan po dłuższej chwili milczenia.

– A po co? Tyle pan wie, tak pana zgorszyłam, cóż szkodziłoby mi jeszcze więcej pana zgorszyć? Ja, panie kapitanie, nie mam zwyczaju udawać lepszej, niż jestem w istocie. Ani zgrywać się na niewinność, ani tym mniej – zakłamywać. Zresztą... zresztą, choć może panu trudno to zrozumieć, w moim środowisku, środowisku artystycznym, trochę inne obowiązują obyczaje i normy moralne. Kto wie, czy nie lepsze od śmierdzącej mieszczańskiej obłudy – dokończyła mściwie Zula.

Już wstawiała od stolika, gdy kapitanowi przypomniła się krzyżówka ze „Sztandaru Młodych”. Ale Zula też zdawała się o niczym nie wiedzieć. Ona w każdym razie nie podpowiedziała Gutkowi rozwiązania. Potwierdziła, że jeszcze w czasie „bumsu” Gutek pytał o to przyjaciół. Nie, nikt nie odpowiedział. Wszyscy go zakrzyczeli. A z kim rozmawiał potem przy ognisku? No, chyba ze wszystkimi. Dłużej? Z Jerzym, aha – i z Jackiem. Coś tam sobie wzajemnie świadczyli. Czy chodził do namiotu? Odchodził od ogniska, jak wszyscy. Na długo? Raczej przeciętnie. Zresztą nikt zbyt nie zwracał na to uwagi. Kiedy się pije, czas przebiega inaczej. Chyba znacznie szybciej. Nie wiedzieć kiedy robi się nagle późno i człowiek jest zdziwiony, że aż tak dużo czasu upłynęło. Tak było i tej nocy. Ani się obejrzeni, a już minęła...

Rozdział IX

Porucznik Janusz Zawada rozsiadł się po drugiej stronie biurka Zaliwskiego, zapalił papierosa i zajął się puszczeniem misternych kótek dymu.

Kapitan uniósł głowę znad kartki, na której usiłował wypisać dotychczas zebrane dane w sprawie zabójstwa Norskiego, a w rezultacie powstała na niej cała kolekcja przerażających, potworkowatych twarzy. Kapitan niewątpliwie nie posiadał uzdolnień plastycznych, ale nie przeszkadzało mu to namiętnie oddawać się sztuce rysowania, ilekroć intensywnie myślał bądź też nudził się zbytnio na przeróżnych naradach i konferencjach.

– Wyszperateś coś? – spytał zmęczonym głosem, bo akurat doszedł do takiego punktu w swoich rozważaniach, że wszystko wydawało mu się zupełnie nieprawdopodobne, wręcz nierealne, sprzeczne po prostu ze zdrowym rozsądkiem, który kapitan przywykł cenić i szanować.

– Owszem, coś jest. Chociaż nie wiem, w jakim stopniu ci się to przyda – powiedział Zawada i na nowo zajął się puszczeniem kótek z dymu.

– No to gadaj wreszcie – warknął Zaliwski.

– Widzę, że nerwy zaczynają ci nie dopisywać. Spokojnie, Brońeczku. Tylko spokój może nas uratować.

– Oszczędź mi, bardzo proszę, domorosłej filozofii i gadaj wreszcie, co masz do gadania – Zaliwski najoczywiściej w świecie był zły.

– Rozkaz! – uśmiechnął się pobłaźliwie Zawada i wypuścił jeszcze jedno idealnie okrągłe kółeczko. – Informacja dotyczy jednego z twoich

podopiecznych, najbliższego współpracownika Norskiego, docenta, doktora habilitowanego Jerzego Budnego. Otóż ten nieskazitelny człowiek według najlepszych klasycznych wzorów prowadzi tak zwane podwójne życie.

– O! – zdołał tylko inteligentnie powiedzieć kapitan, bo chłodny intelektualista z ponad miarę rozwiniętym organem powonienia (co nie dodawało mu uroku) jakoś nie bardzo pasował do dziewiętnastowiecznego modelu mieszczańskiego żywota.

– Tak, tak, Broneczku. Cicha woda... i tak dalej. Trwa to już od kilku lat, było znakomicie zakamuflowane, tak że chyba nikt się nawet nie domyślał. Bo pani jest zatrudniona w przemyśle, a skończyła właśnie elektronikę na (politechnice. Wspólne prace, konferencje, wyjazdy służbowe na bazie współpracy nauki z przemysłem itp. Dobrze pomyślane.

– Czy żona się orientuje?

– Ba, czy ja jestem wrózką? Nie mam pojęcia. Ale wszystko wskazuje na to, że raczej nie. Państwo Budni, trzeba ci wiedzieć, są uważani za wzorowe małżeństwo. Taka panuje opinia. Ona jest atrakcyjną, choć oczywiście nie pierwszej już młodości babką, elegancką, na stanowisku, jak się to ładnie określa.

– Jakim?

– Dość odpowiedzialnym. Jest z zawodu architektem, służbowo – kierownikiem pracowni urbanistycznej.

– Od dawna są małżeństwem?

– Siedemnaście lat, szmat czasu. Mają piętnastoletniego syna.

– A ta druga?

– Młodsza, jak to zwykle w takich razach bywa. Ale nie bardzo – trzydzieści dwa lata. Mała, pękata, dość brzydka. Panna. Zarabia nieźle. W sumie nic ciekawego. Może dlatego właśnie wszyscy tak łatwo uwierzyli w wersję przyjacielskiej współpracy.

– Dosyć to, przyznam, dziwny układ.

– Właśnie. I chyba już nabrzmiały do poważnego konfliktu albo zgoła tragedii. Bo chciałem ci powiedzieć, że chyba panna Alicja Banaś powoli ma dosyć istniejącej sytuacji, ponieważ ostatnio dość otwarcie zaczyna mówić o swoim romansie. Przepraszam. Według niej jest to coś poważniejszego. O Budnym mówi do swoich przyjaciółek jako o „swoim mężu”. Twierdzi, że jedynie ze względu na histeryczne usposobienie żony pan docent zwleka z przeprowadzeniem rozwodu i ulegalizowaniem ich sytuacji.

– A istotnie ma zamiar to zrobić?

– Za wiele ode mnie wymagasz. Tego nie mogę wiedzieć. Pan docent Budny nie jest tak wylewny w informowaniu swoich przyjaciół jak panna Alicja. Przeciwnie. Milczy jak grób i udaje, trzeba to przyznać, bardzo wiarogodnie doskonałego męża i przykładowego ojca rodziny. Ale kilkuletnie pożycie z drugą kobietą też przecież coś znaczy. W każdym razie można wnosić, że odpowiada mu dotychczasowy układ, skoro do tej pory nie uczynił żadnych kroków w kierunku wyjaśnienia sytuacji i że raczej niechętnie by się odniósł do jakichś interwencji zmierzających w kierunku jej wyjaśnienia.

– Sugerujesz, że Norski mógł się o tym stosunku dowiedzieć i planował uświadomienie żony?

– Nie chcę nic sugerować. Jak wiesz, mężczyźni nie są skłonni do tego typu interwencji, w dodatku w stosunku do przyjaciela. Ale nie trzeba chyba także zapominać, że Norski był dość dziwnym człowiekiem, w dodatku ciężko doświadczonego przez los w postaci pani Zuli... Przyznam jednak, że nie pomyślałem o żonie. Widzisz, z tego, co w zaufaniu mówiła kilku przyjaciółkom panna Alicja, wynika, że ma ona całkiem fałszywy obraz życia rodzinnego pana Jerzego Budnego, I jego samego chyba też. W każdym razie w dość soczystymi barwami malowanym przez nią obrazie pani Budna jest megierą zdręczającą wielkiego i szlachetnego intelektualistę. Rzecz jasna, siebie widzi naturalnie w roli opiekuńczego anioła. No i nie zapominaj, że przy jej wieku

i aparycji byłby już wielki czas jakoś się ustabilizować. Pan docent stanowi dla niej wielką i być może jedyną szansę...

– Rozumiem, co masz na myśli, ale mimo wszystko.

– Gdyby istotnie Norski orientował się w sytuacji... Pamiętaj, że znał obydwie kobiety...

– Tak, tak, wszystko to piękne, ale w końcu nie morduje się przyjaciela dlatego, że się dowiedział o jakichś tam świństewkach popełnionych w stosunku do dwóch kobiet. Nie, to całkiem nieprawdopodobne.

– No ale gdy ktoś chce brutalnie zburzyć ład życia, w którym tak wygodnie się umościło...

– Nie wcześniej, to później. Nie Norski, to inny. I tak kiedyś pan Jerzy będzie musiał wypić piwo, które sobie uwarzył.

– Zawsze bym twierdził, że lepiej później. Wtedy można liczyć na jakieś samoczynne uregulowanie się spraw. Tak zwana strusia polityka zawsze miała wielu wyznawców i sympatyków wśród płci brzydkiej. Sam ją czasem z powodzeniem stosuję! – roześmiał się porucznik Zawada. Ale po chwili spoważniał i rzekł: – Tak naprawdę i ja nie wierzę w podobny motyw.

– To po co mi mącisz w głowie?

– Tak sobie. Lubię twoje reakcje znamionujące człowieka prawego charakteru – kpił Zawada. – A ty do czego doszedłeś?

– Szkoda gadać! – niechętnie mruknął Zaliwski. – Same podejrzenia, przypuszczenia, hipotezy, słowem, grząskie bagno i ani jednej pewniejszej kęпки do postawienia choćby jednej stopy. Bo posłuchaj, taka, na przykład sprawa... – I zreferował mu to, czego dowiedział się od Zuli. – Czy nie sądzisz, że można by z powodzeniem wysnuć następujący wniosek: skoro tak swobodnie sobie poczynali, to albo oboje, albo co najmniej jedno z nich musiało być p e w n e , że Norski nie przyjdzie.

– Może tak, a może nie. – Zamyślił się Zawada. – To, co ci Zula

powiedziała o swoim stosunku do tej sprawy, brzmi dość prawdopodobnie w świetle jej, hm, dotychczasowej filozofii i praktyki życiowej. Nie wiem natomiast, jak jest z tym Bolem. Co to za typ? Czy to leży w jego charakterze, czy nie? Bo jeżeli chodzi o pana docenta Budnego, to od razu bym ci (powiedział: coś tu śmierdzi, idź po tym wątku dalej, bo ta niteczka może cię doprowadzić do samego kłębka. Podobne typy nie narażają się tak beztrąsko na co najmniej łąsą sytuację, a taka by przecież nastąpiła, gdyby Norški wrócił do namiotu. Pod wpływem alkoholu można się zdradzić nie tylko gadaniem; znacznie łatwiej zdradzić się d z i a ł a n i e m . W jakimś sensie zapomina się o tym, co p o w i n n o się wiedzieć, a zaczyna działać według tego, co się naprawdę wie. Może to ten przypadek, a może i nie. Sam rozumiesz, że jeżeli nie znajdziemy wystarczającego motywu – na nic nam się zdadzą podobne rozważania.

– Ba, motyw! Głowa już mi puchnie od myślenia, ale nic sensownego nie potrafię sobie nawet wyobrazić.

– Swoją drogą zajmę się tym Bolem. Może będzie coś ciekawego.

– A o Norškim zebrałeś jakieś informacje?

– Tak – niechętnie powiedział Zawada. – Nic, do czego można by się przyczepić. Miał trochę niecodzienny sposób bycia, ale na ogół wszyscy go lubili. Wiesz, po czyjejś śmierci, zwłaszcza tragicznej, ludzie lubią mówić dobrze. Zupełnie odwrotnie niż na „co dzień – dorzucił z sarkazmem.

– A o innych?

– Dużo słyssałem o Zuli. Krążą legendy o jej wyczynach po rozejściu się z Norškim i rzuceniu jej przez tego cacusia, co ją Norškiemu poderwał. Są tacy, którzy twierdzą, że to z rozpacy wyprawiała takie hece, wiesz, według przepisu „śmiej się, pajacu”, a inni, że babka po prostu zbyt lubi płeć brzydka. Ci operują zwykłym w takich razach słówkiem określającym jej konduktę. Nie wydaje mi się, biorąc „na nosa”,

by miała coś „do czynienia z tą sprawą.

– Norski chyba w dalszym ciągu się w niej kochał. Przyznała mi się, że zrobił jej awanturę o Bola.

– Cóż, chłopak był widać taki więcej sentymentalny... Nie popłaca to w dzisiejszych czasach, oj, nie popłaca! Mimo wszystko nie widzę związku. Gdyby to ją utopiono – a, to co innego. Wtedy jej stosunki z Norskim trzeba by brać pod uwagę. W danej sytuacji mam wrażenie, że nie warto się nią zajmować. To morderstwo było na zimno obmyślane i wykonane. Zuli, biorąc pod uwagę cechy jej charakteru, na nic takiego po prostu nie stać.

Telefon na biurku Zaliwskiego nagle się rozdzwonił, przerywając im rozmowę.

– To szef – zakomunikował Zaliwski po odłożeniu słuchawki. – Wzywa mnie do siebie. Może są już jakieś wiadomości o kontaktach Norskiego w Niemczech Zachodnich.

Istotnie w tej właśnie sprawie szef wzywał kapitana Zaliwskiego. Okazało się, iż nie stwierdzono nic, co by mogło w jakikolwiek sposób obciążać Norskiego. Miał znakomitą opinię. A gdzie, jak gdzie, ale na tamym terenie pilnują podobnych spraw... Można być pewnym ich informacji.

– Tak że wybijcie sobie z głowy tę koncepcję – powiedział na zakończenie szef. – Nierealna. A jak tam panowie naukowcy?

Kapitan zreferował wyniki dotychczasowego dochodzenia. Po minie szefa łatwo było poznać, że nie jest nimi zbytnio zachwycony. Kapitan Zaliwski też nie był...

– No cóż – powiedział – kontynuujcie. – I pożegnał swego podwładnego dość, jak się kapitanowi wydało, oziębłe.

Kapitan wrócił do siebie zły, zrobił piekło swoim ludziom, że nie sprawdzili do tej pory obozowiczów z kempingu. No i szczególnie tego Norberta Szulca. Sam rozumiał beznadziejność poszukiwania igły w

stogu siana, w dodatku wtedy, gdy się nie wie, czy ona tam w ogóle jest, ale człowiek jest tylko człowiekiem i czasem musi się wyładować. Ulżyło mu trochę, choć wstyd mu w końcu było, że nie potrafi własnych nerwów utrzymać na wodzy.

Dlatego gdy przysłała wiadomość, iż odszukano w końcu tych dwu młodych ludzi, którzy owej krytycznej nocy obozowali nad jeziorem w pobliżu leśniczówki, postanowił zrobić sobie relaks i sam pojechać do Mikołajek. Nie musiał, mogli to zrobić inni, ale pomyślał, że dobrze wpłynie na jego nadszarpnięte nerwy takie małe przewietrzenie się.

Następnego ranka wstał w nieco lepszym humorze. Pogoda, można powiedzieć, wróciła do normy, niebo po dwudniowym kapuśniczku znowu się przejaśniło, choć upał zelżał wyraźnie. Wyczuwało się już w powietrzu pierwsze tchnienie zbliżającej się jesieni.

Kapitan rozkoszował się jazdą wśród zmiennego, malowniczego krajobrazu. Postanowił, że do samych Mikołajek nie pomyśli ani razu o sprawie Norskiego. Niezupełnie mu się to wprawdzie udało, niemniej przejechał w lepszej formie, niż był któregośkolwiek z ubiegłych dni.

Chłopcy już na niego czekali. Nie przejawiali żadnego niepokoju, raczej złość, że w taki ładny dzień muszą siedzieć na posterunku, a nie na wodzie.

– Jak pragnę zdrowia, ale porządki! – sierdził się jeden z nich. – Żeby porządny człowiek nie mógł być pewny ani dnia, ani godziny! Ściągną go nagle i trzymają ani wiedzieć po co i dlaczego! Ukradliśmy co komu, czy co!

Ale uspokoił się z miejsca, gdy tylko kapitan Zaliwski zaczął z nimi rozmawiać.

Jak zresztą było do przewidzenia, nic ciekawego się od nich nie dowiedział. Owszem, nocowali koło leśniczówki. Przypominają sobie tego leśniczego. Jakiś sympatyczny staruszek. Wcześniej poszli spać i

wyplłynęli o świcie. Nie, nic nie zauważyli. A co w ogóle było do zauważenia w tej głuszy? Wieczorem? Wieczorem, owszem, jakieś wyjce były dość przeraźliwie, słyszeli. Kary nie ma na takich! W nocy? W nocy nie. Oni mają zdrowy sen, a w dodatku zmęczeni byli, jak wszyscy diabli, bo poprzedniego dnia pchali się na pych, wiatru nie było ani na lekarstwo. Rano nic nie zauważyli. Żadnej łodzi na horyzoncie. Wszyscy widać spali, bo wcześniej jeszcze było, gdy zwinęli obóz. Chcieli wykorzystać lekki ranny wiaterek, który niebawem zresztą ustał i znowu trzeba było na pych. Studiują we Wrocławiu. Są na wczasach. A w ogóle nie rozumieją, po co im się zawraca głowę. W taką ładną pogodę muszą warować na posterunku milicji. Jak jacy przestępcy.

Kapitan nawet nie spytał, czy znali niejakiego Gustawa Norskiego. Było rzeczą zupełnie oczywistą, że z tą sprawą nie mają nic wspólnego.

Tak urwała się jeszcze jedna nitka. Kapitan po prawdzie zbytnio nie liczył na to, że ów ślad dokądkolwiek zaprowadzi, wszystko bowiem wskazywało, że sprawcy należy szukać wśród najbliższego Norskiemu grona. Dlatego kiedy po powrocie jego współpracownicy donieśli mu, że Norbert Szulc nie ma wprawdzie niewątpliwego alibi na krytyczną noc (spał sam), lecz czekał na dziewczynę, która przyjechała następnego dnia i do dzisiaj zresztą razem z nim tam przebywa – pokiwał tylko głową. Postanowił nieco energiczniej zabrać się do swoich znajomych znad jeziora.

Rozdział X

W wyniku ostatnich postanowień kapitana Zaliwskiego docent Jerzy Budny nie został zaproszony na kawę, a po prostu dostał wezwanie do stawienia się na określonej godzinie w komendzie, czego nie omieszkął skomentować w swoim ironiczno-kostycznym stylu.

– Czyżbym popadł w szczególną niełaskę w oczach pana kapitana? – spytał sadowiąc się za biurkiem naprzeciw Zaliwskiego.

– Dlaczego? – kapitan uważał za stosowne udać, że nie wie, o co tamtemu chodzi.

– Do tej pory zapraszał pan wszystkich na kawę.

– Ależ oczywiście! Zaraz będzie i kawa. Nawet, pochlebiam sobie, lepsza niż tamta, którą miałem przyjemność podejmować pana przyjaciół.

Rzeczywiście kawa była mocna i aromatyczna. Jerzy ocenił to, ponieważ był przysięgłym zwolennikiem tego napoju. Rozkoszował się więc jej smakiem i spokojnie czekał na dalszą akcję kapitana.

Zaliwski też małymi łykami popijał kawę i namyślał się. Początkowo postanowił prowadzić rozmowę w dość ostrym tonie. Ale teraz wydało mu się bardziej celowe zacząć stereotypowo, tym bardziej że, jak się okazało, docent Budny doskonale był zorientowany w przebiegu uprzednich rozmów.

Na początek zatem zadał sakramentalne już niemal pytanie o przebieg wypadków nad jeziorem. Jerzy roześmiał się.

– Pana popisowy chwyt! Jacek jeszcze pana nie zniechęcił do wiary w jego skuteczność?

– Proszę sobie wyobrazić, że nie. I czekam – spokojnie odparował kapitan.

Jerzy opowiadał rzeczowo, dokładnie. Nie pominął żadnego szczegółu, ale nie powiedział także nic takiego, o czym by już kapitan nie wiedział. Gdy skończył, kapitan odczekał chwilę i zapytał:

– Proszę mi powiedzieć, panie docencie, kiedy pana przyjaciel, Gustaw Norski, zorientował się w pana, hm, podwójnym życiu? Czy jakiś czas temu, czy dopiero ostatnio?

Jerzemu wydatny organ powonienia aż poczerwieniał z irytacji.

– Pan, zdaje się, przekracza swoje kompetencje, panie kapitanie – wykrztusił wreszcie.

– Mogę pana zapewnić, że znam doskonale zakres moich kompetencji. Będzie pan uprzejmy odpowiedzieć na zadane pytanie.

– Nie, nie będę uprzejmy! – wybuchnął Jerzy. – To są moje najzupełniej prywatne sprawy i nikomu nic do tego!

– Pan chyba zapomina, że w grę wchodzi morderstwo z premedytacją. I to dokonane na pana przyjacielu i Współpracowniku.

– Nie zapominam. Ale moje prywatne sprawy nie mają tutaj nic do rzeczy. Zwłaszcza z tego zakresu, jaki pana zdaje się szczególnie interesować. Jeżeli coś takiego w ogóle istnieje – dorzucił.

– Nie ma „prywatnych” spraw w podobnych wypadkach, panie docencie. A my wiemy o istnieniu pani Alicji Banaś.

– Ciekawe! – rzucił z sarkazmem Jerzy. – Powinniście w takim razie wiedzieć o całym szeregu osób płci obojga, z którymi utrzymuję kontakt w ramach współpracy placówki naukowej z przemysłem...

– Czy identyczny z tym stosunkiem, jaki pan utrzymuje z panią Alicją Banaś? – z równym sarkazmem powiedział kapitan.

– Nie sądzę, aby to mogło w jakimkolwiek stopniu pana obchodzić. A nawiasem mówiąc, odkąd to milicja ma prawo ingerować w najzupełniej osobiste życie człowieka?

– Proszę mnie nie rozczulać naiwnością, panie docencie. Zawsze sądziłem, iż ludzie nauki, zwłaszcza reprezentujący dyscypliny ścisłe, potrafią logicznie rozumować. Pan mnie rozczarowuje... Przecież odpowiedź na pana ostatnie pytanie jest dziecinnie prosta: odkąd w najbliższym otoczeniu danego obywatela popełniono morderstwo i w związku z tym znajduje się on w kręgu podejrzanych!

– Zdaje się, że więcej niż podejrzanych... Sądząc po pana zachowaniu, panie kapitanie, to raczej jestem oskarżonym...

– Poprosiłem pana jedynie o udzielenie mi odpowiedzi na jedno pytanie. I w dalszym ciągu pana o to proszę. A pytanie brzmi: Kiedy Norwski dowiedział się o stosunku łączącym pana z panią Alicją Banaś?

– A więc proszę posłuchać, panie kapitanie: Po pierwsze, neguję istnienie jakiegoś tam dwuznacznie rozumianego „stosunku” między mną a panią inżynier (zaakcentował ten tytuł) Banaś, naszą były absolwentką; po drugie, nie mam pojęcia, co myślał na temat naszych kontaktów z panią inżynier Banaś mój współpracownik i przyjaciel, doktor Gustaw Norwski; po trzecie, nawet gdybym wiedział, absolutnie nic by mnie to nie obchodziło. Teraz wszystko jasne?

– Jasne, ale w nieco inny sposób, niż by się to panu może wydawało. – Kapitan mówił wolno, z namysłem.

– To mnie nie interesuje. Czy mogę naszą rozmowę uważać za zakończoną?

– Niestety nie, panie docencie.

- Jak to?
- Jestem zmuszony pana prosić o jeszcze trochę cierpliwości. Mam kilka dalszych pytań.
- Jeżeli tego samego rodzaju, jak to ostatnie, to uprzedzam, że na darmo traci pan swój cenny czas i zabiera go także mnie.
- To się jeszcze okaże, panie docencie. A teraz zechce pan chwilczkę zaczekać, muszę załatwić jedną sprawę. To nie potrwa długo.
- Kapitan odszukał Zawadę. Na szczęście był akurat w komendzie.
- Stało się coś? – zapytał porucznik, widząc niejakię wzburzenie na twarzy swojego zwierzchnika.
- Wyobraź sobie, pan docent Budny w żywe oczy wypiera się stosunków z panią Alicją Banaś. To znaczy, przyznaje się jedynie do ściśle służbowych kontaktów, do niczego więcej.
- O, to ciekawe!
- Właśnie. W związku z tym chcę cię prosić, żebyś natychmiast wziął samochód i przywiózł do nas tutaj ową panią.
- No świetnie, ale jak ty to sobie właściwie wyobrażasz? Mam ją porwać, czy jak? Przecież ona pracuje, masz pojęcie, co za reperkusje wywoła takie zabranie przez milicję z miejsca pracy?
- Mój kochany Januszku, właśnie dlatego proszę o to ciebie, a nie kogoś innego. Wiem, że zdołasz to dyskretnie załatwić. Doceniam twój czarujący sposób bycia wobec przedstawicielek płci pięknej. Przekonaj ją jakoś, żeby poświęciła nam trochę czasu, oczywiście bez żadnego oficjalnego nacisku. W ramach, że tak powiem, przyjacielskiej usługi.
- Czy ty nie za dużo ode mnie wymagasz, Broneczku? A jak nie będzie chciała?
- Wierzę w twój męski czar, którego działanie miałem już nieraz

szczyćcie obserwować. Jestem pewny, że i tym razem zadziała...

– Wypróbujesz na mnie metodę pod tytułem „Komplement jako środek perswazji w pracy oficera śledczego”? Mówiąc poważnie, myślisz, że to konieczne, no, stosowanie podobnych metod w stosunku do naszych „klientów”?

– Myślę, że po prostu musimy jakoś rozwikłać ten problem, a nie widzę innego sposobu. Z chwilą gdy Budny opuści ten gmach, skomunikuje się natychmiast z tą panią i pouczy dokładnie, co w razie czego mówić. A wtedy sprawa będzie dużo trudniejsza...

– Może masz rację. Ha, spróbuję więc, ale pamiętaj – na twoją odpowiedzialność!

– Dobrze, dobrze, tylko się pośpiesz, bo nie mogę baz końca tego Budnego u siebie trzymać. Już mi podskakiwał, że zabieram mu jego cenny czas. Ale czekaj no! – zawołał, gdy porucznik już otwierał drzwi. – Masz doskonały pretekst. Po tym, coś mi powiedział, sprawdziłem dane pani Alicji Banaś. Złożyła właśnie podanie o czasowy wyjazd do RFN. Możesz powiedzieć na początek, że przychodzisz w tej sprawie, że potrzebujemy jakichś dodatkowych danych. Zresztą gadaj, co chcesz, byleś załatwił sprawę...

– A kiedyś mnie uczyli, że pierwszą i naczelną zasadą postępowania oficera milicji jest przestrzeganie praworządności – mruknął porucznik i nie czekając repliki, szybko zamknął drzwi z drugiej strony.

Gdy kapitan Zaliwski powrócił do swego pokoju, docent Budny palił papierosa z miną jednoznacznie wskazującą na nurtujące go uczucia. Z pewnością dalekie od przyjaźni, a choćby uprzejmości w stosunku do kapitana. Kapitan natomiast, udając że tego nie dostrzega, wdał się w szczegółowe wyjaśnianie drobnych epizodów i epizodzików owego pobytu nad jeziorem. Budny odpowiadał niechętnie, krótko, raczej monosylabami. Zagadnięty w sprawie uzupełnienia krzyżówki o odpowiedź

na pytanie „co lubią tygrysy”? – zareagował jak wszyscy dotychczasowi rozmówcy kapitana: to nie on.

W końcu zadzwonił telefon. To Zawada dawał znać, że pani Banaś jest już w komendzie i co, u Boga ojca, ma z nią zrobić?

– Dowiedz się – warknął kapitan. – Przecież wiesz, o co chodzi! Po-tem przyprowadź.

– A nie mógłbyś tego zrobić sam? – jęknął porucznik. – Ja się już nagimnastykowałem dosyć i chętnie bym się wyrzekł tego miłego towa-rzystwa na twoją korzyść...

– Nie mam czasu. Zrób, o co cię proszę – powiedział, ucinając roz-mowę, kapitan, odłożył słuchawkę i znowu wdał się w konwersację, po prawdzie dosyć męczącą, bo jednostronną, z docentem Budnym, który przejawiał coraz większe zniecierpliwienie.

Tymczasem porucznik Zawada z ciężkim westchnieniem, ale nie omieszkawszy oblec swojej twarzy w czarujący męski uśmiech, powrócił do pokoju, gdzie czekała na niego pani inżynier Banaś.

Wbrew jego obawom sprawa okazała się nad wyraz prosta. Chcąc zy-skać na czasie nadmienił, że szef w tej chwili jest zajęty. Trzeba zatem chwilę poczekać, po czym sprowadził rozmowę na temat pracy pani inżynier, racjonalizacji, współpracy z placówkami naukowymi i... nazwi-sko docenta Budnego samo lekko spłynęło z warg pani Alicji. Dowie-dział się, jaki to znakomity uczony, szlachetny człowiek, wcielenie wsze-lakich cnót. Tylko – z zafrasowaną minką szepnęła pani Alicja – taki nieszczęśliwy w życiu rodzinnym... Teraz już wszystko okazało się dzie-cinnie łatwe. Porucznik Zawada ani się obejrzał, gdy stał się posiada-czem słodkiej tajemnicy pani inżynier. Już niedługo będzie to tajemnicą – rzekła na zakończenie pani Alicja – bo ona nie dopuści do tego, aby taki wspaniały człowiek miał się dalej marnować i cierpieć. Sprawa roz-wodu jest tylko kwestią czasu. No a potem już ona zapewni

mu szczęście i odpowiednie warunki do jego trudnej i jakże odpowiedzialnej pracy...

Kiedy porucznik, grzecznie przepuszczając przed sobą panią Banaś, stanął na progu pokoju kapitana, przed jego oczami rozegrała się scenka jakby żywcem przeniesiona z teatru.

Kapitan dżentelmeńsko uniósł się z krzesła, witając panią inżynier, a ona, dostrzegając docenta Budnego, powiedziała głosem renomowanej tragiczki:

– Jerzy! Ty tutaj?! Co to ma znaczyć?

I gdy nikt jej nie odpowiedział, osunęła się na podsunięte jej w samą porę przez porucznika krzesło z okrzykiem:

– Czemu nikt nic nie mówi? Co się stało? Jerzy! Nic nie rozumiem...

– Nic się nie stało – powiedział pogodnie kapitan Zaliwski. – Proszę się uspokoić. – I zwracając się z uśmiechem do docenta Budnego spytał:

– Czy i w obecności tej pani będzie pan nadal twierdził, iż nic – poza stosunkami służbowymi – pana z nią nie łączy?

Budny siedział aż błądy z wściekłości i zaciskał wąskie usta. Nie chciał się odezwać. Natomiast pani Alicja...

– Ależ, Jerzy! Ja wiem, kochany, że to ze względu na mnie, ale ja się naszego stosunku bynajmniej nie wstydzę! Jak mogłeś mnie nawet posądzać, że się ciebie wyprę?! Czego oni od ciebie chcą? Cokolwiek by to było, pamiętaj, jestem przy tobie i nie opuszczę cię!

Pani Alicja była znakomita, zupełnie w stylu zeszlowiecznych melodramatów. Po prostu bezbłędna! Porucznikowi ledwo się udało utrzymać siebie w karchach, a i kapitanowi drżały usta od powstrzymanego śmiechu. Natomiast docentowi Budnemu daleko było do wesołości. Widać było wyraźnie, że wściekłość go wprost roznosi. I nie okazał się bynajmniej wdzięczny za bohaterskie deklaracje wygłaszane z takim ogniem przez panią Alicję...

– Milcz chociaż, jak nie wiesz, o co chodzi – warknął pod jej adresem.

Spojrzała skrzywdzonymi oczami na niego, na kapitana, znowu na niego i w końcu załkała jak skarcone zbyt ostro dziecko, szepcząc: – Nic nie rozumiem. Co tu się dzieje? – I wyciągnęła z torebki zdobną koronkami chusteczkę.

– No więc jak, panie docencie? – powiedział, przerywając przykre milczenie, kapitan.

– Pan... pan nadużył swoich praw! – wybuchnął Budny. – To panu na sucho nie ujdzie. Jakim prawem?!

– Już to chyba wyjaśniliśmy, jakim. I proszę mi wierzyć, że zachowuje się pan bardzo nierozsądnie... – Zwracając się zaś do pani Alicji dodał: – Niepotrzebnie się pani denerwuje. Chodziło po prostu o ustalenie pewnego drobnego faktu. Bardzo pani dziękuję. Jesteśmy naprawdę wdzięczni za pomoc. Poruczniku! Proszę się panią zająć.

Alicja jednak odzyskała nagle energię i rzuciła się ku Jerzemu.

– Nie, panie kapitanie. Ja go nie opuszczę. Czego od niego chcecie?!

– Nie jesteś mi potrzebna. Już mi dosyć „pomogłaś” – z sarkazmem powiedział Jerzy.

– Mój Boże! Co się z tobą dzieje? – boleśnie jęknęła pani Alicja.

– Nic się nie dzieje. I proszę cię, zrób, o co cię pan kapitan prosi – siląc się na spokój powiedział Budny.

– I jeszcze jedno, proszę pani – dodał kapitan. – W dobrze zrozumianym interesie pana docenta Budnego i pani własnym także bardzo proszę, żeby pani z nikim nie dzieliła się wrażeniami z tej wizyty u nas.

– To jakaś okropna sprawa. Jerzy? – dodała pytająco i błagalnie.

– Nic takiego. Tylko pan kapitan żywi pewne... złudzenia – dopowiedział po znaczącym namyśle Budny. – Przy okazji ci wyjaśnię.

Pani Alicja do końca nie wypadła z roli. Po efektownym zejściu ze sceny – czyli wyjściu z pokoju kapitana Zaliwskiego – epilog odegrała w obecności jednoosobowej widowni w postaci porucznika Zawady. Czego tam nie było! I płacz, i próby wydostania „prawdy”, i błagania o ratunek... Porucznik już się poważnie obawiał, że będzie musiał uczestniczyć w wielkiej scenie podnoszenia błagalnicy z klęczek, ale jakoś obyło się bez tego. Na szczęście, bo cierpliwość porucznika dochodziła już swojego kresu.

A tymczasem w gabinecie kapitana odgrywała się inna scena.

Po wyjściu pani Alicji z porucznikiem obaj panowie dobrą chwilę milczeli. Musieli odetchnąć przed następną rundą, która, zdawali sobie z tego sprawę, musiała teraz nastąpić. Pierwszy zaczął kapitan.

– Nie mogę pojąć pana łącie dziecinnego uporu w nieprzyznawaniu się do oczywistych i bezspornych faktów, panie docencie. No i co pan teraz powie?

– Nic nie powiem. Odmawiam po prostu odpowiedzi na wszelkie pana pytania, panie kapitanie.

– To by było więcej niż nierozsądne...

– No cóż, może pan mnie aresztuje? – ironicznie powiedział Budny.

– Nie uczynię tego, dopóki nie będę musiał. A i wtedy uczyniłbym to z wielką przykrością, proszę mi wierzyć...

– Och, jeśli chodzi o przykrość, to chętnie bym ją panu zafundował...

– Obawiam się, że dla pana byłoby to coś znacznie gorszego niż przykrość – roześmiał się kapitan. – Więc może lepiej nie ryzykować?

– Czego pan właściwie ode mnie chce?

– Ja, proszę pana, zadałem tylko jedno pytanie... I nie moja wina, że wynikł z tego melodramat w trzech aktach. A pytanie brzmiało, o ile pan sobie przypomina, czy i od kiedy Norski wiedział o pana stosunku z panią Alicją Banaś.

– A ja, o ile sobie przypominam, odpowiedziałem na to pytanie, że nie wiem, czy Gustaw o tym wiedział.

– No tak, ale jednocześnie zaprzeczył pan oczywistym faktom. To można, panie docencie, różnie sobie tłumaczyć...

– Dlaczego nie najprościej i zgodnie ze stanem faktycznym, że po prostu nienawidzę, gdy ktoś wpycha nos w moje osobiste sprawy?

– Może i Norski próbował, jak pan to określił, wpychać nos w pana osobiste sprawy?

– A ja go za to udusiłem, pozorując utopienie! Zarzuca mi pan dziecinność, a sam co? Koń by się uśmieł.

– Panie docencie – rzekł wolno kapitan – w śledztwie każdy tego typu ślad należy zbadać, każdy drobiazg wziąć pod uwagę. Ja tylko spytałem. Gdyby pan mi najzwyczajniej w świecie odpowiedział, sprawa byłaby skończona. Ale pana reakcja była zdumiewająco nieproporcjonalna do wagi zadanego pytania. Może pana układ stosunków rodzinnych jest tego rodzaju, że zbyt wiele by pan przegrał po ujawnieniu pewnych spraw?

– Znowu pan usiłuje ingerować w moje osobiste życie! Panie kapitanie, umówmy się: nie wiem, czy Gutek wiedział. Raczej nie. Ale tego się nigdy tak na pewno nie wie. W każdym razie ja ani z nim, ani z żadnym ze swoich kolegów nigdy na ten temat nie rozmawiałem. A poza tym zapewniam pana, że nawet gdyby Gutek cokolwiek wiedział, nie uważałby za stosowne w jakikolwiek sposób wtrącać się w te sprawy. W naszym gronie obowiązywały pod tym względem bardzo ściśle zasady.

– Załóżmy jednak, że Norski przychodzi do pana z taką sprawą. Co by pan zrobił?

– Wzruszył ramionami i poradził, żeby pilnował własnych interesów.

– A gdyby nie posłuchał dobrej rady?

– To po prostu nieprawdopodobne. Po co miałby się w to wtrącać? W imię czego?

– Może ze względu na własne smutne w tym względzie doświadczenia? Mogły go przecież uczynić trochę przewrażliwionym na punkcie podobnych spraw?

– Przewrażliwionym? Niewątpliwie. Ale jeżeli – to raczej w odwrotnym sensie, niż pan mniema.

– Jak pan to rozumie?

– Po prostu, panie kapitanie. Gustaw sam się przekonał dość do tkliwie, bo na własnej skórze, jak smakują człowiekowi cudze interwencje. Nie sądzę, żeby po tych doświadczeniach miał choćby najlżejszą ochotę mieszać się w cudze sprawy...

– Może w imię zasad. Nie sądzi pan, że to możliwe? Proszę pamiętać, że ludzie poszkodowani przez nieprzestrzeganie norm etycznych w swoim najbliższym otoczeniu stają się czasem fanatykami w ich przestrzeganiu...

Docent Budny roześmiał się ironicznie i śmiał się tak długo, aż się kapitan zirytował. Było rzeczą zbyt jasną, że tamten traktuje go jak naiwnego studenta. A najgorsze było to, iż kapitan istotnie „wychylił się” z tymi dywagacjami moralnymi jak filip z przysłowiowych konopi...

W końcu śmiech się urwał na wysokiej nucie i docent Budny powiedział:

– Panie kapitanie, donkiszotem bywa się czasem w młodzieńczych latach, ale Gutek, zapewniam pana, wyrósł już dawno z krótkich spodnek.

– No cóż – zakończył po chwili milczenia rozmowę kapitan – wypada mi jedynie żałować, że do tej wymiany poglądów tak trudno mi przyszło pana skłonić...

Kiedy docent Jerzy Budny opuścił gabinet kapitana, zjawił się natychmiast, jakby czekał za drzwiami, porucznik Zawada.

– I co, widzę, że wypuściłeś ptaszka?

– At, szkoda gadać! – kapitan był jak balon, z którego wypuszczono powietrze. – Co za cholerna sprawa! Wszystko się rwie i rozłazi w oczach.

– A po co on się tak namiętnie zapierał bliższych kontaktów z tą uroczą panią Alicją?

– Dziwisz się?

– Wiesz, że właściwie... niespecjalnie... – mrugnął wesoło porucznik Zawada.

Rozdział XI

Termin wyznaczony na wakacyjny wyjazd „na rybki” nadszedł i minął. O wyjeździe naturalnie nie było mowy. Wprawdzie kapitan sugerował szefowi, że może by przekazać sprawę Komendzie Głównej, ale oczywiście szef ani chciał słyszeć o tym. – Pierzmy nasze brudy sami – powiedział. – Zresztą lepiej znamy teren, a w dodatku ze względu na zamieszane w to osoby bardziej wskazane jest prowadzenie śledztwa mniej oficjalnymi metodami, na co w naszej sytuacji możemy sobie na razie pozwolić. Ale pamiętajcie, że czas odgrywa tu istotną rolę.

Ba, z tego kapitan sam doskonale zdawał sobie sprawę. Ale co było zrobić? Żeby tylko uchwycić koniec jakiejś nitki, już ja dojdę po niej do kłębka. Ale owej wytęsknionej „nitki” właśnie nie było. Zaledwie dostrzegł jakiś nikły jej ślad, urywała się i znowu pozostawał w punkcie wyjścia.

Ot, tak jak to było z Bolem. Do osoby Karola kapitan nie przywiązywał większej wagi. Gdyby to Bolo padł ofiarą, z pewnością małżonek pani Zuli, według klasycznych wzorów oczywiście, kandydowałby na pierwszego podejrzanego. Ale po pierwsze, w tej sprawie trudno się było doszukać najmniejszych śladów jakiegoś „klasycyzmu”, a po drugie, Bolo cieszył się dobrym zdrowiem, Karol zresztą też.

A więc Bolo... Bolo, czyli Bolesław Podraza, lat 38, żonaty, dwoje dzieci w wieku 9 i 11 lat, docent mianowany, ale w przededniu habilitacji, zatrudniony w Zakładzie Telemechaniki i Automatyki.

Bolo został także zaproszony do komendy, a nie do kawiarni. Przyse-
dł ubrany w elegancką letnią koszulkę z krótkimi rękawami (upał
znowu panował na dworze), zupełnie odmienny od owego „lumpa” w
sfatygowanych dzinsach, którego kapitan poznał nad jeziorem. Baczki
były przycięte według najświeższej mody, nieco za wysokie czoło ma-
skowała zgrabnie zaczesana „pożyczka”. Przystojny był ten Bolo, wyso-
ki, wysportowany – nic dziwnego, że Zulka właśnie na niego zwróciła
uwagę.

Widocznie zdążyła mu już powiedzieć, że kapitan wie o ich „upoj-
nej” nocy spędzonej nad jeziorem, bo z punktu zagaił, uśmiechając się
chyba zanadto frywolnie, jak na poważnego człowieka przystało (tak to
sobie w myślach skomentował kapitan).

– Mam nadzieję, że ze skłonności do małych wykroczeń przeciw
małżeńskiej wierności nie będzie pan kapitan wyciągał wniosków o
skłonności do przekroczeń innego typu?

– Jestem jedynie ciekaw, panie docencie, dlaczego pan nie pomy-
ślał, że Norski może zakłócić tę sielankę wracając do namiotu? Przecież
mieszkaliście razem...

– Och, dla Zuli można stracić głowę, a wtedy nie myśli się o dro-
biazgach. Poza tym wpływ alkoholu... Zresztą liczyłem się z tym, że
Gutek, orientując się w sytuacji, pójdzie spać do Jacka.

– A nie pomyślał pan, że dla Norskiego taka scena byłaby – deli-
katnie mówiąc – co najmniej przykra?

– Ze względu na to, że Zulka była jego żoną? Panie kapitanie, prze-
cież kilka lat upłynęło od ich rozejścia się, Zula jest żoną Karola... Gdy-
by on...

– Niemniej nie kto inny, tylko panowie zauważyli, że pan Norski
zachowuje się w sposób dający wiele do myślenia na temat jego stosunku
do byłej żony. O ile sobie dobrze przypominam, kpiliście nawet z tego.

– No tak – przyznał niechętnie Bolo. – Ale to były takie sobie

urojenia Gutka. Ta historia przecież, rzecz jasna, już dawno zamknięta była na trzy spusty.

– A pana drugi przyjaciel, pan Karol? Dla niego chyba to nie była kwestia „urojenia”?

– Karol... W końcu sam powinien pilnować swoich interesów. Chyba pan nie myśli poważnie, że to właśnie ja powinienem być stróżem jego interesów? I występować w roli cnotliwego Józefa! To byłoby po prostu śmieszne. A ja, panie kapitanie, bardzo nie lubię być śmieszny...

– W końcu nie interesują mnie panujące w waszym środowisku poglądy na kwestię koleżeństwa czy, jeśli pan woli, przyjaźni. Interesuje mnie jedynie to, że z pana zachowania krytycznej nocy można wysnuć logiczny wniosek, iż pan wiedział o tym, że Norski nie wróci do namiotu.

– Mogłem się być domyślić od razu, do czego pan zmierza, panie kapitanie. Istotnie, rozumując logicznie... sam bym taki wniosek wyciągnął. Ale widzi pan, cała bieda w tym, że nie zawsze to, co logiczne, jest prawdziwe. Nie mam i niech pan zauważy, mieć nie mogę żadnego świadectwa o stanie mojej świadomości w owym momencie. Mogę tylko pana zapewnić, że nie miałem pojęcia o całej tej sprawie z Norskim. Pana rzecz, czy mi pan uwierzy, czy nie. A poza tym nawet, jeśli mi pan nie uwierzy, zawsze jeszcze pozostaje sprawa motywu, prawda? Jaki, u Boga Ojca, miałbym powód? Po co bym mordował kolegę i przyjaciela?

– A widzi pan powód, dla którego którykolwiek z pana przyjaciół mógłby to zrobić?

– Nie. – Bolo opuścił głowę i milczał długą chwilę. – Nie będę ani pana, ani siebie zakłamywał. Od czasu tej przekłętej historii nie mogę przestać o tym myśleć. Setki razy analizowałem wszystkie znane mi fakty, wszelkie konflikty i napięcia na przestrzeni kilku ostatnich lat. Ale doprawdy nie mogę się doszukać niczego poważnego. Niczego, co by mogło spowodować do tego stopnia drastyczne działania u kogokolwiek

z nas. Gdybym się doszukał... Widzi pan, ja bardzo lubiłem Gutka... Uważam, że ktokolwiek to zrobił, powinien ponieść konsekwencje. Pełne konsekwencje... – na twarzy Bola ukazał się wyraz zaciętości, znacznie ją postarzając. A kapitan Zaliwski, wbrew uprzednim intencjom, bo oto wymykała mu się z rąk jeszcze jedna niteczka, poczuł się przekonany.

– Panie kapitanie – czy Bola były jakieś udręczone, a zarazem prośące – czy... czy to na pewno był ktoś z nas?

– Absolutnie nic nie wskazuje na jakąś ingerencję z zewnątrz – powiedział ostrożnie kapitan.

– Bo widzi pan, stale myślę o tym, że Gutek jakoś niechcący zamieszkał się w coś. Może bezwiednie. Jak już panu wspominaliśmy, on sprawiał trochę mylące wrażenie. Łatwo go było nie docenić. W istocie zaś miał bardzo docieklivy umysł. Mógł trafić na jakiś ślad, mógł dla kogoś stać się przez to niebezpieczny...

– Na jaki ślad? Afery szpiegowskiej, gangu handlarzy narkotykami? – powiedział sarkastycznie kapitan. – Zdaje mi się, że nie kto inny, tylko właśnie pan wyśmiał z punktu podobne koncepcje twierdząc, że w waszym środowisku, waszym przyzwoitym środowisku naukowym – kapitan podkreślił intonacją te słowa – coś podobnego jest po prostu nie do pomyślenia.

– No tak. Naturalnie. Ma pan rację – westchnął Bolo. – Ale szukam jakichś możliwości wytłumaczenia...

– Rozumiem. Ja też nic innego nie robię od dłuższego czasu, tylko szukam sensownego wyjaśnienia tej zagadki. Z równym skutkiem co pan – dodał samokrytycznie kapitan.

– Co wobec tego?...i

– Ano nic. Będę szukał dalej. I w końcu się dogrzebię – powiedział kapitan z zaciętością, która jego samego zdumiała.

Rozmawiali jeszcze chwilę o tym i o owym, dla porządku kapitan

zapytał także Bola o rozwiązanie pytania z krzyżówki, ale Bolo także nie mu na ten temat nie potrafił powiedzieć.

Następnym – już ostatnim – rozmówcą kapitana był Karol Bugajewicz, mąż uroczej Zuli. Był najmłodszy z grona kolegów, bo liczył sobie lat 36. Doktor, matematyk, pracował w tym samym zakładzie co docent Jacek Chomiński. Zula była jego drugą żoną. Pierwszy raz ożenił się bardzo młodo. Studenckie małżeństwo nie wytrzymało próby czasu i trudnych warunków. Rozpadło się po niespełna dwóch latach. Kapitan pomyślał, że i to drugie nie rokuje nadziei na dłuższe trwanie...

Bugajewicz odpowiadał raczej monosylabami, był z natury flegmatyczny. Z jego relacji o wypadkach wieczora i nocy nad jeziorem nie wynikało nic nowego. Może tylko – choć Bugajewicz starał się to wyraźnie tuszować – że zdawał sobie sprawę z napiętej sytuacji w obozie, której powodem była Zula. Przyznał, że nie był w najlepszej formie i nastroju owego „bumsowego” wieczora. Może dlatego tak pił. No, załał się jak rzadko. Nie, nic nie pamięta. Nawet się nie przebudził, gdy koledzy nieśli go do namiotu. Dopiero następnego dnia dowiedział się o tym z ich opowiadania. Norskiego znał dawno. Owszem, przyjaźnili się. W ostatnim czasie? W ostatnim czasie był zaabsorbowany swoimi prywatnymi sprawami i w związku z tym jego kontakt z wszystkimi kolegami uległ pewnemu rozluźnieniu. Chciał to wyrównać przez wspólny pobyt nad jeziorem. Rzeczywiście uparł się, jeśli chodzi o ten wyjazd, choć Zula chciała jechać w góry. Wiedział, że koledzy będą wściekli, gdy przyjedzie razem z nią. Żaden nigdy nie przyjeżdżał z żoną. Zuli jednak trudno jest cokolwiek wyperswadować, gdy się uprze. A uparła się. Myślał, że jakoś się to ułoży. Ostatecznie czy to taka wielka różnica? Zresztą Zula obiecała odciążyć ich trochę od zajęć gospodarskich, których przecież nikt z nich – może poza Edą – nie lubi. Krzyżówka? Ach, ten

wieczny bzik Gutka! Tak, pytał ich stale o te tygrysy. Nie, nikt z nich nie traktował poważnie podobnych pytań. On także nie. Może ktoś inny podpowiedział Gutkowi rozwiązanie, może sam na to wpadł? W każdym razie on nic o tej sprawie nie potrafi powiedzieć.

Kapitan unikał pytań o Bola. Wiedział już dosyć, więcej niż Karol... Jego wypowiedzi na ten temat nic by i tak nie wniosły, a sprawa była drażliwa. Kapitan nie miał najmniejszej ochoty mieszać się w intymne sprawy państwa Karolostwa... A zresztą z punktu widzenia prowadzonego śledztwa było to najzupełniej zbędne, więc starał się pomijać tę sprawę milczeniem.

Jednak to Karol udzielił mu jednej ciekawej informacji: że Norski po ostatnim swoim powrocie z Niemiec Zachodnich, a było to wiosną tego roku, opowiadał mu, że jakiś facet, z pochodzenia Polak, proponował mu grubszą forszę za jakieś informacje. Jakie? Nie wie dokładnie, ale to mogło chodzić o jakąś pracę Norskiego, którą robił dla wojska. Nie, oczywiście nie wie, co to była za praca. Takie sprawy są zastrzeżone, nikt się z tego nie zwierza. Ależ nie, to nie zdarzyło się na terenie RFN! Gutek wracał wtedy przez Austrię. Ten facet zaczepił go w Wiedniu. Tak, na pewno w Wiedniu. Jak Norski zareagował? A jak miał zareagować? Kazał mu po prostu „spływać”. No, odesłał faceta do wszystkich diabłów. Oczywiście że tak było. Gutek by nigdy na podobny interes nie poszedł. Śmieli się razem z naiwności tych facetów z Wiednia. Ot, po prostu bzdura! Taki drobiazg, że nie przyszłoby mu do głowy o tym opowiadać, gdyby kapitan wyraźnie nie spytał. Prawie zresztą o tej sprawie zapomniał. Takie rzeczy się zdarzają, pan kapitan przywiązuje chyba zbyt dużą wagę... On absolutnie może zapewnić, że Gutek nigdy... To po prostu wykluczone.

Było to wszystko, czego kapitan Zaliwski zdołał się od Karola dowiedzieć.

Rozdział XII

- Bez atu – powiedział Eda.
- Pas – po chwili zastanowienia zdecydował się Jerzy.
- Trzy kiery – zaliczył Jacek, partner Edy w tej rozgrywce.
- Trzy piki – usiłował bronić partii Bolo.
- Pas.
- Pas.
- Cztery bez atu.
- Kontra.
- Pięć kier.
- Kontra – po bardzo długim namyśle powiedział Jerzy.
- Pas.
- Pas.
- Pas.

Grali zatem pięć kier z kontrą. A kończyło im trzy. Jacek zmełł w ustach przekleństwo, gdy zobaczył rozłożone karty Edy. Ten zawsze musi przesadzić. Z czym się w ogóle odzywa? Będą leżeli jak betka.

Rzeczywiście leżeli bez trzech. Nawet najsprytniejsza gra nie mogła ich ocalić. W dodatku układy nie były najlepsze. Jerzy i Bolo byli zbyt wytrawnymi graczami, by liczyć na jakąkolwiek przerzutkę. Jacek wściekły rzucił ostatnią kartę.

– Zawsze musisz człowieka wrobić – powiedział do Edy. – Szlag by to trafił! Sam miałem w ręku odzywkę. Myślałem, że będzie co najmniej szlemik. Ale jak ktoś się odzywa z taką podłą kartą!...

– Miałem mariaż w karach, asa z waletem w treflach, pięć pik... – usiłował bronić się Eda.

– Same blotki – odparował Jacek. – Już lepiej milcz, baranie! W kłepę ci grać, nie w brydża.

– Kto rozdaje? – usiłował łagodzić scysję Bolo.

Zebrawali się u Karola na sobotniego brydża. Zula szykowała kolację. Karol jako właśnie wychodzący poszedł jej pomagać do kuchni. Coś im dzisiaj ten brydż kulawo szedł...

Eda, zapalony, ale nie najlepszy brydżysta, grał gorzej niż kiedykolwiek. Już przegrał trzy robry – każdy na minusach, i to dosyć wysoko. Jacek, wbrew swoim zwykłym obyczajom, wyklócał się o każdą odzywkę, hojnie szafując epitetami. Jerzy myślał przy każdej rozgrywce bez końca, prowokując uwagi kolegów, że w Pińczowie już świta. Bolo także był nie w sosie, raz i drugi zdarzyło mu się przerzucić, co go wprawiało w coraz gorszy humor, uważał się bowiem za superdobrego gracza. Stale dochodziło do jakichś scysji między partnerami, słowem, atmosfera była dość nerwowa... Toteż z ulgą powitali przerwę na kolację.

Zula, debiutująca w roli pani domu, chciała się „wysadzić”, pokazać z najlepszej strony. Ale jak konspiracyjnie zaszeptał Eda do Jacka, „plastyczką jest przeciętną, a gospodynią gorzej niż przeciętną”. Z dużym bowiem nakładem pracy przygotowane szaszłyki nie mogły niestety znaleźć uznania u obdarzonych tak delikatnym podniebieniem konese-rów, jak Eda czy Jacek. Szaszłyki były twarde, żylaste, nadto woniejące czosnkiem, którym Zula szafowała bez umiaru. Zwłaszcza Jerzy był wściekły, bo po pierwsze, w ogóle nie bardzo lubił tę potrawę (wolał tradycyjną polską kuchnię), poza tym szczególnie nie przepadał za baraniną, a już zupełnie nie znosił czosnku. Wprawdzie więc zgodnie z przyjętymi obyczajami goście unosili się nad talentami kulinarnymi Zuli, ale w istocie rzeczy ów „popis” gospodyni, zwłaszcza że ograniczony do

jednej jedynej potrawy, do reszty zważył i tak nie najświetniejsze humory. Sytuację ratował jedynie alkohol, hojną ręką rozlewany przez Karola.

Rozmowa przy stole toczyła się niemrawo, na tematy nie interesujące naprawdę nikogo i dopiero Eda „wychylił się” pytając Karola o jego rozmowę z kapitanem Zaliwskim. Karol swoim obyczajem udzielił raczej skąpych informacji. W końcu jednak przypierającemu go do muru Edzie udało się wydostać z niego wiadomość o owym spotkaniu Gutka w Wiedniu.

– Dlaczegoś nam przedtem nic na ten temat nie powiedział? – zawołał z pretensją Eda.

Karol wzruszył ramionami.

– Po co? Przecież to bzdura. Sam zresztą o tym zupełnie zapomniałem. Gdyby kapitan nie zveksłował rozmowy na ten temat...

– Bzdura? Człowieku, to może być klucz do tego, co się stało! – denerwował się Eda.

– Rzeczywiście w tym coś może być – poparł go Jacek.

– Czy nikomu z was Gutek o tym nie wspominał? – spytał Bolo.

Popatrzyli na siebie.

– Nie! – odpowiedział za wszystkich Eda. – Właśnie! Dlaczego?

– Po prostu uważał, że nie warto o tym wspominać – wzruszył ramionami Karol.

– Albo były jakieś inne powody... – znacząco powiedział Jacek.

– Czyżbyś przypuszczał, że Gutek?... – Bolo popatrzył ostro na Jaceka.

– Mogli go podejrzewać, że kogoś wsypie... Może coś ważnego wyniuchał? Przecież znaliście Gutka – ciągnął z podnieceniem Jacek.

– To nie jest takie nieprawdopodobne, jak by się zdawało – odezwał się po chwili milczenia Eda.

– Kogo miał niby sypanąć? Tego faceta, którego nie znał? Nawet jego nazwiska? – zdenerwował się Karol.

– A skąd masz pewność, że Gutek ci wszystko powiedział? Coś tam mógł zachować wyłącznie do własnej wiadomości. Albo historia miała dalszy ciąg, o czym ci już nie powiedział – bronił swojego stanowiska Jacek.

– Coś mi się zdaje, panowie, że nazbyt skwapliwie czepiacie się tej koncepcji. Gotowiście zrobić z Gutka szpiega, byle obronić własną skórę – wypalił nagle Bolo.

– Własną skórę? – zdumiał się Eda.

– Zdaje się, że za dużo sobie pozwalasz – odezwał się po raz pierwszy w tej wymianie zdań Jerzy. – Rozumiem, że kapitan jest idiotą, że na siłę gotów wrobić w to kogoś z nas, to wynika niejako z jego urzędu. Ale ty?

– No powiedz, prosto z mostu powiedz, może mnie podejrzewasz? – zaperzył się Eda.

– Ależ słuchajcie, czyście zwariowali? – usiłowała interweniować Zula.

Ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Żebym kogoś konkretnie podejrzewał, inaczej byśmy tutaj rozmawiali – powiedział twardo Bolo. – Ale po co mamy sobie piaskiem w oczy sypać, udawać większych idiotów, niż jesteśmy, a w dodatku robić z Gutka nieomal agenta obcego wywiadu. Czyste kpiny! W końcu nie ma siły: tylko my tam byliśmy i tylko ktoś z nas mógł to zrobić..

– Ja tam spałem i nic nie wiem – powiedział flegmatycznie Karol.

– Ty też nie jesteś wolny od podejrzeń – ostro powiedział Bolo.

– Jak to?

– A tak to, że spokojnie mogłeś się obudzić, zrobić swoje i z powrotem się położyć.

– Chyba zwariowałeś! – Karol był wyprowadzony z przyrodzonej mu równowagi.

– Zabraniam... zabraniam ci tak mówić o Karolu! – histeryzowała Zula.

– Tylko ty jesteś niewinny, tak? I uzurpujesz sobie rolę sędziego śledczego! – krzyczał Eda.

– Może na własną rękę chcesz prowadzić śledztwo? Jakby nam było mało idiotycznych „chwytów” i pomysłów kapitana! – sierdził się Jerzy.

– Panowie, spokój! Nie wrzeszczcie tak! Uspokójcie się! – starał się ich przekrzyknąć Jacek, ale był to głos wołającego na puszczy. Rozpętało się istne piekło. Skakali sobie niemal do oczu, wypominając jeden drugiemu jakieś na pół zapomniane wydarzenia, jakieś kłótnie z Gutkiem, nieopatrne słowa, które kiedyś komuś w rozdrażnieniu się wyrwały, krzyczeli jeden przez drugiego. Twarze poczerwieniały, nie obyło się bez walenia pięścią w stół, całe nagromadzone przez ostatnie dni napięcie, w jakim żyli, uzewnętrzniało się teraz w taki oto daleki od jakiegokolwiek rozsądku i dobrych obyczajów sposób.

W jakimś momencie chwilowej ciszy Jerzy powiedział z sarkazmem:

– Szkoda, że nie ma tutaj naszego kapitana. Ale miałby uciechę!

Chwilę trwało głuche milczenie. Potem Eda powiedział niepewnie:

– No, zdaje się, żeśmy urządzili niezłe przedstawienie.

– Owszem, niczego sobie – siląc się na humor dopowiedział Jacek.

– No to napijmy się! – przypomniał sobie o swoich obowiązkach gospodarza Karol.

– Nie, bo wiecie – zagał już innym tonem Eda – to jest nie do wytrzymania. Kiedy wchodzę do zakładu, wszyscy udają, że są strasznie zajęci. Szepczą po kątach. Udają że niby nic, że wszystko w porządku, ale taki głupi to ja nie jestem. Mówię wam, czuję się jak zapowietrzony!

– Ja to także zauważyłem – powiedział Bolo. – Ale skąd wiedzą? Kto mógł rozgadać?

– W naszym środowisku, naiwny jesteś, coś można zachować w tajemnicy? Już wróble o tym na dachach ćwierkają! – dołączył się do tego chóru utyskiwań Jerzy.

– Do Zulki wczoraj przyleciała jedna z jej koleżanek, koniecznie chciała się czegoś dowiedzieć – stwierdził Karol.

– Powiedziałaś coś? – zwrócił się do chlipiącej jeszcze Zuli Bolo.

– Coś ty! Splawiłam ją... Jeszcze by tego brakowało! To jedna z lepszych plotkar! – zaprzeczyła Zulka.

– Zupełnie nie rozumiem, jak to się mogło rozejść. Ja nawet żonie nic jeszcze nie powiedziałem, chociaż mnie stale męczy, dlaczego jestem taki zdehumorowany – powiedział Jacek.

– Ja powiedziałem – przyznał się Jerzy. – Ale ona na pewno nic nikomu nie powiedziała. Aż się trzęsie, żeby to się nie rozeszło, bo wtedy dopiero mielibyśmy bal!

– Ba, już się stało. Mówię ci, że to sensacja numer jeden! – ponuro powiedział Eda.

– Więc kto? – denerwował się Karol.

– „Jedna pani drugiej pani” – zacytował sarkastycznie Jerzy.

– Czepiasz się mnie? – zbuntowała się Zulka. – Ja nikomu nic nie powiedziałam!

– Nie ciebie – zaprzeczył Jerzy. – Mówiłem tylko o systemie rozchodzenia się tego typu wiadomości.

– Ktoś w końcu musiał coś klepnąć, nie ma cudów! – skonstatował Bolo.

– No, oprócz nas wiedziało kilka osób – zauważył Eda.

– Nic nie zdiagnozujemy zastanawiając się, kto powiedział. Zresztą wszystko jedno kto, grunt, że już gadają. I będą gadać coraz więcej – dodał ponuro Jerzy.

- Chyba! Taaaka sensacja! – z goryczą podsumował Eda.
- Najgorsze, że nie przewiduję szybkiego końca tych „przyjemności” – ciągnął Jerzy. – Ten nasz kapitan to wyjątkowy idiota.
- Nie gadaj! – wstawił się za kapitanem Eda. – Gość całkiem na poziomie. Sprawa jest cholerna.
- Myślisz, że on w końcu do czegoś dojdzie? Wątpię! – poparł Jerzego Jacek.
- Cudów nie ma. Chyba nie wierzycie w zbrodnię doskonałą? – wtrącił Bolo.
- W zbrodnię doskonałą może nie. Ale w doskonałą nieudolność organów ścigania – tak – stwierdził sarkastycznie Jerzy. – Przynajmniej mnie jakoś nie podoba się cała taktyka, jaką przyjął nasz kapitanek. Grzeczne rozmówki, psychologiczne rozważania, może jeszcze do naszej podświadomości będzie usiłował się dobrać za pomocą psychoanalityka? Śmiech na sali! A w rezultacie naprawdę nie wiadomo, czy to jednak nie mógł być ktoś z zewnątrz. W tamtym terenie nie było to nawet trudne. Sam bym potrafił zapaść łodzią w trzciny, żeby mnie żywa dusza nie dojrzała.
- Cacy, cacy, ale musiałby wtedy istnieć jakiś powód, i to niebagatelny – zdenerwował się Bolo. – Chyba sobie nie wyobrażasz, że jakiś zboczeniec czatuje nocami na byle kogo, kto mu się podwinie, by go w przemyślny sposób zamordować?
- Zakładasz, że był powód – odpowiedział Jerzy. – W porządku. Ja też zakładam. I chyba każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie. Ale czy widzisz jakikolwiek powód, dla którego ktokolwiek z nas mógłby to zrobić?
- Nie widzę – powiedział uczciwie Bolo. – Ale to wcale nie znaczy, że takiego powodu nie ma. A jeżeli jest – to prędzej czy później wyjdzie na jaw. I wtedy sprawa będzie jasna.

– Wolałbym prędeż – usiłował żartować Eda. – Cholernie mi zaczyna to wszystko doskwierać!

– Komu nie doskwiera? Ale przyznam, że nie spodziewam się ani rychłego, ani dobrego końca – uparcie twierdził Jerzy. – Kapitan niczego się nie dogrzebie. Za głupi na to.

– Coś na niego taki cięty? Ugodził cię bodaj w piętę achillesową? – złośliwie rzucił Jacek.

– A żebyś wiedział! Nie znoszę, gdy ktoś się wtrąca w najzupełniej prywatne sprawy, nic w dodatku nie mające wspólnego z tym, co się stało.

– Przewietrzył ci nieczyste sumienie? – z ironią powiedział Eda.

– Pilnuj lepiej własnego! Będzie znacznie zdrowiej.

– Panowie, panowie, znowu zaczynacie! – łagodził Jacek. – Jak się zaczniemy między sobą tak gryźć, to rzeczywiście może być lepsza zabawa. Każdy z nas ma w końcu takie swoje najzupełniej prywatne sprawy.

– Nie bój się. Milicja we wszystko teraz wsadzi nos. I tak, przynajmniej do tej pory, obchodzą się z nami w białych rękawiczkach – z goryczą powiedział Eda.

– No, nie byłbym tego samego zdania. Wydaje mi się, że kapitan jednak przekracza swoje kompetencje – stwierdził Jerzy.

– Widzę, że cię nieźle przycisnął do muru – znowu nie wytrzymał Eda. – Ja się tam na niego nie mogę uskarżać.

– Ja też uważam, że to zupełnie przyzwoity facet – poparł go Karol.

– No, orłem to on nie jest – mruknął Jacek.

– Ty byś zapewne był na jego miejscu, co? – złośliwie przyciął Bolo.

– Mój kochany, ja się na szpicla nie nadaję. To chyba raczej ty wykazujesz wielką na to ochotę.

– Przestańcie! Słuchać już tego nie mogę! – krzyknęła Zula. – Wszystko wam jest dobre do rozgrywania między sobą własnych gier.

Nawet... nawet śmierć Gutka! – wypaliła. I dodała z pogardą: – Przyjaciele!

Ucichli. Karol usiłował załagodzić sytuację, rozlewając znowu alkohol. Ale byli już na dobre zwarzeni. Ktoś bez przekonania, byle przerwać nieprzyjemną dyskusję, zaproponował następnego robra. Siedli do brydzowego stolika. Zula wyniosła się do kuchni i po chwili zaczęły stamtąd dochodzić odgłosy demonstracyjnego trzaskania garnkami. Karola aż podrzucało na krześle, ale nie śmiał interweniować. Patrzyli na niego z ironią.

Pokój oświetlała zawieszona na ciężkich łańcuchach ozdobna, niegdyś naftowa lampa, największa duma Zuli. Na ścianie koloru ciemnego wina wisiał, atakując oczy agresywnością barw, ostatni obraz Zuli: płatanina plam i kresiek, z której przy pewnym wysiłku można było odczytać kształt leżącego konia z szeroko rozwartym brzuchem, wylewającym ze swojego wnętrza kłębowisko fioletowych węży-flaków...

Eda, siedzący naprzeciwko tego obrazu, mimo woli co chwila podnosił wzrok, za każdym razem wzdrygając się wewnątrz, zaszokowany przedziwnym okrucieństwem, agresywną brzydotą tego płodu plastycznego talentu Zuli. Odetchnął, gdy kolejny rober przyniósł zmianę miejsc. Jerzy ma jednak silniejsze nerwy niż ja – pomyślał, obserwując go spod oka. Jerzy bowiem tylko raz obrzucił przeciągłym spojrzeniem obraz i więcej w ogóle nie podnosił oczu ponad karciany stolik. Jak Karol może to na co dzień wytrzymać? – zastanawiał się dalej i, zaabsorbowany swoimi myślami, znowu zrzucił niewłaściwą kartę, co oczywiście wywołało kolejny, a mało pochlebny komentarz Jacka na temat jego gry w brydza.

W ogóle nie grało im się dzisiaj dobrze. Być może każdy z nich zbyt głęboko pogrążony był we własnych kłopotliwych myślach. Grali jednak, bo w końcu co mieli robić? Samotne medytacje, wyczekiwanie na wiadomości, które przecież mogły zburzyć i ten pozorny spokój, jaki

w międzyczasie z dużym trudem udało im się osiągnąć – było jeszcze gorsze.

- Pas.
- Dwa piki.
- Dwa bez atu.
- Trzy piki.

Ciszę przerywały tylko lakoniczne odzywki brydżystów i szelest kart czasopisma przeglądane przez Zulę. Gdyby ktoś nie zorientowany zajrzał do tego pokoju, gdzie pod łagodnym światłem findesieclowej lampy siedziało grono panów, gdzie przy bocznej lampce dekoracyjnie uplasowana na kanapce wpołleżała elegancka i piękna kobieta, czytając modne czasopismo; gdyby ktoś zajrzał do tego wnętrza nieco ekstrawaganckiego, ale przecież nie pozbawionego swego uroku oryginalności – nie przyszłoby mu z pewnością do głowy, że ma do czynienia z aktorami dramatu, który właśnie szparkim krokiem zbliża się do swojego tragicznego końca.

Rozdział XIII

Kapitan Zaliwski, po informacji udzielonej mu przez Karola o podejrzanej propozycji uczynionej Norskiemu w Wiedniu, skupił się na tym śladzie. Uchwycił nitkę i usiłował konsekwentnie podążyć za jej biegiem. Nie było to bynajmniej łatwe. Ludzie kapitana, jak to się mówi, już na pysk padali, bo kapitan potrafił wymagać, mimo jednak najusilniejszych wysiłków rezultaty były znikome.

Szef bardzo się rozsierdził, usłyszawszy o tym wiedeńskim incydencie, dusił ze swojej strony odpowiedzialnych za to ludzi. Niestety, do tej pory również bez widocznych rezultatów. Jakies tam hipotezy, podejrzenia – nic jednak, czego by się można na serio ucześcić. Kapitan dotarł w końcu do powiązań Norskiego z wojskiem, wiedział już, jakiej dziedziny dotyczyła praca Norskiego. Ale w istocie rzeczy nie było to nic takiego, czym by się mógł zainteresować obcy wywiad. Tym bardziej że Norski opracowywał jeden – i to wcale nie najważniejszy – fragment większej całości i o ile można sądzić, gdyby nawet chciał, nie mógłby udzielić naprawdę wartościowych i cennych informacji. Niemniej kapitan wżorem psa myśliwskiego nie odrywał nosa od tropu. Zawziął się.

W nawale zajęć zapomniał o obiecanej wizycie u swojego starego profesora. Przypomniał mu o tym dopiero telefon od Korowicza. W poczuciu winy umówił się z nim na ten sam wieczór.

Zapadał już zmierzch, gdy kapitan dążył wolnym krokiem przez ciche uliczki willowej dzielnicy.

Profesor zajmował jeden obszerny, a drugi maleńki pokój wydzielone z dużego mieszkania luksusowej niegdyś willi. Dziś mury od lat nie odświeżane zdobiły plamy i zacieki, kawały odpryśniętego tynku nie dodawały urody położonej w niewielkim ogródku starej willi.

Wchodziło się po schodkach na taras, stamtąd, niegdyś jedynie balkonowe, dziś wejściowe drzwi prowadziły wprost do wielkiego pokoju z półokrągłą wnęką, w której rozpierał się szeroko rozrośnięty filodendron, pochłaniając i tak dość skąpo docierające tutaj światło. Pokój wydawał się wprost olbrzymi w zestawieniu z obecnym „krasnołudkowym” budownictwem. Dwie jego ściany zastawione były aż do sufitu regałami. Tłoczyły się na nich w karnym ordynku opasłe książki i cienkie broszurki. W obszernej przestrzeni prawie ginęły nieliczne meble: duże, wiecznie zarzucone książkami i przeróżnymi papierami biurko, jakaś antyczna komoda z zawieszonym nad nią dużym pejzażem dobrego widać pędzla, duża starodawna kanapa, przyrzucona barwnym kilimkiem w huculski, rzadko już teraz spotykany wzór. Jedynym bardziej współczesnym elementem w tym pokoju był mały „jamniczkowy” stoliczek z trzema rozstawionymi wokół niego wygodnymi fotelami.

Na tym właśnie stoliczku profesor postawił wyciągniętą skądś butelkę badela i talerzyk ze słonymi paluszkami.

– A może jesteś głodny, chłopcze? – zatroskał się. – Coś by się tam może znalazło do przegryzienia.

– Dziękuję, panie profesorze. Zjadłem coś przed wyjściem. Nie jestem głodny.

– No to dobrze. Ale się napijesz?

– Z przyjemnością.

Profesor rozlał złotawy trunek do pękatych kieliszków i usadowił się wygodnie w fotelu.

– Zadzwoniłem do ciebie – zagaił – bo wiesz, doszły do moich uszu bardzo nieprzyjemne wieści.

– O Norskim?

– Tak. Oczywiście. Chociaż, mówiąc ściślej, nie tyle o Norskim, ile o innych zamieszanych w to osobach.

– Czy można wiedzieć co?

– Można. Po to cię między innymi zaprosiłem... Ale wierz mi, to są bzdurne plotki. Źle się dzieje, mój kochany, że nie zachowujecie wszystkiego do czasu w tajemnicy. To bardzo niezdrowe, taka atmosfera wokół uczelni.

– Zachowujemy, panie profesorze. Ale przecież nie mogę zamurować ust temu dobranemu gronu znad jeziora. Zobowiązałem ich do dyskrecji, ale pewnie ten i ów wygadał się przed najbliższą rodziną, a ci z kolei przed swoimi najbliższymi i tak poszło w świat.

– Możliwe, możliwe... – powiedział profesor, wyraźnie myśląc o czymś zupełnie innym. – Trudno taką sprawę utrzymać w tajemnicy. Chociaż czyżby działali na swoją własną szkodę?

– Może im się zdaje, że zmobilizowanie opinii publicznej po swojej stronie jest w stanie przynieść im jakąś korzyść.

– Też niewykluczone, chociaż wątpliwe. Ale chciałbym cię prosić, mój chłopcze, o ile możesz naturalnie, żebyś mi krótko i rzeczowo o tym opowiedział.

– Z chęcią, panie profesorze. Oczywiście nie potrzebuję zaznaczać, że trochę przekraczam przepisy... Ale sam chciałem się zwrócić do pana profesora o radę. Pan zna to środowisko. Dla mnie też niby nie jest całkiem obce, ale odbiegłem już trochę od niego, trudno mi jakoś myśleć obowiązującymi w nim kryteriami.

– Słucham, słucham z uwagą, mój chłopcze.

Kapitan bardzo szczegółowo zreferował całą sprawę. W miarę mówienia zaczął sobie uświadamiać, jak dyscyplina jasnego referowania, jakiej wymagał zawsze profesor, pomaga mu uporządkować ten nieco chaotyczny dotychczas materiał.

Profesor słuchał z na pół przymkniętymi oczami. Prawie mu nie przeżywał. Od czasu do czasu rzucał tylko jakieś pytanie i dalej słuchał w

skupieniu. A kapitan Zaliwski nie taił opisu załamywania się kolejnych swoich koncepcji, referował wrażenia odniesione z rozmów z podejrzanymi, wdawał się w charakterystykę udzielających informacji świadków. Wiedział, z jak wytrawnym znawcą tego typu spraw ma do czynienia. Profesor, zanim jeszcze objął katedrę na uniwersytecie, był bardzo znanym w kołach sądowych adwokatem. Procesy, w których brał udział, często trafiały na szpalty prasy. Posiadał rzadki dar wyciągania z ludzi tego wszystkiego, co właśnie zataić by pragnęli. Jego sposób przesłuchiwania niejednokrotnie zamieniał świadków obrony w świadków oskarżenia i vice versa. Wskutek tego dochodziło nierzadko do sensacyjnych zwrotów w procesie. Z początków jego adwokackiej kariery znany i często przytaczany był fakt, kiedy w trakcie rozprawy wykazał ponad wszelką wątpliwość, iż nie jego klient, a główny świadek oskarżenia winien jest popełnionego przestępstwa.

Znany był z tego, że nie podejmował się obrony osób, co do niewinności których sam nie był przekonany. Zanim przyjął sprawę, przeprowadzał „prywatne śledztwo”. Mówiło się, iż nie bez pomocy współpracowników, których potrafił sobie zdobywać w różnych kręgach...

Stanowił swojego rodzaju instytucję. Ale patrząc na niego, trudno było niemal w to uwierzyć. Wątki, szczupły, zgoła nie rzucający się w oczy, mógł z powodzeniem uchodzić za drobnego urzędnika. Studenci z wydziału „na kółkach”, jak swojego czasu nazywano wydział prawa (większość studiujących dojeżdżała na ćwiczenia, po macoszemu traktując wykłady), często brali go za... uniwersyteckiego pedla. Do dzisiaj opowiadano, jak jeden z takich zielonych pierwszoroczników zwrócił się do niego z pytaniem, czy przypadkiem nie wie, „gdzie złapać tego cholernego profesora Korowicza, bo potrzebuje jego podpisu w indeksie”, a profesor z niezmaconym spokojem wziął indeks i złożył w nim swój zamaszysty podpis, czyniąc przy tym uwagę, że jednak wołałby

dokonywać takich czynności w miejscu do tego przewidzianym, czyli na sali wykładowej, a nie w toalecie...

Kapitan Zaliwski dość wcześnie zdołał docenić niezwykle umysł i osobowość profesora. Wiele mu zawdzięczał. I do dzisiaj zachował szacunek i niezmienny podziw dla tego tak na pozór mało efektywnego człowieka.

Wysłuchawszy wszystkiego, profesor powiedział:

– Obawiam się, że trafiłeś na wyjątkowo paskudną sprawę, chłopcze.

– Ba, ja też tak uważam! Jednak myśli pan, że Norski zaplątał się w jakieś kontakty z obcym wywiadem? – spytał podniecony, sądząc, iż uwaga profesora odnosi się do zreferowanej na końcu koncepcji.

– Co? – powiedział wyrwany z zamyślenia profesor. I ku zdumieniu kapitana dokończył: – Nie, oczywiście że nie. Nie znałem Norskiego zbyt dobrze, ale wystarczająco dobrze na to, by ci, chłopcze, powiedzieć: daj sobie z tym spokój, nie daj się zwieść na ten boczny tor. Sądzę, że ten Karol ma rację; to drobne wydarzenie bez żadnego znaczenia. Przecież gdyby coś w tym było, Norski by się tak ochoczo nie zwierzył z tej propozycji koledze.

– Mógł być dalszy ciąg tej sprawy, o czym Norski już kolegi nie uważał za stosowne poinformować.

– Wszystko jest możliwe. Tylko, widzisz, mało prawdopodobne. Tak, zupełnie mało prawdopodobne. Za bardzo to pachnie sensacyjną powieścią...

– W takim razie co pan profesor miał na myśli mówiąc, że to „paskudna sprawa”? – ośmielił się zapytać kapitan.

– Coś, co mi się dopiero, dość zresztą niejasno, kształtuje... Za wcześniej jeszcze o tym mówić. Chciałbym, chłopcze, o ile nie masz nic przeciwko temu, przejrzeć gazety, które Norski przywiózł tego dnia z miasteczka.

– Gazety? – zdumiał się kapitan. – Przejrzałem je, oczywiście,

panie profesorze, ale nic tam ciekawego nie znalazłem.

- Może nie wiedziałeś, czego szukać?
- A czego miałem szukać?
- Powiem ci, ale muszę sam najpierw sprawdzić, czy się nie mylę.

A poza tym, czy pytałeś, który z nich lubi „Kubusia Puchatka”?

Kapitan Zaliwski, gdyby tak dobrze nie znał swojego profesora, byłby przekonany, że stroi sobie po prostu z niego żarty. Nieco osłupiały patrzył badawczo na profesora.

– Ach, to ty nie wiesz, skąd się wziął ten „tran” w odpowiedzi na pytanie „co lubią tygrysy?” – zaśmiał się profesor, widząc minę kapitana. Wziął kolorową książkę z półki i przeczytał: „Tymczasem Kangurzyca z Krzysiem i Prosiaczkiem otoczyli Maleństwo i patrzyli, jak ono pije tran. A Maleństwo jęczało: – Ojej, kiedy nie mogę... – Co to jest? – spytał szeptem Tygrys Prosiaczka. – To Wzmacniające Lekarstwo Maleństwa – odparł Prosiaczek także szeptem – ono tego nie cierpi. Wówczas Tygrys zbliżył się do Maleństwa, przechylił się przez poręcz jego wysokiego krzeselka, wysunął język i mlasnął głośno. Kangurzyca podskoczyła do góry, krzyknęła »ach!« i chwyciła łyżkę akurat w tej chwili, gdy ta zniknęła w mordce Tygrysa, i wydobyła ją szczęśliwie z powrotem. Ale tranu już nie było. (...) A Tygrys spojrział w sufit, z błogim uśmiechem przytknął oczy i zaczął obracać językiem w mordce, zlizując resztki lekarstwa, tak żeby ani nawet odrobinki nie stracić. Po czym powiedział: – To właśnie lubią Tygrysy”.

– To z „Chatki Puchatka” – powiedział profesor, starannie wsuwając książkę na jej miejsce na półce. – Jeżeli nie znasz „Kubusia”, szczerze ci to polecam. Uroczą lekturę. Dla dzieci i zarazem nie dla dzieci. Sam często do niej wracam...

- Przy okazji przeczytam – obiecał kapitan. – Ale co ma do rzeczy

ta książka? Co ma wspólnego z tym morderstwem?

– Widzisz, dziwna sprawa. Nic przypominam już sobie dobrze, ale chyba jednak kiedyś rozmawiałem z Norskim na temat „Kubusia”. Zastał mnie zdaje się przy jego lekturze... Tak, to właśnie tak musiało być. On to czytał. Powiedział mi wtedy, że jego koledzy zabawiają się czasem zadając sobie pytania z „Trylogii” albo z „Kubusia”, na które należy odpowiedzieć bezbłędnie pełnymi cytatami. Teraz rozumiesz, jak dziwne mi się wydaje, że ani sam Norski nie potrafił rozwiązać tego pytania z krzyżówki, ani – co jeszcze dziwniejsze – nie potrafili tego uczynić jego koledzy.

– Oni w ogóle zdaje się nie chcieli słuchać, gdy ich Norski o tego typu rzeczy pytał. Wyśmiewali się z jego krzyżówkowej manii...

– Może być. Ale jeżeli się coś dobrze zna, odpowiedź przychodzi automatycznie.

– W końcu Norski wpisał odpowiedź do tej krzyżówki. Jest to zresztą jedyna rozwiązana do końca z tych, które przeglądałem w posiadanych przez niego czasopismach.

– Ale kiedy to wpisał? – zamyślił się profesor.

– Na początku owego „bumsu” jeszcze ich o to pytał, czyli że musiało się to stać później...

– Mogło mu się samemu przypomnieć. Ale równie dobrze mógł jeszcze któremuś z nich zadać to pytanie. Tylko dlaczego żaden nie przyznaje się do tego, że podpowiedział Norskiemu rozwiązanie?

– Nie wiem, panie profesorze.

– Właśnie. Ja też nie wiem.

– To chyba nie jest ważne! – powiedział kapitan trochę zirytowany, że profesor błędzi po manowcach, zamiast zająć się istotą rzeczy.

– Kto wie, kto wie, mój chłopcze, czasem takie drobne szczegółiki też mają swoją wagę. Ale powiedz mi, co sądzisz o swoich podopiecznych?

Kapitan wdał się zatem w szczegółową charakterystykę każdego ze swoich „pupilów”, z uwzględnieniem faktów czy słów, które go skłaniają do takiego, a nie innego poglądu. Profesor znowu słuchał bez słowa, z lekko przymkniętymi powiekami.

– Z tego wszystkiego wynika – powiedział, kiedy kapitan wreszcie skończył – że w żadnym wypadku nie znalazłeś wystarczająco obciążających okoliczności, że wszyscy wydają ci się niewinni? – spytał z błyskiem humoru w nagle bystrych oczach.

Kapitan nieco się zmieształ, ale uczciwie nie myślał zaprzeczać temu zgodnemu przecież z jego odczuciami, wnioskowi.

– Na to wygląda. Widzi pan, profesorze, wszyscy są w gruncie rzeczy sympatyczni. Ale oczywiście nie to jest ważne, choć nie zaprzeczam, może zbyt się zasugerowałem ich poziomem intelektualnym, tym, w jaki sposób rozpatrują trudną przecież dla nich sytuację. Najważniejsze jest to, że nie mogę się dopatrzeć, mimo wszelkich wysiłków, żadnego sensownego motywu.

– Tak – powiedział profesor – sprawa motywu. Oczywiście to jest jedynie ważne. Kiedy chwycimy motyw, sprawa będzie zupełnie jasna i prosta.

– Zazdrość? Jakieś porachunki? Zemsta? – udręczonym głosem wymieniał kapitan. – Wszystko nie to, wszystko bzdura!

Profesor, zamyślony, kawałkiem miękkiej irchy przecierał okulary. Jego oczy bez osłony silnych szkieł wydały się kapitanowi zastanawiająco roztargnione i bezbronne. Jak oczy bezmyślnie krzywdzonego dziecka. Milczał.

Dopiero gdy pieczołowicie umieścił na powrót okulary na nosie, jego wzrok odzyskał normalny wyraz. Obrzucił swojego byłego ucznia na poły rozbawionym, inteligentnym spojrzeniem i powiedział:

– Zawsze byłeś, mój chłopcze, nadto niecierpliwy. Do prawdy, jeśli się w ogóle dochodzi, dochodzi się powoli i żmudnie. Genialna

improvizacja – to dobre w trzeciorzędnej literaturze. W życiu bardziej popłaca uczciwa praca i myślenie. W tym przypadku ważne są fakty, przede wszystkim fakty...

– Ba! – sceptycznie uśmiechnął się kapitan – czasami zdaje mi się, że piętrzą mi się już te fakty niczym krzesła w sztuce Ionesco. Niedługo nosa mi spoza nich nie będzie widać.

– A jednak – powiedział, nie podchwytyjąc żartobliwego tonu, jakoś bardzo serio profesor – czegoś mi tu mimo wszystko brakuje.

Zaskoczony równie tonem co słowami kapitan bąknął:

– Ale czego, panie profesorze, czego?

– Ba, żebym to wiedział! Ale jedno wiem, że coś musi przecież być. Z całą pewnością musi. I do tego „czegoś” jeszcześmy się nie dokopali. – A widząc niedowierzające spojrzenie kapitana, roześmiał się, choć nie był to śmiech wesoły ani beztroski. – Myślisz zapewne, że profesor na starość nieco zramolał i bawi się w intuicję. Ba, może także i to... Ale raczej długoletnia praktyka w budowaniu myślowych, logicznych konstrukcji. Widzisz, to coś zbliżonego do dziecinnej zabawy w układanie obrazków z porzrzucanych kostek. Na każdej z nich są jakieś fragmenty, które licho wie, do czego mogą pasować. Ale z chwilą gdy natrafi się na ogólną zasadę porządkującą, wówczas... – profesor urwał nagle i zamyślił się. Dokończył dopiero po chwili z wyraźnym roztargnieniem, zajęty widać myślą, która mu w tej właśnie chwili przyszła do głowy: – Tak, wyraźnie mi tutaj brakuje faktów...

Kapitan, słuchający z wytężoną uwagą, nie doczekał się niczego więcej. I pomyślał, wprawdzie ze wstydem, że lata nie minęły bezkarnie, że profesor goni chyba w piętkę. Fakty? Jakie jeszcze mogą być tutaj fakty? Posunął się staruszek w ciągu tych lat, przykre to, bardzo przykre, umysł, tak niegdyś świetny, nie funkcjonuje już tak jak dawniej...

Coś z tych myśli musiało odbić się na jego twarzy, bo profesor nagle parsknął dobrodusznym śmiechem i... nappełnił kieliszki ciemnozłotym badelem.

– Pod rozwiązanie tej „krzyżówki” – wzniosł toast – w twoje ręce, mój chłopcze.

Rozdział XIV

Kapitan Zaliwski, pomny obietnicy danej profesorowi, przesał mu plik gazet pozostawionych w namiocie nad jeziorem, a należących do niezującego Gustawa Norskiego. Przedtem jednak raz jeszcze sam je dokładnie przejrzał. Artykuły na pierwszych stronach wszystkich gazet donosiły w tych samych niemal słowach o pomyślnym przebiegu kampanii zniwnej tudzież o pewnych komplikacjach natury ekonomicznej, z jakimi borykają się państwa „wspólnego rynku”. Następne strony, w zależności od profilu gazet, informowały o doniosłych i mniej doniosłych wydarzeniach krajowych i zagranicznych, publicyści natomiast z godną podziwu jednomyślnością atakowali problem przyjmowania kandydatów na uczelnie wyższe oraz piętnowali przemysł krajowy za zanieczyszczanie naturalnego środowiska człowieka. Ciekawe – pomyślał kapitan – ile nam się nagle namnożyło miłośników przyrody... A kiedy kochani planiści ogałali miasto z pięknych starych drzew albo gdy rzeką płynęły całe ławice śniętych ryb, dziennikarze nie mieli dość słów zachwyty dla wspaniałych osiągnięć naszego przemysłu oraz bujnego rozkwitu budownictwa miejskiego. Wtedy ani im było w głowie pisanie o niszczeniu naturalnego środowiska. A teraz – proszę! Jakby inne tematy w ogóle nie istniały! Kapitan zerknął jeszcze na codzienne rubryki: kronikę wypadków (znów jakieś samobójstwo nastolatki, zabity na szosie motocyklista, sprawca nie udzielił pomocy i zbiegł, kraksa ciężarówki prowadzonej przez pijanego kierowcę itd.), bieżące imprezy (nieciekawe, ogórkowy

sezon), program radia i telewizji... Nawet rubrykę ogłoszeń przestudował, zzymając się wewnętrznie przy czytaniu anonsów w rodzaju: „Elegancki na stanowisku pozna panią w wieku 35–40 lat o wysokich walorach zewnętrznych i moralnych, najchętniej z własnym mieszkaniem, w celu matrymonialnym”.

Nie, zaiste, kapitan nie mógł się dopatrzeć, na co się może profesorowi przydać ta gazetowa makulatura. Co chce tutaj znaleźć, skoro przy najlepszych chęciach nic ciekawego znaleźć nie można? Ale oczywiście, mimo w pełni, jak mu się zdawało, uzasadnionego sceptycyzmu – zgodnie z danym przyrzeczeniem – gazety przesłał.

Śledztwo szło swoim torem. Kapitan i cała jego ekipa pracowali bez przerwy. Stale zbierano informacje o osobie zamordowanego Gustawa Norskiego. Kronika jego niezbyt długiego życia wzbogacała się ciągle o nowe szczegóły i szczególiki.

Właśnie! Szczegóły i szczególiki... Bo jakąż wartość mogła mieć dla kapitana informacja, że tuż po obronie pracy doktorskiej przewieziono Norskiego do szpitala z zapaleniem wyrostka robaczkowego? Stan był tak groźny, że natychmiast, nocą, poszedł na stół operacyjny... Albo że pewien dyrektor dużego zakładu przemysłowego używał nieparlamentarnych słów, wspominając współpracę z Norskim? Miał za co, bo istotnie wskutek pewnych stwierdzeń Norskiego o nieprawidłowościach towarzyszących procesowi produkcyjnemu w tymże zakładzie dyrektorowi jego dyrektorski stołek o mało nie wysunął się spod siedzenia. Musiał rozwinąć ożywioną działalność dyplomatyczno-bufetową, aby jakoś zapobiec przykrym konsekwencjom. Oczywiście nie mogło być mowy o dalszej współpracy z Norskim, który oprócz utraty intratnej „fuchy” dodatkowo musiał wysłuchać reprimendy swojego szefa, bo w strategicznym planie obrony dyrektorskiego stołka leżało również „usadzenie” młodego naukowca. Norski wprawdzie „usadzić się” nie dał, ale jednak

machnął ręką na dalsze dochodzenie swoich racji. Miał poważniejsze sprawy na głowie, bo właśnie przyznano mu stypendium zagraniczne i programował badania, którymi, korzystając z tamtejszej aparatury, miał się zająć. Na miejsce Norskiego dyrektor zaangażował innego, bardziej uczulonego na własny niż na państwowy interes pracownika i tak cała sprawa zlikwidowała się samoczynnie i poszła w zapomnienie.

Wiele nadziei wiązał kapitan z zabezpieczonymi po śmierci Norskiego, pozostałymi w mieszkaniu jego rzeczami. Jeszcze przed przekazaniem ich rodzinie obaj z Zawadą zajęli się dyskretną, ale drobiazgową penetracją pokoju z kuchnią, czyli tak zwanej kawalerki, jaką Noriski zajmował w bloku zamieszkałym przez pracowników swojej uczelni. Było to typowo kawalerskie gospodarstwo. W niewielkiej kuchence stół był zastawiony niezbyt porządnie pomytymi szklankami i kieliszkami, w szafce znaleźli pół bochenka chleba wyschniętego na kość oraz resztki żółtego sera podobnej konsystencji. W pokoju kurz grubą warstwą zdążył pokryć regały i zarzucone książkami i papierami biurko. Metodycznie przejrzeni każdą książkę, każdy najmniejszy świstek. Noriski poza fachową literaturą nie gromadził systematycznie niczego. Obok podręcznika gry w szachy stały na półce mocno sfatygowane książki sensacyjne, dalej kilka tomów Conrada, Hemingwaya, „Niebezpieczne związki” Laclosa sąsiadowały z... „Historią naturalną lodu” Dobrowolskiego. Trochę popularnonaukowej literatury z czasów drugiej wojny światowej, pięknie wydane wiersze Baczyńskiego, jakiś tomik satyr Swinarskiego – słowem, biblioteczka co się zowie bałaganiarska, świadcząca o szerokich, acz nie sprecyzowanych zainteresowaniach jej właściciela.

Szuflady obszernego staroświeckiego biurka zapchane były przeróżnymi szpargałami. Odbitki prac kolegów z przyjacielskimi dedykacjami – w tym sporo obcojęzycznych, przeważnie niemieckich – rachunki za

gaz i elektryczność, jakieś pełne cyfr i wzorów notatki, kolorowe pocztówki – czyli normalny kawalerski bałagan.

Zwracała uwagę nikłą ilość korespondencji. A właśnie z prywatnymi listami Norskiego kapitan wiązał największe nadzieje. Owszem, było kilka listów od matki, dotyczących przeważnie spraw rodzinnych, kilkanaście pocztówek z różnych stron świata, ponadto porządnie ułożona latami i wpięta do osobnej teczki korespondencja dotycząca spraw służbowych, jakieś opinie, podania, zaświadczenia itp.

– Popatrz – powiedział Zawada, gdy pracowicie przejrzawszy biurko, siedzieli w fotelach, paląc papierosy – popatrz, ani jednego romanсового listu! Po prostu nie do pojęcia – kręcił głową nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia.

Kapitan siedział z ponurą miną. Powoli ogarniała go irracjonalna wściekłość na nieboszczyka. Wyglądało na to, że celowo, złośliwie zniszczył wszelkie ślady swego osobistego życia, nawet takie, w jakie – sam o tym nie wiedząc – obrasta każdy człowiek. Było to aż podejrzanie i kapitana znowu zaczęła gnębić myśl, czy wbrew realnym faktom i tak jednoznaczny sąd profesora, nie ma tu jednak do czynienia z supersprytnie zakamuflowanym szpiegiem?

Jakby wtórując jego myślom, odezwał się Zawada:

– To nie jest całkiem normalne. Albo facet był cholernym dziwakiem, albo to jakaś nieczysta historia. Słuchaj, czy nikt nie był tutaj przed nami?

– Chyba duch – warknął kapitan – inaczej zostawiłby przecież ślady na tych pokładach kurzu!

– Nie wmówisz mi, że Norski żył jak święty Franciszek...

– Nic ci nie chcę wmawiać. Może facet dostał takie ciągi od tej płowłosej piękności, że na jakiś czas mu się wszystkiego odechciało. A może załatwiało to bez zbędnego balastu słów?

– Faktycznie, Romeo to on nie był...

– Romeo, nie Romeo, a w ogóle to nie rozumiem, dlaczego wprawia cię w takie zdumienie brak literatury miłosnej w mieszkaniu Norskiego? – kapitan sierznił się tym bardziej, że właśnie ten fakt jego samego wprawił w zdumienie. – Czy ty gromadzisz liściki od swoich wielbicielek? Czy w twoich szufladach można znaleźć paczuszki przewiązane różowymi wstążeczkami?

– Odczep się! Czegoś taki zły jak osa?

– No powiedz, przechowujesz korespondencję miłosną?

– Bzdurne pomysły! Naturalnie że nie. Ale zapominasz widać, gdzie pracuję, i w związku z tym jakie mogą gnębić mnie kompleksy...

– Kompleksy! – fuknął kapitan. – Mógłbyś się chociaż nie zgrywać, milicyjny donżuanie.

– No, no, takie rzucanie inwektywami w myśl regulaminu nie powinno mieć miejsca nawet w stosunku do skromnego podwładnego – powiedział namaszczoneg głosem Zawada. – A wracając do faktów, to chyba obydwaj zapomnieliśmy o drobnym szczególe...

– Jakim?

– Ano takim, że Norski otrzymał to mieszkanie już po rozwodzie. Widać przy przeprowadzce, co jest dość zrozumiałe i chyba nagminnie stosowane przez przenoszących się na nowe lokum, pozbył się wszelkiej makulatury. W końcu nie był sentymentalną pensjonarką, żeby ciągać za sobą do końca życia „pamiętki przeszłości”.

– Chyba masz rację – z wyraźnym zniechęceniem wzruszył ramionami kapitan. – To najprostsze wyjaśnienie.

Tak więc zarówno informacje uzyskane o życiu Norskiego, jak i przetrząśnięcie jego mieszkania spaliły na panewce. Jeżeli Norski w ogóle miał jakieś intymne tajemnice, okazały się być dobrze ukryte.

Zdegustowanie kapitana Zaliwskiego sprawą Norskiego osiągnęło swoje apogeum. Choć nadal starał się uczciwie prowadzić śledztwo,

w głębi duszy nie bardzo już wierzył w jego pomyślne zakończenie.

W takim nastroju któregoś dnia – miało się już pod wieczór – wyszedł rozprostować nogi i nie wiedzieć czemu owe nogi zaniósł go wprost do willowej dzielnicy miasta. Ocknął się z zamyślenia, skręcając w ulicę, przy której mieszkał profesor. Wstąpię do staruszka na chwilę – pomyślał, tym „staruszkim” maskując nie licujące ze stanowiskiem oficera śledczego pragnienie wypowiedzenia się z nurtujących go wątpliwości i kłopotów.

Profesor był w domu. Przywitał go serdecznie, mimo że – jak wynikało z porozkładanych na biurku papierów i książek – kapitan oderwał go od pracy.

– Siadaj, chłopcze, zaraz popatrzę, czy coś tam jeszcze ocalało w moim barku.

– Przerwałem panu pracę, może wpadnę kiedy indziej – certował się kapitan, nagle pełen wyrzutów sumienia, że tego zapracowanego człowieka chce obarczać dodatkowo swoimi kłopotami.

– Nic nie szkodzi, profesor na emeryturze ma sporo czasu, nawet niekiedy, jak na mój gust, aż zbyt wiele czasu – i profesor zakrzętnął się, ustawiając na stoliczku brzuchate kieliszki i lejąc w nie złotobrunatny koniak. – Dobrze mi zrobi oderwanie się od moich szpargałów i wypicie kieliszeczka. A chyba i tobie przyda się lampka dobrego koniaku – dodał spoglądając bystro na kapitana przez swoje okulary – coś nietęgą masz dzisiaj minę. Kłopoty ze śledztwem w sprawie Norskiego?

– Tak – twarz kapitana wyrażała stan uczuć charakterystyczny dla cierpiących na uporczywy ból zębów.

– Hm, widzę, że naprawdę niedobrze się dzieje i ze śledztwem, i z tobą – zatroszczył się serdecznie profesor. – Co, w dalszym ciągu brak motywu?

– Brak motywu, brak poszlak, brak wszystkiego, a najbardziej mordery! – wybuchnął kapitan. I zrelacjonował profesorowi w skrócie swoje ostatnie niepowodzenia w prowadzonym śledztwie. Profesor słuchał

uważnie. Nie zdawał się być zaskoczony. Wręcz przeciwnie... Kapitan zauważył z nie lada zdumieniem, że w miarę opowiadania profesor coraz częściej potakuje jego wywodom z wyrazem jakby zadowolenia? satysfakcji? Pod wrażeniem tej obserwacji kapitanowi zaczął się plątać język, w końcu skonfundowany umilkł na dobre.

Profesor, jakby nie zauważając dziwnej reakcji swojego byłego ucznia, jeszcze raz pokiwał głową i zamruczał:

– Tak, tak, wszystko się zgadza. To było do przewidzenia.

Kapitan zeszczywniał.

– Co się zgadza, panie profesorze? – zapytał chłodno.

Dopiero ton jego głosu jakby sprowadził profesora na ziemię. Dostrzegając w końcu urażoną minę kapitana, roześmiał się.

– Nic, nic, mój chłopcze. Taka prywatna teoryjka... Właśnie sobie myślałem, że wbrew twoim obiekcjom śledztwo postępuje prawidłowo.

– Prawidłowo? Pan profesor daruje – kapitan aż się zachnął. Po tym co zrelacjonował podobne stwierdzenie brzmiało jak drwina,

– Zaraz, zaraz, chłopcze, nie ma się co obrażać. Mówię całkiem serio. Wykluczyłeś motyw szpiegostwa? Wykluczyłeś. No i słusznie, bo to by cię zaprowadziło na manowce. Przejrzenie prywatnej korespondencji Norckiego, papierków, które po nim zostały, pozwoliło ci również wyeliminować kierunek śledztwa zorientowany według starej maksymy: „cherchez la femme”. Prawda?

– Tak.

– No widzisz.

– Widzę, że są to same negatywy. Nic pozytywnego!

– Chwileczkę. Pozytywne jest to, że nie dałeś się zwariować nieistotnymi hipotezami, które odciągnęłyby cię od właściwego kierunku śledztwa.

– Właściwego! A jaki jest ten „właściwy”? – z gorzkim sarkazmem powiedział kapitan.

– Przecież już wybrałeś, no, pomijając małe odchylenia, trzymasz się go, można powiedzieć, dosyć konsekwentnie – pogodnie powiedział profesor.

– ?

– Ano tak, mój chłopcze, nie rób takiej zdziwionej miny. Przecież już w tej chwili jesteś zupełnie pewien, że szkoda czasu szukać wiatru w polu, to znaczy upierać się przy jakiejś interwencji z zewnątrz. Morderca jest wśród tej szóstki znad jeziora.

– Ba! Tak. Oczywiście wiem, że to ktoś z tej dobranej paczki. To nie ulega dla mnie wątpliwości. Ale co mi z tego, że wiem?

– Dużo. Bo nie będziesz się rozpraszał i zarzucał sieci w niewłaściwym miejscu.

– Zarzucam i zarzucam w tym właściwym, a rezultat? Nawet płotki nie złowiłem, nie mówiąc już o tej jednej grubej rybie. Wszyscy są jak śliskie węgorze. Myk! i nie ma.

– Jako doświadczony rybak powinieneś mieć więcej cierpliwości. Tylko spokojnie. Za którymś razem musi ci się udać.

– Tak, a tymczasem szef mnie ciśnie, Jacek Chomiński grozi wysokimi interwencjami w sprawie terminu swojego wyjazdu do Kanady, koledzy zaczynają się podśmiewać za moimi plecami... E, szkoda gadać. A tu człowiek musi jeszcze zakładać trzy pary białych rękawiczek przed każdym spotkaniem z kimś z tej miłej szóstki. Żeby pan profesor wiedział, jaką mam czasem chęć zapudlić ich wszystkich i pogadać w zupełnie innej tonacji!

– Wierzę. Ale nic by ci to, chłopcze, nie dało. Nie tędy do nich droga.

– Ano, nie tędy – z ciężkim westchnieniem potwierdził kapitan. – Ale tym salonowym sposobem bycia, który mi zalecił szef, też daleko nie

zajdę. Ich dżentelmeństwo nie jest tak wielkie, żeby któryś zechciał mi się uprzejmie zwierzyć, dlaczego bez skrupułów wyprawił przyjaciela na tamten świat...

– Ba, ale masz wymagania! – roześmiał się profesor. – A w ogóle co teraz słychać u twoich znajomych znad jeziora?

– Spokój, cisza, wszyscy pracują, nawet ponoć piękna Zula wzięła się na serio do malowania. Istne baranki.

– Spotykają się?

– Od czasu do czasu. Nie za często. Coś mi się zdaje, że choć farby zazwyczaj nie zwykli puszczać, zwłaszcza w obecności oficera MO, ta ich wieloletnia, wypróbowana przyjaźń zaczyna się bodaj z lekka psuć.

– Zapewne jeden drugiego podejrzewa.

– Powinien. Ale, jak panu profesorowi powiedziałem, mnie o swoich podejrzeniach nie informują. Czasem coś któryś przez przypadek bąknie, ale jak o to zahaczyć, zaraz wycofuje się rakiem.

– Nie powiem, żeby ich za to potępiał.

– Wie pan, że i ja nie! – roześmiał się kapitan. – Chociaż śledztwa to mi nie ułatwia.

– Opowiadałeś mi dość obszernie o tym, czego się dowiedziałeś o życiu Norskiego. Powiedz mi, chłopcze, co w świetle tych faktów tak naprawdę o nim sądzisz?

– Ciekawy człowiek. To nie ulega wątpliwości. Dziwak. Czasem odnoszę wrażenie, że jego liczne zainteresowania miały za zadanie zagłuszyć poczucie jakiejś życiowej klęski czy pustki... Czy ja wiem? Ludzie różnie go osądzają, trzeba przyznać, że na ogół dobrze. Szkoda chłopaka... Swoją drogą charakterek to on miał! Świadczy o tym ta afera z dyrektorem albo awanturki, jakie z reguły urządzał w warsztacie naprawczym, ilekroć spóźniano się z reperacją jego samochodu. Zdaje się, że wszyscy posiadacze samochodów z tego grona są klientami tego warsztatu, bo gdy tam byłem, akurat stał na kanale wóz Bugajewicza.

– Bugajewicza? Nie wiesz, kiedy oddał go do reperacji i co mu się popsuło?

– Obluzowanie kierownicy i coś z hamulcami, jeśli się nie mylę. Oddał samochód do warsztatu chyba już po powrocie znad jeziora.

– Ciekawe – mruknął profesor. – A Jacek Chomiński też tam reperował swoje volvo?

– Jacek? – zdziwił się kapitan. – Nic mi o tym nie wiadomo. Owszem, poprzedni wóz, mercedesa, nieraz mu reperowali, bo dość często go haratał. Ale volvo? Przecież niedawno sobie kupił...

– Zaraz, zaraz, a czy nie wspominałeś mi kiedyś, że volvo też już miało wymieniany reflektor?

– Prawda! Tak. Zgadza się. Zauważyłem to, oglądając wóz w leśniczówce. Głowy bym nie dał, ale chyba ten reflektor był nieco inny od drugiego. A i błotnik wyglądał tak, jakby go pociągnięto świeżą warstwą lakieru. Nie sprawdzałem dokładnie. Ale w tym warsztacie volvo na pewno nie było reperowane. Przypadkowo zgadało się z majstrem. Bardzo rozmowny majster...

– Ciekawe – zamruczał znowu profesor pod nosem.

– Odkąd to pan profesor tak interesuje się samochodami? – spytał nieco podejrzliwie kapitan.

– Odkąd? A od niedawna, od niedawna... – z roztargnieniem odparł profesor.

– Ma pan może zamiar sprawić sobie wóz?

– Ja? Co też ty, chłopcze! Moje miejsce za biurkiem, nie za kierownicą. Zresztą wyznam ci, ja jestem człowiek starej daty. Nigdy nie miałem zbyt dużego zaufania do tych pyrkoczących pudełek.

– Skąd zatem teraz?...

– A, o to ci chodzi? No cóż, właśnie mi przyszła do głowy taka mała teoryjka. Ale chyba za wcześnie o tym mówić. I może nie warto.

– Dlaczego?

– Ot, po co mieszać, co i tak już pobełtane... Ale powiedz mi,

chłopcze, zarówno Jacek, jak i Bugajewiczowie przyjechali nad jezioro siódmego, prawda?

- Tak, siódmego.
- A szóstego... szóstego gdzie byli?
- Jacek czy Bugajewiczowie?
- Wszyscy.

Kapitan był nieco zaskoczony. Chociaż nie bardzo był dla niego jasny cel tych indagacji, a ton profesora przypominał do złudzenia ten, jaki znał z egzaminów, niemal automatycznie odpowiedział:

- Podraza, Dziekoń i Norski byli wtedy nad jeziorem. A i Budny.
- Czy żaden z nich nie brał tego dnia samochodu?
- Zaraz. Szóstego? Chyba Norski. Tak. Tamci trzej wyłynęli na ryby, a on pojechał do miasteczka. Kiedy wrócili, rozwiązywał krzyżówki, bo pewnie przywiózł sobie nowy zapas czasopism.

– A więc Norski – profesor zdawał się być lekko zawiedziony. – Co z innymi?

– Jacek szóstego miał prelekcję w Olsztynie. Stamtąd miał przyjechać bezpośrednio nad jezioro, ale – jak mi powiedział – musiał coś załatwić w Warszawie. Dołączył do przyjaciół siódmego, zaraz po przyjeździe Bugajewiczów.

- A oni co robili szóstego?
- Prawdopodobnie byli tutaj. Nad jezioro przyjechali przecież dopiero siódmego.
- Wiesz na pewno, że szóstego byli tutaj, w mieście?
- Nie – kapitan był coraz bardziej zdumiony. – Nie pytałem ich o to. Przypuszczam tylko...
- Przypuszczasz! Bądź tak dobry i sprawdź to, zgoda?
- Ale po co, panie profesorze? W jakim celu?
- Ot, potraktuj to jako fantazję starszego pana. Zresztą na razie to rzeczywiście tylko fantazja. Dlatego nie gniewaj się, że nie będę o tym więcej mówił.

I choć kapitan starał się za pomocą różnych „podchwytliwych” pytań naprowadzić rozmowę na interesujący go temat, profesor nie dał się sprowokować. Dolewał koniaku, opowiadał o swoich wrażeniach z ostatniej podróży do Francji, był uprzejmym, czarującym gospodarzem, ale o sprawach związanych z morderstwem nad jeziorem nie powiedział więcej ani słowa.

W końcu kapitan skapitulował i pożegnał się. Idąc spacerkiem do własnego domu, na drugi koniec miasta, rozmyślał intensywnie o tym, co też mogło się kryć za pytaniami starego profesora? Bo że się kryło, nie miał wątpliwości. Sęk w tym – co?

Rozdział XV

Dzień był tak piękny, jak potrafią być tylko dni wczesnej jesieni. Słońce świeciło na nie skalanym ani jedną chmurą błękitnym niebie, ale w powietrzu wisiała lekka, ledwie dostrzegalna mgiełka, łagodząc słoneczny blask i przydając nieco smętnego uroku perspektywie ocienionej starymi drzewami ulicy.

Porucznik Zawada szparkim krokiem zmierzał na przystanek tramwajowy. Pogoda kusiła, aby iść piechotą, ale późno się dziś wygrzebał z domowych pieleszy, a do komendy było dość daleko. Na przystanku kłębił się niezły tłumek, z czego porucznik wydedukował, że warto czekać. Tramwaje w tym mieście, odkąd sięgnął pamięcią, lubiły chodzić stadami. Sądząc ze zgromadzenia, dawno żaden nie jechał, z czego wniosek, że lada moment któryś ukaże się na horyzoncie, a za nim rządkiem następne.

Z zawodowego nawyku obrzucił uważnym spojrzeniem ewentualnych współpasażerów i – tak, nie mylił się. Niedaleko niego, w brązowych, bardzo przylegających do zgrabnych bioder, a ku dołowi nieco przesadnie rozkloszowanych w modny dzwon spodniach i kolorowej, fantazyjnej bluzeczce stała Zula, primo voto Norska, secundo voto Bugajewicz. Płowe włosy jaśniały w słońcu spływając na ramiona. Rozglądała się niespokojnie wokoło. Porucznik ukrył błysk zainteresowania za na pół przymkniętymi powiekami. Ot, co za spotkanie. Nie da się ukryć, atrakcyjna babka, ale czego właściwie, a raczej kogo, tak wypatruje?

W tej chwili nadjechała czternastka i tłum rzucił się ku rozwartym

drzwiom. Zulka posunęła się także w tę stronę, ale nie śpieszyła się z wsiadaniem. Porucznik Zawada zapomniał jakby o koniecznym pośpiechu, leniwie obserwował kłębiących się u stopni tramwaju współobywatele. Nagle Zula uniosła w górę rękę, pomachała i energicznie ruszyła do przodu. Kątem oka porucznik dostrzegł biegnącego „pięknego Bola”. Rzucił się też w stronę ruszającego już tramwaju i ledwie zdążył wskoczyć na stopień tuż za Zulą, prawie równocześnie z Bolem, który uwiesił się poręczy drugiego wozu.

A więc umówione spotkanie. Ba, czemu by nie? Widać romansik zaczęty nad jeziorem ma swój dalszy ciąg. Tragedia, tragedią, śmierć, śmiercią, a oni...

Tramwaj podzwaniał, stawał na kolejnych przystankach, ludzi powoli ubywało. Przystanek, na którym porucznik miał wysiąść, dawno już minął. Dlaczego nie wysiadł? Nie bardzo sam zdawał sobie z tego sprawę.

Bolo nie przesiadł się do pierwszego wozu, którym jechała Zula i porucznik. Nie było go także wśród wysiadających. Ciekawa sytuacja! Dokąd właściwie tak konspiracyjnie zmierzają? W wozie pozostało już niewiele osób. Porucznik rozsiadł się na ławce i obojętnie obserwował przesuwały się za oknami pejzaż. Jeszcze chwila – i tramwaj zatrzymał się na ostatnim przystanku. Stąd już wracał z powrotem ku miastu. Porucznik, marudząc trochę, wysiadł wreszcie i zobaczył tamtych dwoje, już razem. Szli ścieżką zmierzającą ku rozległej kępie drzew ocieniających w tym miejscu brzeg rzeki.

A więc wycieczka w plener dwojga nielegalnie zakochanych. Tylko co ja tu robię? – wściekał się w duchu porucznik. – W sam raz rola dla zazdrosnego męża, a nie dla oficera milicji. Usłyszę ja coś od Bronka na temat dzisiejszego spóźnienia!

Ale monologując tak i kpiąc z siebie w duchu, jednocześnie nie spuszczał z oczu dążącej przodem pary. A oni szli koło siebie jak dwoje

przypadkowo w jedną stronę idących znajomych. Wcale nie sprawiali wrażenia ukradkowo spotykającej się pary zakochanych. Maskują się? Tutaj? Dziwne.

Zwiększył odległość, nie mógł im przecież następować na pięty. Dopiero kiedy ścieżka zagłębiła się w las, przyspieszył kroku. W pewnym momencie myślał, że jednak mu umknęli, ale nie. Siedzieli na zwałonym pniu nad brzegiem rzeki. Cholera, w podchody mam się bawić? – kłął porucznik pod nosem, bo las się urywał, nie było sposobu podejść bliżej do siedzącej pary bez zwracania na siebie uwagi. Przysiadł więc na pieńku, zapalił papierosa i myślał, co robić dalej. Może najlepiej wracać, i to szybko? Ale coś go trzymało na miejscu. Obserwował. Widział, jak Bolo coś tłumaczy Zuli, ona zaś gwałtownie przeczy, przerywa mu. Coraz mniej wyglądało to na spotkanie stęsknionych kochanków, a coraz bardziej na regularną kłótnię. Porucznika Zawadę coraz gwałtowniej nurtowała ciekawość, o czym ci dwoje rozprawiają, o co się tak kłóć. Szukając możliwości zajęcia strategicznie lepszej pozycji, zauważył, że gdyby przesunął się na lewo... Tak, to jest myśl. Krzaki w tym miejscu gęsto porastają brzeg, pod ich osłoną przemknie się bliżej siedzących. Jeszcze się wahał, czy zabawa w harcerzyka na podchodach przystoi jego latom i godności, gdy doleciał do niego głos nie na żarty już widać rozżłoszczonej Zuli: – Nie posądzałam... z premedytacją... nie będę milczeć...

Ale zamilkła, a przynajmniej przestała krzyczeć w wyniku gwałtownej interwencji Bola, chociaż porucznik wytężał uszy, żeby coś więcej usłyszeć. Jednak te znaczące słowa (znaczące, ale co?), które usłyszał, wystarczająco go zbulwersowały. Podniósł się i leniwie, jak bez troski spacerowicz na wczasach, powędrował brzegiem lasu w lewo. Znalazszy się pod osłoną krzaków, bezszelestnie zawrócił w stronę siedzących. Już zbliżał się do upatrzonego z góry stanowiska, gdy nagle... Nie, do wiary! Upatrzone miejsce było już zajęte przez kogoś, kto zajmował się

właśnie tym, czym porucznik przed chwilą się zajmował i co zamierzał kontynuować, czyli podpatrywaniem i podsłuchiowaniem. Zamarł z nogą wysuniętą ku przodowi, zawieszoną nad ziemią, jak wystawiający kuropatwę wyżeł. Tamten jeszcze go nie dostrzegł. Przez szparę w rozchylnych gałęziach najwyraźniej w świetle obserwował siedzącą na pniu parę, porucznikowi ukazując dość zażywną w opiętych dżinsach drugą stronę swojej osoby. Klnąc w duchu, porucznik wycofał się bezszmerowo, aby po chwili, ostentacyjnie hałasując, podążyć tą samą drogą. Chciał sobie obejrzeć owego podglądacza, skoro sam, z uwagi na nie sprzyjające okoliczności, nie mógł nim zostać...

Pod krzakiem, zaabsorbowany wysypywaniem piasku z buta, siedział... doktor Edward Dziekoń. Porucznik poznał go natychmiast i natychmiast podziękował w duchu Boży, że pod krzakiem nie siedzi na przykład docent Budny, który miał okazję go poznać na terenie komendy. Dopiero by była głupia sytuacja! Wściekły jak wszyscy diabli zszedł nad samą wodę i zajął się podziwianiem krajobrazu. Niedaleko zauważył złożone na piasku utensylia rybackie. Więc to czysty przypadek! Eda wybrał się po prostu na ryby. Ale dlaczego podpatrywał tamtych? Cholernie przyjacielskie zachowanie, ani słowa!

Ponieważ jednak dalsza kontemplacja przyrody nie miała sensu, a obserwacja interesującej pary w tych warunkach nie była możliwa – zawrócił na pięcie i dalej udając beztroskiego spacerowicza, udał się jak niepyszny na tramwajowy przystanek.

Kiedy mocno spóźniony wkroczył do komendy, od razu został ostrzeżony, że jego bezpośredni szef, kapitan Zaliwski, wstał widać tego dnia z łóżka lewą nogą, bo jest w fatalnym wprost humorze.

Istotnie, kapitan Zaliwski był w okropnym humorze. Wczorajsza rozmowa z profesorem wywołała taki zamęt w jego głowie, że chociaż

na ogół zwykł zasypiać jak suseł, ledwie głowę przyłożył do poduszki, tej nocy długo przewracał się na swoim tapczanie. A kiedy w końcu zasnął, przyśnił mu się jakiś samochód-potwór, jakby żywcem wyjęty z kart młodzieżowych powieści Nienackiego z serii książek o panu Samochodziku. Tylko że ten samochód ze snu kapitana nie pływał, a latał, wachlując błotnikami. Kapitan utrudził się nieludzko, a nadaremnie, próbując ścigać to monstrum, a gdy już je doganiał, błysnęło nagle okularami profesora i znikło. Kapitan zbudził się zlany potem.

Cóż dziwnego, że rano humor mu nie dopisywał?

Ledwie przestąpił próg swojego służbowego pokoju, wezwał jednego z podwładnych i polecił mu sprawdzić wszystkie warsztaty samochodowe w mieście, czy który z nich nie reperował przypadkiem kremowego volvo. Uznał bowiem, że nie od rzeczy będzie sprawdzić i ten ślad, jaki sugerowały pytania profesora. Nie wiązał z tym wielkich nadziei przede wszystkim dlatego, że doprawdy nie mógł się dopatrzeć związku między uszkodzeniem jakiegoś samochodu a morderstwem dokonany na Nor-skim. Gdzie Rzym, a gdzie Krym! Ale z drugiej strony profesor nie zwykł stawiać takich pytań bez powodu. Może istnieje jakieś ogniwo pośrednie? Tylko jakim cudem mógł je dostrzec profesor, a nie może dostrzec on, doświadczony oficer śledczy, posiadający wszelkie materiały w swoim ręku? Nonsens. Chociaż jeżeli – zastanowił się, wznosząc się na szczyty obiektywizmu – jeżeli, to klucz tkwi w znajomości psychiki ludzi z tego środowiska. Profesor ma nade mną zdecydowaną przewagę, to się nie da ukryć, tkwiąc wśród tych ludzi od lat, na co dzień. Lecz skoro on potrafił na coś wpaść (a kapitan podejrzewał, że tak właśnie jest), pokażę mu, że i ja potrafię – pomyślał z zaciętością i ambicją wezbrała w jego sercu, przemieniając go w mały wulkan energii.

Pierwszą ofiarą bojowego nastroju kapitana stał się jeden z jego

podwładnych, sierżant prowadzący dochodzenie w sprawie chuligańskich wybryków grupki „urodzonych w niedzielę”. Miał kłopoty, ponieważ wskutek rozbieżności kłamliwych ponad wszelką wątpliwość zeznań oskarżonych oraz tchórzliwości świadków trudno było ustalić faktyczny przebieg zajścia.

– Czym mi tu zawracacie głowę? – grzmiał rozsierzdony kapitan. – Do przedszkola się nadajecie, nie do pracy w milicji!

Sierżant jak zmyty wycofał się tyłem i nie omieszkał naturalnie systemem „podaj dalej” wyładować złości na swoim podwładnym. Atmosfera w tej części gmachu stała się nieco nerwowa.

W takim właśnie momencie wrócił ze swojej wycieczki w plener porucznik Zawada. Toteż ostrożnie uchylił drzwi do pokoju przyjaciela. Kapitan akurat rozmawiał przez telefon.

- Dlaczego pan mi o tym nie powiedział? – krzyczał w słuchawkę. Odpowiedź doleciała uszu Zawady zupełnie wyraźnie.
- Ponieważ pan po prostu mnie o to nie pytał.
- A więc wyjechali państwo z miasta szóstego, a nie siódmego?
- Tak. Zula chciała odwiedzić swoją przyjaciółkę w Olsztynie.
- Proszę podać nazwisko i adres tej przyjaciółki.
- Ależ...
- Notuję, proszę dyktować.
- Proszę bardzo, skoro pan sobie życzy. Ale nie rozumiem...
- Nie musi pan rozumieć. Wystarczy, że ja rozumiem.
- Doprawdy, panie kapitanie, dziwi mnie bardzo ton tej rozmowy.
- Proszę adres, słucham.

Kapitan zanotował, powiedział sucho dziękuję i odłożył słuchawkę. Spojrzał spod oka na porucznika i mruknął:

– Nareszcie pan porucznik raczył się zjawić, proszę! Może byś chociaż... – usprawiedliwił się – wpadł mu w słowa porucznik.

– Chętnie, jak dopuścisz mnie do głosu. – A ponieważ kapitan milczał, świdrując go złymi oczami, zaczął swoją opowieść. – Co do Edy – zakończył – to kierowała nim zapewne zwykła „przyjacielska” ciekawość. Ale te słowa Zuli, które do mnie doleciały, są dosyć zastanawiające.

– Ciekawe – mruknął tylko kapitan. Nie zdawał się być zachwycony.

Więc porucznik zaczął z innej beczki:

– A ty, zdaje się, zdejmujesz białe rękawiczki. Co będzie, jak szef się o tym dowie?

– Mam to w nosie! Po uszy już mam tego wersalu. W końcu moim obowiązkiem jest przyskrzynieć tego spryciarza.

– Widzę, że opanował cię chwalebny zapach...

– Chyba najwyższy czas ruszyć to śledztwo z martwego punktu. – Kapitan wstał i zaczął biegać trzy kroki w tę i z powrotem, ponieważ według założeń współczesnej architektury jego pokój bardziej przypominał klatkę dla drobiu niż gabinet pracy oficera śledczego. Zawada, znając dobrze przyjaciela, siedział spokojnie w fotelu i czekał, aż wyładuje w tym bieganiu nadmiar energii. W końcu kapitan zmęczył się, usiadł za biurkiem i już spokojnie powiedział:

– No dobrze. Szukałem cię, bo musimy porozmawiać nieco obszerniej na temat naszych przyjaciół znad jeziora. Widzisz, doszedłem do wniosku, że klucz do tej sprawy tkwi w ich wzajemnych stosunkach.

– Ba, przecież żeśmy przewietrzyli te przyjacielskie stosunki na przestrzeni dobrych kilku lat i co z tego?

– Na razie nic – przyznał kapitan. – Ale widzisz, coś się musiało między Norskim a którymś z nich wydarzyć w ostatnim czasie. Właśnie to „coś” mogło się stać bezpośrednią przyczyną morderstwa.

– Logiczne – zaopiniował porucznik. – Ale gdzie to „coś”? Zakamuflowane tak głęboko, że nie możemy na to trafić? A może niczego w tym rodzaju nie ma? Piękne hipotezy możemy sobie snuć, ale gdzie pokrycie w faktach?

– O, widzisz. Właśnie. Skoro nie możemy ugryźć sprawy od tej strony, trzeba pójść inną drogą. Trochę od tyłu, ale kto wie, może nas doprowadzić w końcu, gdzie trzeba.

– Domyślam się – pokiwał głową Zawada – psychologiczne prawdopodobieństwo popełnienia morderstwa przez którąś z tych osób itp. Z góry ci mówię, że podobna metoda nadaje się do wykorzystania raczej w literaturze niż w uczciwej pracy śledczej.

– Możliwe – kapitan obrzucił go mało przyjaznym spojrzeniem. – Niemniej skoro metoda harcerek podchodów nie przyniosła widomych rezultatów, może warto spróbować innej?

– Ha, zatem próbujemy – z rezygnacją powiedział porucznik, nie usiłując nawet odgryźć się kapitanowi. – Tylko jak to chcesz robić?

– Po prostu. Mamy sześć osób podejrzanych. Wiemy, że jedna z nich jest tą właściwą. Musimy im się przyjrzeć pod kątem charakteru, usposobienia, predyspozycji, stosunku do Norskiego...

– Bagatela! Krótko mówiąc, cholernie by nam się przydał sztab psychologów, socjologów, lekarzy...

– Przeżarty do cna cywilizacją...

– Co?

– Mówię, że jesteś klasycznym produktem cywilizacji dwudziestego wieku. Zamiast wiary w siły nadprzyrodzone, wiara w speców, fachowców itp. A od czego własny rozum, co? Już się nie potrafisz ruszyć bez pomocy laboratorium i całego sztabu specjalistów?

– Świetnie! Wracajmy zatem do metod Sherlocka Holmes! –

powiedział zgryźliwie Zawada. – Na przykład: jaki wniosek wyciągasz z tego, że Budny pali extramacne, Bolo sporty, a Bugajewicz wcale nie pali?

– Idiota! – skwitował krótko kapitan. – Czy doprawdy, Januszk, poznawszy bądź co bądź tych ludzi, nie premiujesz żadnego z nich specjalnie jako kandydata na mordercę?

– Może i premiuję – przyznał porucznik niechętnie. – Ale co z tego?

– No dobrze. Przyznaj się, kto jest twoim kandydatem?

– Jeśli koniecznie już chcesz wiedzieć, to pan docent Budny.

– A dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego! No, facet mi się nie podoba. Zarozumiały bufon, uważający się za pępek świata, traktujący innych jak kukielki, którymi można dowolnie poruszać, pociągając za odpowiedni sznurek. Dwulicowiec, jak tego dowodzi jego życie prywatne. Skryty i wyliczony typ mózgowca, jednak nie bez ukrytych namiętności. Jeżeli takiemu wleźć w paradę, potrafi się odegrać metodą bezszmerową.

– Tak, masz rację. I u mnie ma poważne szanse. Jest jednak jedno „ale”: to legalista z urodzenia. Może omijać pewne prawa i nakazy, ale uznaje ich słuszność. Będzie się raczej wił jak piskorz, niż atakował wprost. Dlatego chyba lubi uprawiać strusią politykę, woli czekać, aż coś się samo załatwi, niż samemu załatwić to po męsku. Exemplum panna Alicja. A w przypadku Norskiego mamy do czynienia z uderzeniem nagłym i zdecydowanym, chyba także szybkim, bo przecież inaczej byśmy się dogrzebali jakiegoś konfliktu.

– Bene. Kto następny na gałąź?

– Co sądzisz o Edwardzie?

– Ten jest u ciebie następny na liście?

– Chyba tak.

– To mnie trochę dziwi. No, niewątpliwie ciekawski. To podglądanie... Ale w sumie sympatyczny chłopak. Chyba najżywiej z nich

wszystkich reagował na śmierć Norskiego. O tym nie trzeba zapominać.

– Właśnie. Nasz Eda to klasyczny typ impetyka. Lubi emocje, chyba często działa pod ich wpływem. Z tych co to prędzej działają, niż myślą. Zauważyłeś jego konfliktowe stosunki z Budnym?

– To może wynikać z odmienności charakterów.

– Może. Ale może też być tak, że coś o sobie wzajemnie wiedzą. Oczywiście zachowują to dla siebie. Ujawnia się jednak to i wybucha przy lada okazji! Właśnie dlatego myślę, że jeżeli wyeliminujemy Budnego, następny będzie Dziekoń.

– Nie bardzo przemawia do mnie ta twoja argumentacja. Norski został zamordowany z premedytacją.

– Ba, a może tylko ktoś pod wpływem impulsu, skorzystał z nagle nadarzającej się okazji?

– Nie wydaje mi się. To musiało być dobrze obmyślane i skalkulowane. Ale jeżeli twoja teoria impulsu jest słuszna, to oczywiście Eda by tu pasował.

– Widzisz!

– Widzę, że mamy już dwóch prawdopodobnych kandydatów. Kto następny?

– Docent Jacek Chomiński.

– Dobra. Ceniony naukowiec, piękna kariera przy stosunkowo młodym wieku. Czołowy intelektualista grup3r. W związku z tym ma niewątpliwie szanse przy założeniach morderstwa z premedytacją. Cholernie pewny siebie i zarozumiały.

– To jest obosieczne. Bo pomyśl, jakim by musiał być kpm, gdyby narażał swoją piękną karierę.

– Może jest jakiś wystarczająco ważny powód, którego my nie znamy?

– Może. Tylko trudno mi sobie nawet wyobrazić, jaki powód mógłby... No tak. Swoją drogą i Jacka z czystym sumieniem nie możemy wykluczyć.

- To już trzech. Bawmy się zatem dalej. Co z pięknym Bolem?
- Przeciw temu nie mam nic specjalnego.
- Doprawdy? Popatrz, a ja właśnie mam.
- To, co podsłuchałeś z dzisiejszej rozmowy z Zulą?
- I to, i nie tylko to.
- Nie przywiązywałbym zbytnej wagi do tej sprzeczki. Ot, kłótnia zakochanych, w dodatku w takiej sytuacji...
- Nie wyglądali mi oni na zakochanych. Mówiłem ci już. Ale poza tym...
- No właśnie, co poza tym. To mnie interesuje.
- Moim zdaniem, podejrzana jest coś nadto demonstracyjna, jak na mój gust, pasja Bola do wykrycia prawdy. To może być znakomity kamuflaż.
- Robi wrażenie szczerego.
- Mało znałeś takich, co robili wrażenie szczerych? A mieli w tym dobrze uzasadniony, choć dość głęboko ukryty, własny interes...
- Bolo nie rzucał wyraźnych oskarżeń.
- Na to jest za inteligentny. Ale zauważyłeś, że był w tym, no, powiedzmy, mniej ostrożny od innych? W końcu to zgrana, solidarna paczka. Jeden Bolo chwilami robił wrażenie, że staje po naszej stronie barykady...
- W tym chyba masz rację. Ha, więc czwarty kandydat!
- Pozostali nam jeszcze tylko Bugajewiczowie.
- Chyba Zulę możemy z czystym sumieniem wyeliminować z tego pelotonu. To nie kobieca zbrodnia.
- Rycerski jesteś, ani słowa. Trochę tylko nieostrożny. W końcu to ona była najbliższej związana z Norskim.
- Nie neguję. Z tego związku wynika jednak jasno, że to raczej Norski mógł mieć uzasadnione pretensje do niej, a nie vice versa.
- Ba, a może groził ujawnieniem czegoś, co by zagroziło jej, z

niejakim przecież trudem, ustabilizowanemu życiu?

– Zula jest zbyt atrakcyjna, żeby miała kłopot ze znalezieniem następnego partnera.

– Partnera tak, tylko czy do małżeństwa?

– Nie wydaje się być kobietą tego typu, by małżeństwo było jej jedynym życiowym celem. Stratą Karola też by się chyba zbytnio nie przejęła...

– Bene. Bronisz dzielnie, jak na rycerza przystało. Pamiętaj jednak, że jest jeszcze ta rozmowa, czy raczej kłótnia, z Norskim tuż przed „bumsem”. O jej przedmiocie i przebiegu mamy tylko jednostronne informacje, bo od samej Zuli. Norski potwierdzić jej wersji nie może.

– Naprawdę sądzisz, że Zula byłaby zdolna?...

– Nie! – roześmiał się Zawada – tak naprawdę to nie sądzę. W ostateczności mogę ci ją darować.

– Jeżeli sądzisz, że mi na niej zależy – kapitan poczerwieniał z oburzenia.

– Nie sądzę. Coś źle z twoim poczuciem humoru, szefie – mrugnął nieco szelmowsko Zawada. – No, kończmy. Został nam jeszcze tylko jeden.

– Na szczęście – mruknął naburmuszony kapitan.

– A więc Karol Bugajewicz – ciągnął Zawada. – Cichy, spokojny, nie wadzi nikomu, z usposobienia flegmatyk, mąż Wesołej Zuli. Jego usposobienie z pewnością w poważny sposób powinno mu ułatwić zniesienie emocji, jakie wtargnęły wraz z Zulą w jego życie.

– Wiesz co, o Karolu chyba najmniej wiemy...

– Właśnie. Według reguł stosowanych przez autorów powieści kryminalnych ten właśnie ścichapek Karol powinien się okazać mordercą.

– Nie kpij. Przyznaj, że trudno nam przytoczyć coś, co by w tej sprawie świadczyło zarówno za nim, jak i przeciw niemu.

– To prawda. Wniosek zatem: mamy piątego kandydata. Uff, szczęście,

że ich wtedy nad jeziorem nie było na przykład dziesięciu. Mielibyśmy, stosując twoją psychologiczną metodę, jak obszył dziesięciu kandydatów.

– Do diabła z tym wszystkim!

– Mówiłem, że to guzik da. Uparłeś się. No i masz. Jesteśmy akurat tacy mądrzy, jak byliśmy na początku. Żadnego przedstawiciela męskiego rodu z naszej paczki wykluczyć nie można. Każdy z nich może być mordercą i może nim nie być. Innymi słowy: tkwimy dokładnusięńko w punkcie wyjścia.

Kapitan zrezygnowany pokiwał głową, akceptując niejako zdanie porucznika. Po chwili jednak jakiś błysk rozjaśnił mu oczy.

– Czyżbyś znowu wymyślił coś genialnego? – nieufnie spytał Zawada.

– Genialnego, nie genialnego. Przyszło mi właśnie do głowy, że może w tej sprawie kryje się jakieś piekielne nieporozumienie. Że może właśnie dlatego kręcimy się jak pies za własnym ogonem?

– Jakie znowu nieporozumienie?

– Czy nie przyszło ci do głowy, że być może wcale nie Norski miał się stać ofiarą?

– Nie Norski? Fantazję to ty masz bujną, ani słowa!

– Pomyśl, była noc, ciemno, wszyscy pijani... czy tak trudno było się pomylić?

– O moja biedna głowa! Nowy pokaz psychologii stosowanej! No, gadaj już, przecież widzę, że musisz się wygadać.

– Ano muszę. Widzisz, ten Karol... Ten Karol mnie niepokoi. Taki spokojny, taki stale na marginesie.

– A więc jednak genialne metody autorów kryminalnych powieści! – jęknął Zawada.

– Daruj sobie te kpiny. Pomyśl, zbadaliśmy dość dobrze układ wzajemnych stosunków panujący w tej grupie. Czy natrafiliśmy na jakiś istotny konflikt, na coś, co by się mogło stać pośrednim powodem zbrodni?

- Nie.
- A czy zaistniał jakiś nowy konflikt w czasie trwania obozu?
- Nie.
- A właśnie że tak! Pamiętaj o sprawie Zuli i Bola!
- Dobrze, dobrze, ale co to ma wspólnego z Norskim?
- Z Norskim – nic! I w tym cała rzecz.
- Nic nie rozumiem.
- Jeżeli założymy, że to wcale nie o Norskiego chodziło, a o Bola?

Jeżeli nastąpiła fatalna pomyłka, o jaką w tamtych warunkach wcale nie było trudno? Jeżeli to Karol polował na Bola, a przypadkiem trafił na Norskiego? Karol, który, chyba to przyznasz, mógł mieć zarówno powód, jak i możliwości dokonania podobnego czynu?

– Naciągane, mocno naciągane – po chwili milczenia powiedział porucznik. – Po pierwsze, Karol spał pijany w namiocie. Po drugie, zbrodnie z namiętności, zwłaszcza do własnej żony, dawno wyszły z mody. Po trzecie, Karol nie jest takim kpmem, żeby nie zdawał sobie sprawy z nieuchronności podobnych sytuacji życiowych, związanych z rolą męża Zuli. Gdyby chciał reagować w ten sposób, ileż mokrej roboty by go czekało!

– Odpowiadam: po pierwsze, może tylko udawał, że jest tak bardzo pijany? Są świadkowie, że w pewnym czasie zaniesiono go śpiącego do namiotu. Czy jednak ktokolwiek jest w stanie stwierdzić, że się stamtąd już do rana nie ruszył? Spokojnie mógł wyjść, swoje zrobić i wrócić nie zauważony. Po drugie, co my o nim wiemy? Jak obydwa przed chwilą stwierdziliśmy, bardzo niewiele. Niewątpliwie był zakochany w Zuli. Wiedział, jak żyła po rozstaniu z Norskim i z tamtym drugim bubkiem, który J3 porzucił. Być może jednak wierzył, że jak to często bywa z kobietami, które już się wyszumiały, będzie mu absolutnie wierna. I nagle szok! Do tego wódka, poczucie krzywdy, chęć zemsty i jak na zawołanie, wymarzona okazja!

- Melodramat mi tu waść snujesz... Melodramaty nie są modne w

dwudziestym wieku. I w dodatku gdzie? W środowisku trzeźwych naukowców!

Kapitan zezem spojrział na przyjaciela. Trudno mu było zupełnie bez oporów rozstać się z koncepcją, która wszystko tak ładnie wyjaśniała, scalała rozsypane ogniwa w logiczną całość. Próbował jeszcze się bronić.

– Uważasz, że nie mogło tak właśnie być?

– Mogło, czemu nie! Wszystko w tej zwariowanej sprawie jest możliwe. Daruj jednak, Broneczku, twoja piękna teoryjka bardziej pasuje do literatury niż do zgrzebnej rzeczywistości. Chyba jednak powinieneś się z nią rozstać. Co ci przyjaciel szczerze radzi...

Rozdział XVI

Kapitan Zaliwski czuł niesmak po rozmowie z Zawadą. Niewątpliwie popuścił cugli własnej wyobraźni i męczyło go to teraz jak pijacka czkawka. Swoją drogą nie mógł się opędzić od myślenia o Karolu i jego roli w wypadkach nad jeziorem. Postanowił zatem raz jeszcze porozmawiać z Bugajewiczem i dobrze przycisnąć go do muru.

Na razie czekała go rozmowa z Jackiem Chomińskim, który telefonicznie zapowiedział swoją wizytę. Kapitanowi to spotkanie było bardzo nie na rękę, ponieważ tymczasem sprawdził, iż rzeczywiście volvo nie było reperowane w żadnym tutejszym warsztacie samochodowym, natomiast Jacek zapłacił przelewem ze swojego konta dolarowego pewną sumę na zakup... części zamiennych do samochodu. A stało się to dokładnie siódmego sierpnia.

Kapitan kończył właśnie rozmowę z olsztyńską komendą MO, która na jego prośbę sprawdzała prawdziwość podanych przez Bugajewicza informacji o pobycie w dniu szóstego sierpnia ich obojga u przyjaciółki Zuli (wszystko się zgadzało), gdy zaanonsowano przybycie docenta Chomińskiego.

Wszedł szczypty, elegancki i – kapitan wyczuł to, nim jeszcze tamten usiadł w gościnnym fotelu – wewnętrznie zjeżony i napięty. Oho – pomyślał kapitan Zaliwski – niezłą będe miał z nim przeprawę. I nie pomylił się, bo Jacek wystartował z punktu.

– Panie kapitanie, właśnie przyszedłem pana zawiadomić, że zwróciłem się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o interwencję w sprawie

mojego wyjazdu do Kanady. Samolot, na który mam zarezerwowane miejsce, odlatuje za tydzień. Niestety, dłużej czekać już nie mogę. Tym bardziej iż sądząc z dotychczasowego tempa tego śledztwa, musiałbym chyba odłożyć swój wyjazd do następnego roku. A to nie jest możliwe.

– Ładnie z pana strony, że pan mnie o tym uprzedza – z uśmiechem powiedział kapitan, w duchu zgrzytając zębami.

– Uprzedzam bynajmniej nie z kurtuazji – Jacek odwzajemnił się równie miłym uśmiechem – a po prostu dlatego, iż, jak sędzę, ta sprawa trafi bezpośrednio do pana.

– O, nie wątpię o tym – rzekł ironicznie kapitan, myśląc o piekielnej awanturze, jaka go czeka, jeżeli zechce się przeciwstawić wyjazdowi Jacka.

– Chciałbym pana uprzedzić – ciągnął tamten nonszalancko, jakby odgadując myśli kapitana – *ż y c z l i w i e* uprzedzić, że interweniowałem u osób dość wysoko postawionych, którzy zobowiązali się uczynić wszystko, co mogą w tej sprawie. A tego panu nie potrzebuję mówić, że mogą dużo. Pan rozumie, prawda?

– O, aż za dobrze...

– Świetnie, zatem sędzę, że w imię własnych interesów nie zechce pan stwarzać dodatkowych trudności.

– A gdybym jednak zechciał?

– To już pana prywatna sprawa. Ja, jak pan widzi, zagrałem wobec pana fair. Jeżeli natomiast pan sam chce się pakować w sytuację, no, powiedzmy, co najmniej wątpliwe do wygrania, to już pana rzecz.

– Ja, widzi pan, uwielbiam hazard – mruknął pogodnie kapitan.

Jacek niespokojnie poruszył się w fotelu.

– Czy mam rozumieć, że jednak będzie pan obstawał przy swoim?

– Tego nie powiedziałem. Widzi pan, muszę przemyśleć tę sprawę.

– No tak, naturalnie. Myślę, że jednak poweźmie pan rozsądną decyzję.

– Ba, rozsądek to rzecz względna. W każdym razie dziękuję panu za, hm, lojalność wobec mojej osoby. Skromnej osoby... Skoro zaś już tu pan jest, chciałbym skorzystać z okazji i zadać panu jeszcze kilka pytań.

– Jeszcze? Zdawało mi się, że już wyczerpaliśmy repertuar...

– Jak się okazuje, niezupełnie...

– Słucham więc. Co jeszcze chciałby pan, kapitanie, wiedzieć?

– Miał pan być nad jeziorem szóstego sierpnia, prawda?

– Tak. Szóstego miałem prelekcję w Olsztynie. Ale już to przecież wyjaśniałem nieraz.

– Właśnie. Mówił pan bodaj, że chciał załatwić jakieś sprawy w Warszawie. Dlatego zamiast nad jezioro, udał się pan tego dnia z Olsztyna prosto do Warszawy.

– Zgadza się. Nie rozumiem tylko...

– Chwileczkę. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, jakie to były sprawy?

– Oczywiście. Obawiam się jednak, że musiałbym się wdąć w dosyć długi wywód, ponieważ, jak się pan zapewne domyśla, chodziło o sprawy czysto fachowe...

– A może nie tylko sprawy czysto fachowe zaprowadziły pana do Warszawy?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – zachnął się Jacek.

– Muszę zatem wspomóc pana, jak się okazuje, nie najlepszą pamięć – z ironią powiedział kapitan. – Siódmego sierpnia większość czasu w Warszawie spędził pan w PKO i w warsztacie naprawy samochodów.

– A, o to panu chodzi! No świetnie, przynaję, lecz co z tego wynika?

– Na razie to, iż świadomie chciał mnie pan wprowadzić w błąd. A poza tym jeszcze zobaczymy. To będzie zależało od tego, co ma pan

w tej sprawie do powiedzenia.

– Ależ chętnie panu wszystko opowiem! Moja prelekcja w Olsztynie przeciągnęła się ponad przewidziany czas. Dlatego gdy się wreszcie stamtąd wyrwałem, pozwoliłem sobie na zbyt szybką jazdę. Volvo kusi do tego, rozumie pan, to doprawdy znakomity i szybki wóz, a ja dopiero od niedawna jestem jego posiadaczem. No więc nie oparłem się pokusie. Przyznaję się z ręką na sercu. Rezultat był taki, że na którymś zakręcie, niedaleko zresztą Olsztyna, zarzuciło mnie porządnie, wpadłem w poślizg. Wprawdzie zdołałem jakoś opanować wóz, ale gdy już wszystko było prawie w porządku, zawadziłem lekko o przydrożne drzewo. Nic poważnego. Wgnieciony prawy błotnik i pęknięte szkło w reflektorze. To przecież jednak najzupełniej by wystarczyło, żeby moi przyjaciele zrobili ze mnie cel swoich kpiniek. Przez cały czas pobytu nad jeziorem nie zaznałbym spokoju. Po prostu nie mogłem, pan rozumie, nie mogłem się im pokazać na oczy w poharatanym wozie...

– I dlatego pojechał pan do Warszawy?

– Dlatego. Chociaż przy okazji załatwiłem sobie i inne swoje sprawy.

– Czemu od razu pan mi o tym nie powiedział?

– Och, panie kapitanie, za wiele pan wymaga. Kto się bez bicza przyznaje do idiotycznej kraksy? W dodatku koledzy zbyt często pokpiwają z moich talentów szoferskich, żebym nie był na tym punkcie szczególnie uczulony. No i doprawdy nie widziałem powodu do zwierzania się z tego bądź co bądź kompromitującego mnie wypadku, zwłaszcza że nic to nie miało wspólnego z prowadzonym przez pana śledztwem.

Ba, czy istotnie nie miało? Kapitan rozmyślał nad tym, gdy już Jacek pożegnał się, odprężony, uśmiechnięty, po wielokroć zapewniający kapitana o swoich na wskroś życzliwych intencjach i swojej metodzie gry fair

z osobami, dla których żywi prawdziwy szacunek. Cóż, sytuacja jest jednak taka, sam pan kapitan rozumie, że musi twardo walczyć o swoje interesy. Jak by to było, gdyby podał swoim kanadyjskim przyjaciółom istotny powód opóźnienia swojego przyjazdu? To przecież wprost niemożliwe! Istny paradoks, żeby on, poważny naukowiec, był zatrzymany z podobnego powodu! Nikt tam, za granicą, by w to nie uwierzył. Pomyśleliby, że to niezręczny kamuflaż, że w istocie rzeczy chodzi o jakieś sprawy polityczne. O, to mogłoby mieć nieobliczalne wprost skutki teraz, w dobie odprężenia. No, mogłaby się z tego zrobić przykra międzynarodowa afera. Więc za wszelką cenę należy tego unikać. Itp., itd.

Kapitan słuchał uważnie; czasem grzecznie przytakiwał, jednakże nie bez ukrytej myśli, że z tego Jacka niezły bufon. Międzynarodowa afera o jednego smarkatego matematyka! Grubymi to niemi szyte. No cóż, korzyści takiego wyjazdu dla młodego naukowca są niezaprzeczalne. Roczny pobyt w Kanadzie to coś, o co warto się bić. Więc nawet trudno się dziwić, że puścił w ruch wszystkie możliwe znajomości i protekcje. Ma niewątpliwie swoje racje pan docent Chomiński, ale ma je i skromny kapitan MO, Zaliwski. Zobaczymy, na czym stanie. Bo kapitan nie zwykł łatwo się poddawać i choć zdawał sobie sprawę, jak ciężki orzech będzie miał do zgryzienia, wcale nie zamierzał ustępować bez uczciwej walki. Miał za sobą prawo. W końcu tak czy siak Jacek był zamieszany w sprawę morderstwa. Był jednym z pięciu podejrzanych i jako taki musiał pozostawać w zasięgu władz śledczych. To był atut, z którego kapitan nie zamierzał rezygnować.

Ponadto śledztwo wprawdzie ślimaczy się nieco, lecz cóż w końcu znaczy miesiąc w tego typu sprawach? Kapitan znał dochodzenia ciągnące się miesiącami, a nawet takie, w których właściwe rozwiązanie następowало dopiero po latach. Więc choć zdawał sobie sprawę z nacisków, jakim będzie zapewne poddany, postanowił twardo bronić swoich praw.

Chyba że mu odbiorą prowadzenie śledztwa. Wtedy trudno, siła wyższa. Na razie jednak trzeba działać. I to działać możliwie szybko!

Po raz trzeci już tego dnia nakręcił numer telefonu profesora. Już od dwu dni usiłował się z nim porozumieć, lecz u profesora nikt nie podnosił słuchawki. Widocznie wyjechał gdzie, czy co? Kapitana intrygowało zainteresowanie profesora samochodami znajomych znad jeziora. I ten dzień szósty sierpnia...

Obecnie mógł już służyć profesorowi pewnymi informacjami w tej sprawie, w zamian za co chciał usłyszeć to, co niewątpliwie profesor miał do powiedzenia, a czego z jakichś względów mówić nie chciał. Bo kapitan zbyt długo znał profesora Korowicza, by lekceważyć ową teorię, do istnienia której się przyznawał...

Miał szczęście. Tym razem zastał profesora w domu.

– Dobrze że dzwonisz, mój chłopcze, właśnie sam miałem zamiar do ciebie telefonować.

– Coś nowego?

– I tak, i nie.

– Ja też mam dla pana informacje, o jakie pan profesor prosił. Już od dwu dni staram się z panem skontaktować.

– Wyjeżdżałem. Byłem w Warszawie. Zapewne dowiedziałeś się, że Jacek Chomiński szóstego sierpnia uszkodził swój samochód, prawda?

– Skąd pan profesor wie?

– Mam i ja swoje źródła informacji. A co z Bugajewiczami?

– Miał pan profesor rację. Wyjechali już szóstego do Olsztyna. Odwiedzili koleżankę Bugajewiczowej. Już otrzymałem potwierdzenie tej informacji.

– Interesujące. No, porozmawiamy sobie o tym.

– Mogę dzisiaj wpaść do pana?

– Dzisiaj nie, mój chłopcze. Mam jeszcze przed twoją wizytą coś

do załatwienia. Przyjdź jutro wieczorem, jeśli możesz.

– Jak pan profesor sobie życzy, choć przyznam, że mam kilka takich kwestii... Słowem, wolałbym dzisiaj.

– Bardzo mi przykro, mój chłopcze. Nie mogę odwołać... Zresztą doprawdy lepiej będzie jutro. Liczę po prostu na to, że może jutro będę ci miał coś ciekawego do powiedzenia.

– Szkoda, żałuję. Choć może i ja będę się mógł jutro czymś panu zrewanżować. Zatem do zobaczenia, panie profesorze.

– Do zobaczenia, mój chłopcze.

Odłożywszy słuchawkę, kapitan zamyślił się głęboko. Czuł, że tajemniczość profesora ma swoje jak najbardziej konkretne przyczyny. Czyżby na coś wpadł? Dlaczego nie chce go widzieć? Dziwne. Ciekawe, czy idą tym samym tropem? Bo kapitan już uchwycił niteczkę, wątlą wprawdzie, ale czuł, że właściwą. Nareszcie prawdziwą! No, przekonamy się, a teraz – do roboty!

Rozdział XVII

Profesor był zmęczony. Bardzo zmęczony. Pobyt w Warszawie, niespokojna noc i ta rozmowa. Wiele miał w życiu trudnych rozmów, ale ta należała chyba do najtrudniejszych.

Czuł ciężar swoich lat, gdy tak czekał na wiadomość, która powinna nadejść, musi nadejść. Wiadomość tragiczną, która uczyni zadość poczuciu sprawiedliwości i sumieniu, ale zrani jego stare serce. Wielokrotnie w życiu bywał narażony na konflikt między własnymi uczuciami a poczuciem etycznym; kiedy był młodszy, łatwiej mu przychodziło podjąć decyzję. W miarę upływu lat wiedza o drugim człowieku albo opancerza serce skorupą obojętności, albo przeciwnie, rozwija tolerancję i współczucie. Profesor należał do tej drugiej kategorii ludzi. Może dlatego było mu teraz tak ciężko.

Trzeba się w końcu ruszyć i czymś zająć. Zaparzy sobie dobrej, mocnej herbaty, to mu powinno dobrze zrobić. Czeką go przecież też nieleka rozmowa z kapitanem Zaliwskim...

Która to już godzina? Dochodzi wpół do ósmej. Zaraz dziennik telewizyjny. Przekręcił gałkę swojego starego, mocno już sfatygowanego telewizora. Musiał się dość długo nagrzewać, zanim włączyła się fonia. To dobrze, akurat zdąży zaparzyć sobie herbatę.

I profesor czując, że nogi odmawiają mu zwykłej sprężystości i posłuszeństwa, poczłapał wolno do kuchni.

Zbliżała się godzina wpół do ósmej, gdy kapitan skręcił w ulicę, przy której mieszkał profesor Korowicz. No, zaskoczy staruszka, bo powie mu, z satysfakcją powie, na czym polega owa jego teoryjka. Alez będzie zdumiony! Brak jeszcze wprawdzie pewnych danych, ale z pewnością jest na właściwej drodze. Najwyższy czas!

Skręcił w wykładaną płytami alejkę niewielkiego ogródka. Prowadziła prosto do stopni tarasu, przez który wiodła droga do drzwi mieszkania profesora. Właśnie postawił nogę na pierwszym schodku, gdy nastąpił błysk i powietrzem targnął nagły wybuch. Z okien i drzwi posypało się szkło.

Kapitan jednym skokiem pokonał schodki, dopadł drzwi. Były zamknięte od wewnątrz, ale nietrudno było sięgnąć ręką przez otwór po wybitej szybie i odsunąć zatrask. Kapitan stanął w progu. Gabinet profesora przedstawiał obraz zniszczenia, jak po wybuchu granatu. Podłogę zaścierały odłamki *szkła*, tynku, papiery i książki, które wybuch zmiotł widać z biurka. Kapitan rozglądał się gorączkowo za ciałem profesora. W powietrzu wisiał jeszcze gęsty opar pyłu, utrudniający widoczność; powoli osiadał na przedmiotach. Może profesor jeszcze żyje, jest tylko ranny? Trzeba natychmiast sprowadzić pomoc.

W tym momencie otworzyły się drzwi od strony holu i – stanął w nich profesor cały i zdrowy. Westchnienie ulgi, jakie wyrwało się z ust kapitana, podniosło znowu mały tuman pyłu...

– Nic się panu profesorowi nie stało? Co za szczęście, że akurat wyszedł pan z pokoju!

– Tak, masz rację, mój chłopcze. Miałem więcej szczęścia niż rozumu.

Za profesorem tłoczyli się wystraszeni mieszkańcy willi. W drzwiach prowadzących do ogródka też pojawili się żądni sensacji gapie. Kapitan z niełatwym trudem usunął jednych i drugich, po czym zabrał się do pobieżnego obejrzenia zrujnowanego pokoju. Telewizor rozniosło niemal ze szczętem.

– To był jakiś stary typ, prawda, panie profesorze?
– Tak, jeden z pierwszych modeli.
– Hm, wygląda to na wybuch lampy kineskopowej. Stąd takie spustoszenie. Ale jak to się mogło stać?

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami profesor – nauki ściśle to rnie moja specjalność.

Kapitan spojrział na niego zamyślony. Coś rozważał.

– Chyba pan jednak wie – odezwał się wreszcie. – Bo to miał być tak zwany zwykły wypadek, prawda?

– Bo ja wiem?

– Zamach na pana?

– Zapewne, choć niezmiernie trudno mi w to uwierzyć. Może jednak zwykły wypadek?

– Panie profesorze – zdenerwował się kapitan – proszę mi w końcu powiedzieć prawdę!

– Oczywiście, mój chłopcze, oczywiście, powiem ci wszystko, co sam wiem. Tylko pozwól mi odetchnąć. Zmęczony jestem, wyczerpało mnie to wszystko. To jednak nie jest zabawa dla starego profesora – uśmiechnął się z wysiłkiem.

Kapitan spojrział uważnie i zrobiło mu się przykro. Istotnie, profesor wyglądał blado.

– Dobrze – powiedział już innym tonem – wezwę tymczasem jednego ze swoich ludzi. Ten na pewno dojdzie, co się tutaj właściwie stało. Psiakrew! – zaklął – telefon też rozwalony! Gdzie tu jest jakiś inny aparat?

– U sąsiadów za ścianą. Zaprowadzę cię.

Kapitan długo tkwił przy telefonie, bo akurat spec, sierżant Kaczmarek, na którym mu zależało, był zajęty gdzie indziej.

– Poślijcie natychmiast po niego! – krzyczał w słuchawkę. – Tam byle kiep da sobie radę, a u mnie precyzyjna robota, w sam raz dla Kaczmarka. – W końcu postawił na swoim, zapewniono go, że sierżant

Kaczmarek za chwilę się u niego zamelduje. Kapitan odetchnął. Przy-
najmniej jeden kłopot z głowy.

Teraz trzeba pogadać z profesorem, najwyraźniej coś, ukrywa. Gdy
jednak, zdecydowany dobrać się do profesorskiej skóry, zwrócił się ku
niemu, uderzył go, a zarazem przeraził, wygląd Korowicza. Pół siedział,
pół leżał w głębokim fotelu, granatowe cienie pod oczyma, rysy twarzy
wyraźnie zaostrome, świszczący, krótki oddech. Zapominając o swoich
zamiarach, powiedział miękko:

– Panie profesorze, źle się pan czuje? Może wezwać lekarza?

Profesor uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem, ujawniła się sieć
głębokich zmarszczek okalających oczy, bruzdy spływające od nosa ku
ustom. Kapitan po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z
bardzo starym, steranym życiem człowiekiem.

– Nie trzeba, nic mi nie jest. Jeszcze tylko, jeżeli pozwolisz, w spo-
koju tu odpocznę. A ty idź, rób swoje. Chciałbym się dowiedzieć jak
najszybciej, co to właściwie było.

I kapitan, mimo że zgoła inne miał zamiary, powiedział grzecznie: –
Dobrze, panie profesorze – i wyniósł się do zrujnowanego gabinetu,
pozostawiając profesora staraniom zaprzyjaźnionych z nim sąsiadów.

Zresztą ledwie drzwi się za kapitanem zamknęły, profesor nie zważa-
jąc na protesty sąsiadów, podniósł się z fotela i wykręcił numer telefonu.
Słyszając głos po tamtej stronie przewodu, powiedział jedynie cicho i
spokojnie: – Tu mówi profesor Korowicz. Chciałem cię zawiadomić, że
jednak żyję. – I odłożył słuchawkę.

Sierżant Kaczmarek aż gwizdnał na widok gabinetu profesora.

– Ależ pieprznięło! – powiedział z podziwem. – No, no! Domyślał
się, że trzeba ten śmietnik przepatrzyć dokładnie, czy nie znajdzie się coś
trefnego, co?

– Jakbyście zgadli! Telewizor był wprawdzie starego typu, ale nie

sądzę, żeby ni z tego, ni z owego tak po prostu sobie trzasnął.

– Mogła mu się sprzykrzyć uciążliwa służba. Ile to lat pracowało?

– Całą kupę, bo to jeden z pierwszych modeli, słowem: zabytek.

– One lubiły robić kawały, kapitanie. Jeszcze wtedy produkcja była nie tego... Dopiero potem zaczęli ubezpieczać na sto dwa.

– No ale służył ofiarnie przez tyle lat i tak nagle?...

– Może był jakiś powód, że tak powiem, naturalny. Jakiś wstrząs...

Wiele takiemu pułdu nie potrzeba. Ale zaraz obadamy sprawę. Bebechy na wierzchu, więc długo to nie powinno trwać.

I sierżant Kaczmarekabrał się do pracy. Kapitan nie miał na razie nic do roboty, więc strząsnąwszy kawał tynku z fotela, usiadł, zapalił papierosa i zajął się podziwianiem precyzyjnej roboty sierżanta Kaczmarka. A ten długo oglądał każdy fragment, każde szkiełko i drucik. Pomrukiwał przy tym raz z zadowolenia, raz ze złości.

– No i co, jest coś? – ośmielił się zapytać kapitan, gdy Kaczmarek marudził zbyt długo nad jakimś kabelkiem.

– Cholera tam jest! Wszystko wygląda, kapitanie, na naturalny, choć smutny wypadek. Miał diabelne szczęście ten sympatyczny starszek, że nie siedział akurat przed tym gratem. Trzech groszy bym wtedy nie dał za jego życie! Bez wątplenia kineskop wysiadł. Nie mogę tylko dojść, dlaczego?

– Ktoś tam musiał zamontować jakieś diabelstwo! – zdenerwował się kapitan.

– Ba, ale jakie?

– Ładunek wybuchowy...

– Mała bombka zegarowa, co? Nie, to wykluczone, kapitanie. A jak Kaczmarek mówi, że wykluczone, to wykluczone na sto dwa. Nic z tych rzeczy. Ślady by były jak byk. Taki głupi to ja nie jestem, żebym nie

zauważył śladów od pierwszego rzutu oka. Nie, nie, jeżeli tu w ogóle coś było, to jakieś cholernie przemyślnie diabelstwo.

Chwilę pracował w milczeniu, a kapitana aż podrywało w fotelu. Czyżby raz jeszcze ten spryciarz zrobił z niego durnia? Nie, to niemożliwe. Kaczmarek jednak miał coraz bardziej rozczarowaną minę.

– Kapitanie, czy jest pan pewien, że to celowa robota? – zapytał w końcu z powątpiewaniem.

– Kaczmarek! Nie gadajcie głupstw. Gdybym nie był pewny, tobym was nie wzywał. Szukajcie dalej.

– Dobra, dobra. Niech się kapitan nie denerwuje. Jeżeli tu coś jest, to Kaczmarek na pewno wyniucha.

I rzeczywiście. Długo to trwało, ale w końcu wyniuchał. Z tryumfem pokazał kapitanowi osadzony na szkle jakiś drobny pył.

– Kapitan widzi? Ale drań sprytny. Mało mnie, Kaczmarka, nie wywiódł w pole! Kapitan wie, co to jest?

– Opamiętaj się, Kaczmarek, skąd mam wiedzieć?

– To ja kapitanowi powiem. To jest fosfor. Już kapuję, jak się to wszystko odbyło. Otóż taki bardzo malutki ładuneczek fosforu umieszczono w pobliżu lampy kineskopowej. Z chwilą włączenia telewizora zaczął się rozgrzewać, a fosfor potrzebuje niewielkiej temperatury zapłonu. Zafajczył się, a to już wystarczyło, żeby podpieczona lampa kineskopowa zrobiła paff! Ot, i cała tajemnica! Znakomicie wykombinowane. Musi ten gość mieć głowę!

– A ma, ma – z goryczą powiedział kapitan.

– Gdyby ta robótka trafiła nie na sierżanta Kaczmarka, a na kogo innego, za cholerę niczego by się nie dopatrzył. Wypadek i już!

Kapitan nawet nie pisań, że sierżant Kaczmarek także miał szczerą ochotę odfajkować to jako zwykły wypadek.

– Powiedźcie mi jeszcze, czy dużo trzeba czasu na założenie takiego ładuneczku?

– Gdzie tam! Odkręcić tył, wsunąć ładunek, przykręcić i już. W sumie pięć minut.

– Dobrze. Zabezpieczcie ślady i możecie już iść. Dziękuję wam, sierżancie, w precyzyjnej robocie jesteście nieoceniceni.

– Zawsze powtarzam, że jak Kaczmarek coś robi, to mucha nie siada! – roześmiał się szeroko zadowolony sierżant.

Kapitan zapukał do sąsiadów. Profesor otoczony troskliwą opieką przyszedł już trochę do siebie, choć w dalszym ciągu nie wyglądał najlepiej.

– Przepraszam, ale muszę z panem profesorem chwilę porozmawiać.

– Wejść, chłopcze.

– Nie będę pana dzisiaj długo męczył, bo zrobiło się już późno, tylko proszę odpowiedzieć mi na jedno pytanie: to Jacek Chomiński odwiedził dzisiaj pana profesora, prawda?

– A więc sam, do tego doszedłeś – powiedział ni to ze smutkiem, ni z zadowoleniem profesor. – Tak, Jacek.

– Dziękuję. A teraz proszę się położyć i wypocząć. Resztę wyjaśnimy jutro. Teraz mam jeszcze przed sobą przykry kawałek roboty...

– Rozumiem – uśmiechnął się z wysiłkiem profesor. I dodał zagadkowo: – Może jednak nie będzie to potrzebne?

Rozdział XVIII

Spotkali się dopiero po dwóch dniach, bo cały następny dzień kapitan Zaliwski był zajęty przy ustalaniu przyczyn i przebiegu wypadku samochodowego, w którym zginął docent Jacek Chomiński, wielka nadzieja polskiej matematyki.

Okoliczności wypadku były nieco dziwne. Otóż poprzedniego wieczora u państwa Chomińskich odbywało się małe spotkanie towarzyskie z okazji bliskiego już wyjazdu Jacka do Kanady. Koło godziny ósmej – jak zeznała żona, a potwierdzili goście – Jacek przyjął jakiś telefon. Właśnie słowo „przyjął” było tutaj jak najbardziej adekwatne, ponieważ sam, poza zdawkowym „halo”, nie powiedział ani słowa. Wydawał się natomiast tym telefonem dziwnie wzburzony. Indagacje żony zbył milczeniem. Potem nawet odzyskał humor i, jak mu się ostatnio rzadko zdarzało, zabawiał skutecznie całe towarzystwo, tak że przyjęcie minęło w nadzwyczaj miłej atmosferze.

Kiedy towarzystwo zbierało się już do odwrotu, Jacek zaoferował swoje usługi w charakterze szofera. Żona zaprotestowała dosyć energicznie, ponieważ wypił podczas tego przyjęcia kilka kieliszków, nie zwracał jednak uwagi na jej perswazje. Przed wyjściem wpadł na chwilę do pokoju syna. Potem część gości udała się do domu taksówkami, uznawszy to widocznie za bezpieczniejszy środek lokomocji, natomiast trzy pozostałe osoby skorzystały z jego oferty. Ponieważ mieszkały w różnych punktach miasta, żona nie czekając jego powrotu, zmęczona

przygotowaniami do przyjęcia i samym przyjęciem (też trochę wypila), położyła się spać. Dopiero rano, stwierdziwszy że Jacek nie wrócił, podniosła alarm.

Tymczasem zaalarmowano już milicję. Kiedy przyjechali na miejsce wypadku, kremowe volvo, straszliwie poharatane, leżało u stóp wysokiego nasypu. Biegła nim niebezpiecznie w tym miejscu skręcająca szosa. Ten zakręt był powodem niejednego tragicznego wypadku.

Jacek nie żył. Jak na to wskazywały obrażenia ciała, poniósł śmierć na miejscu.

Co jednak robił w nocy na szosie blisko czterdzieści kilometrów od miasta?

Kapitan Zaliwski wiedział. Wiedział aż za dobrze. W jego kieszeni tkwił przecież podpisany już przez prokuratora nakaz aresztowania Jacka Chomińskiego. Ale cóż w tej sytuacji miał zrobić? Jaki sens miałby pośmiertny areszt? Milczał więc. I po raz pierwszy w czasie swojej pracy w MO zamiast dochodzić prawdy, starał się za wszelką cenę tę prawdę głęboko ukryć. W tym celu zasadnicze pytanie, co Jacek robił o tej porze na szosie, skwitował stwierdzeniem, iż zapewne po odwiezieniu swoich gości odczuł ochotę „przewietrzenia się”. Że była to fantazja wywołana alkoholem i że to także spowodowało nazbyt szybką, kawalerską jazdę. A że, jak wiadomo, volvo może rozwijać znaczną szybkość, wystarczył moment nieuwagi, o którą zwłaszcza po alkoholu tak łatwo – no i skutki znane. W tym duchu sformułowano oficjalny protokół.

Trzeba bezstronnie przyznać, iż stan ducha kapitana nie był najlepszy. „Wewnętrzny sprzeciw” to może zbyt słabe na tę okoliczność określenie... Ale wbrew własnym odczuciom zdawał sobie sprawę, że jest to jedyne rozsądne wyjście z sytuacji.

W nastroju dość dalekim od uczuć, jakie zwykliśmy określać jako „chrześcijańskie”, zasiadł tego wieczora w wygodnym fotelu przy niskim stoliczku w trochę już do porządku doprowadzonym gabinecie profesora.

Na stoliczku stała butelka tradycyjnego koniaku i dwa pękate kieliszki.

Profesor, rzuciwszy okiem na minę kapitana, uśmiechnął się przepraszająco.

– Wiem, wiem, mój chłopcze, masz do mnie pretensje. Dysponowałeś jednak wszystkimi materiałami i całym aparatem MO, a ja miałem tylko własną głowę. Nie mogłem ci powiedzieć. Za wcześniej byś doszedł prawdy... I tak doszedłeś zbyt szybko, mały włos, a...

– Zbyt szybko! Niech pan przynajmniej nie stara się mnie pocieszać. Mówiąc szczerze, wystrychnął mnie pan po prostu na dudka, czyli, jak to określa młode pokolenie, „zrobił w konia”. Celowo ukrył pan przede mną, panie profesorze, coś bardzo istotnego dla śledztwa. Zabrakło mi właśnie tego jednego ogniwa, żeby wcześniej skończyć całą zabawę. Co, mówiąc nawiasem, o mało nie skończyło się dla pana tragicznie. Do dziś się głowię, co to było i w jaki sposób pan na to wpadł.

– Po prostu: czytając uważnie gazety, mój chłopcze.

– Gazety?

– A tak.

– Zaraz, zaraz, zacznijmy od początku.

– Jak sobie życzysz, mój chłopcze – powiedział profesor i zamyślił się. – Właśnie, zacznijmy od początku. Otóż w tej sprawie były dwa interesujące momenty. Pamiętasz to pytanie z krzyżówki, którym Norski naprzykrzał się kolegom?

– „Co lubią tygrysy?”

– „Tran” – machinalnie odpowiedział profesor. I nagle roześmiał się. – Widzisz, mimo woli zademonstrowałem ci odruch warunkowy, który powoduje, że odpowiada się automatycznie na hasło wywoławcze. Wiedziałem, że w tych kręgach znano „Kubusia Puchatka” i „Chatkę Puchatka”. Toteż od razu zaskoczyło mnie, że ani sam Norski, ani nikt z tego grona nie znalazł odpowiedzi na pytanie z krzyżówki. Norski być

może istotnie nie skojarzył pytania z „Chatką Puchatka” albo swoim zwyczajem kpił sobie z kolegów, prowokując zabawę. To leżało w jego charakterze. Jeżeliby jednak chodziło o zabawę – a jak wiemy stawiał pytanie „Co lubią tygrysy?” jeszcze na początku „bumsu” – wpisałyby odpowiedź już wcześniej albo (co jest prawdopodobniejsze) nie wpisałyby jej wcale. Tymczasem odpowiedź była wpisana ołówkiem, jakby na kolanie. Wniosek nasuwa się jeden: mianowicie Norski istotnie sam nie skojarzył pytania z krzyżówki z „Kubusiem”, a ktoś podpowiedział mu odpowiedź już podczas trwania „bumsu”. Dlaczego zatem wszyscy się tego wyparli? W końcu była to błahostka. Dlaczego ktoś przywiązywał do niej taką wagę, że zdecydował się kłamać w śledztwie?

To był pierwszy punkt zaczepienia o tyle istotny, że uświadomił mi, iż ktoś w tym towarzystwie ma coś ważnego do ukrycia. Ale co?

I tu następuje punkt drugi: uważna lektura gazet pozostawionych przez Norskiego. Przyznam, wpadłem na to zupełnie przypadkowo i z początku nie przywiązywałem do zamieszczonej informacji zbyt dużej wagi. Otóż w jednej z gazet znajdowała się notatka reporterska o wypadku na szosie w pobliżu Olsztyna. Znalaziono martwego motocyklistę. Ślady wskazywały na to, że potracił go jakiś samochód. Nikt natomiast o wypadku nie doniósł, z czego wniosek, iż niefortunny kierowca zbiegł nie udzieliwszy pomocy.

– Moje brakujące ogniwo! Cholera, przecież przeglądałem te gazety nawet dwa razy!

– To zupełny przypadek, że właśnie ta notatka wpadła mi w oko...

– Pan profesor przypuszcza, że Norskiemu też to „przypadkiem” wpadło w oko?

– Tak. I moje przypuszczenia okazały się chyba słuszne... Widzisz, mój chłopcze, usiłując zrekonstruować wypadki, wyobraziłem sobie mniej więcej tak: Norski musiał zauważyć to, co i ty także zauważyłeś

– zmieniony reflektor w samochodzie Jacka. Zapewne stało się to w dzień „bumsu”, gdy jechali do miasteczka. Inaczej chyba by o tym napomknął w gronie kolegów; lubił się przecież naśmiewać z szoferskich „talentów” Jacka. Być może w czasie jazdy do miasteczka coś powiedział samemu Jackowi, co naturalnie wywołało jego niepokój. Znał przecież Norskiego...

Potem, będąc w miasteczku, Norski zaopatrzył się w nowy zapas gazet i jeszcze przed „bumsem” (pamiętasz, Zula mówiła, że pewnie rozwiązywał krzyżówki) przejrzał je. Coś musiało mu się skojarzyć, zwłaszcza że Jacek opóźnił swój przyjazd, czekano go przecież już poprzedniego dnia. Nie był pewny, ale już coś podejrzewał. I właśnie w czasie owego „bumsu” Jacek (pamiętasz, rozmawiali z sobą dość długo), spytany „Co lubią tygrysy?”, odpowiedział mechanicznie „tran”, opatrując to zapewne komentarzem, że przecież Norski sam dawno powinien wpaść na właściwą odpowiedź, jako że zna „Chatkę Puchatka”; że, słowem, marny z niego rozwiązywacz krzyżówek. Na to – tak sobie wyobrażam – Norski zapewne strzelił, że udało mu się rozwiązać inną krzyżówkę... I powiedział o wypadku na szosie pod Olsztynem. Reakcja Jacka – pamiętaj, byli po dobrej wódce – musiała go upewnić o słuszności podejrzeń. Dlatego być może potem...

– Zaraz, zaraz, panie profesorze, wróćmy do tego wypadku na szosie. Dlaczego Jacek uciekł? Dlaczego nie ratował tamtego?

– Myślę, że miał taki zamiar. Ale motocyklista poniósł śmierć na miejscu. Nic mu już pomóc nie mogło.

– Jednakże nie rozumiem...

– Bo nie znałeś wystarczająco dobrze Jacka, mój chłopcze. Ja go znałem. Widzisz, na pewno jechał zbyt szybko, a jak wiesz, kierowcą nie był najlepszym. Być może wina była mimo wszystko po stronie motocyklisty – wiesz, jak jeżdżą ci wsiowi kawalerzy... Ale nie było świadków

wypadku. Jacek tak czy inaczej, gdyby dano mu wiarę, byłby w najlepszym razie sądzony za nieumyślne spowodowanie śmierci. Jego kariera, jego wyjazd do Kanady... A pamiętaj, szosa była pusta, uszkodzenie wozu niewielkie... Pokusa była zbyt duża. No cóż, skorzystał z niej. Żeby był w stanie przewidzieć konsekwencje, pewnie by tego nie zrobił...

– Rozumiem. Ale Norski...

– Chodzi ci o to, czyby Norski istotnie poinformował o swoim odkryciu, kogo należy. Na to nie umiem ci odpowiedzieć. Ale istniało takie prawdopodobieństwo. Tak, istniało poważne prawdopodobieństwo... Być może zagroził Jackowi, być może chciał go skłonić do przyznania się samemu. Norski, widzisz, miał rozwinięte poczucie sprawiedliwości. I nie przywiązywał takiej wagi do kariery naukowej jak Jacek, który musiał sobie zdawać sprawę, że Norskiego ani nie przegada, ani nie przekona. Właśnie jego jednego ze wszystkich przyjaciół. Taki na przykład Budny, gdyby nawet powziął jakieś podejrzenia, starałby się o tym po prostu nie myśleć. Cudza, prywatna sprawa. Eda czy Bolo może by Jacka potępili, ale solidarność grupowa skłoniłaby ich do milczenia. A Norski stanowił bezwzględnie duże potencjalne zagrożenie. Czy realne? Nie wiem. Ale z pewnością Jacek uznał je za pewnik.

– Dlatego wołał się „zabezpieczyć”?

– Widzisz, nie sądzę, żeby działał z premedytacją. Nie miał zresztą na to czasu. Pamiętaj jednak, że jego sytuacja uległa tymczasem zmianie. W końcu upłynęło sporo czasu od wypadku; gdyby zgłosił się nawet sam i przyznał do popełnionego czynu, kwalifikacja prawna wyglądałaby już inaczej... Kompromitacja, wyrok – w jego sytuacji byłaby to prawdziwa klęska żywiołowa, przekreślenie tak świetnie się zapowiadającej kariery naukowej. A dla Jacka kariera była najistotniejszą sprawą życia. Nic

dziwnego, że mógł wpaść w rozpacz. Dodaj do tego noc, alkohol i jak na zawołanie nasuwającą się okazję... – Skorzystał. I zamordował własnego przyjaciela.

– Tak. A potem już nie miał wyjścia i musiał grać do końca.

– Jak mi się wydaje, pan profesor gotów jest rozgrzeszyć Jacka i z zamachu na siebie – rzucił z gniewem kapitan.

– Rozgrzeszyć? Mylisz się, chłopcze. Ja się staram tylko zrozumieć.

– Z poczucia wdzięczności za to „zrozumienie” o mało i pana nie zdołał wyprawić na tamten świat. Swoją drogą nie mogę w dalszym ciągu zgłębić motywów pana działania. Zabrakło mi tylko jednego, dwu dni, a miałbym go w ręku – rozżalił się kapitan.

– Tak, wiedziałem o tym, że już idziesz po dobrym tropie. Chociaż trzeba było jeszcze wyeliminować z gry Bugajewiczów, którzy też mogli spowodować ten wypadek – przejeżdżali przecież tamtędy w tym samym mniej więcej czasie. Liczyłem na to, że dostarczy ci to nieco roboty – roześmiał się profesor.

– A pan już wtedy wiedział?

– Powiedzmy: prawie wiedziałem. Nie byłem pewny, bo pozostawała jeszcze sprawa samochodu Jacka. Gdyby się okazało, że volvo było reperowane przed szóstym sierpnia, cała moja teoria wzięłaby w łeb. Co ja się nadreptałem po Warszawie, żeby to sprawdzić!

– A ja właśnie chciałem pana profesora o tym poinformować. Jacek wcale się zresztą nie zapierał. Tłumaczył wszystko dość sensownie i ja, głupiec, prawie mu wtedy uwierzyłem. Dlatego tak to się przewlekło, a pan, bawiąc się w prywatnego detektywa, omal nie stracił życia. Nigdy bym sobie tego nie darował. A swoją drogą, panie profesorze, muszę powrócić do motywów pana działania.

– Przesłuchanie w charakterze oskarżonego? – roześmiał się profesor.

– Tak. Konkretnie: oskarżonego o utrudnianie pracy organom MO – dopowiedział na pół tylko żartobliwie kapitan Zaliwski. – A ponadto o zastępowanie sędziów PRL w ferowaniu wyroków – dodał bez śladu uśmiechu.

– No cóż, w jakimś sensie masz niewątpliwie rację. Wiem, że winienem ci wyjaśnienie. I od ciebie będzie zależało, czy przestaniesz na nim... – Profesor zdjął okulary i starannie przecierał je irchową szmatką. Jego oczy bez osłony szkieł były znowu bezbronne i smutne. – To była dla mnie bardzo ciężka sprawa – zaczął. – Nie tylko dlatego że Jacek Chomiński był synem mojego dawnego kolegi, który zginął w czasie wojny w obozie koncentracyjnym. Nie wiedziałeś o tym, prawda? Znałem całą rodzinę, znałem warunki, w jakich wychował się Jacek. Samego Jacka znałem stosunkowo mało, ot, śledziłem jego postępy w nauce, od czasu do czasu zamieniałem z nim kilka słów. Widzisz, żona mojego kolegi, a matka Jacka, straciła wszystkich swoich bliskich. Sama, na szczęście, też już nie żyje. Inaczej nie wiem, czy miałbym odwagę... Więc, jak ci mówiłem, jej mąż zginął w obozie, najstarsza córka zmarła na gruźlicę w czasie okupacji, drugi syn zginął w powstaniu warszawskim. Ocalał tylko najmłodszy, Jacek. Na nim skoncentrowała wszystkie uczucia i nadzieje. Był chowany w atmosferze bałwochwalczej wprost miłości. Nie wyszło mu to na dobre, bo wcześniej poczuł się pępkiem świata. Utwierdziły go w tym poczuciu sukcesy życiowe. Istotnie był nieprzeciętnie zdolny i inteligentny, był także chorobliwie ambitny. To, myślę, zdeterminowało jego późniejsze postępowanie.

Kiedy spotkałem cię na pogrzebie Norskiego i dowiedziałem się o kulisach tragedii nad jeziorem, zainteresowałem się tym nie z uwagi na Norskiego – chociaż lubiłem tego chłopca – a właśnie dlatego, że wśród podejrzanych o to morderstwo był Jacek. Gdybym wierzył w przeczucia,

powiedziałbym, że już wtedy intuicyjnie zaniepokoiłem się tym układem okoliczności. Sam rozumiesz, w rezultacie od pierwszej chwili byłem uczulony na wszystko, co dotyczyło Jacka. Dlatego zapewne wcześniej od ciebie zauważyłem, pewne charakterystyczne dla tej sprawy cechy. Dość długo broniłem się przed narzucającymi się wnioskami. W końcu jednak musiałem skapitulować. Upewniłem się ostatecznie w Warszawie, gdy dowiedziałem się o terminie naprawy samochodu Jacka.

– I wtedy zdecydował się pan dać mu szansę honorowego załatwienia sprawy.

– Tak. Dałem mu do zrozumienia, że rozszyfrowałem przebieg wypadków.

– Ależ pan był nieostrożny, panie profesorze! Przecież wiedział pan już wtedy, że właśnie z tego powodu zginął Norski!

– Rzykowałem.

– Jak się okazuje, ryzykował pan sporo...

– Przypuszczałem, że pojmie, iż to już koniec gry.

– Ale on usiłował grać dalej.

– No cóż, wydawało mu się, że ma szansę. Za kilka dni miał wyjechać...

– Nigdy bym do tego nie dopuścił!

– Ba! Różnie to mogło być. Wiesz, jakie mechanizmy u nas czasem działają, a Jacek pocisnął wszystkie możliwe guziczki, żeby załatwić sobie sprawę wyjazdu do Kanady. Miał wysokie protekcje, nie zapomnij, że był wielką nadzieją polskiej matematyki i świadom był tego.

– Nic by mu to nie pomogło. Za daleko już zaszedłem.

– O tym nie mógł wiedzieć. Przecież przyjąłeś bez komentarza jego wersję uszkodzenia samochodu. Poza tym bardzo nikłe były szanse udowodnienia mu, że było inaczej. Żadnych faktów, żadnych świadków, same hipotezy... Trzeba przyznać, że dobrze rozegrał tę rozmowę z tobą.

- Znakomicie! Prawie dałem się nabrać.
- Widzisz. W jego ujęciu zatem sprawa musiała wyglądać tak: milicja szuka w dalszym ciągu wiatru, w polu, z tej strony przynajmniej przez jakiś czas nic mi nie grozi. Gdyby nawet – to nic mi nie mogą zrobić. Poszlaki to o wiele za mało. No, zapewne zaniepokoiło go to, że trafiłeś na tę sprawę z reperacją samochodu, ale po pierwsze, jego wersja była najzupełniej wiarygodna, po drugie – wybaczone – nie nazbyt wysoko cenił twoje śledcze umiejętności...
- Jak oni wszyscy. Chociaż myślę, że pan docent Budny zrewidował swoje poglądy na ten temat – roześmiał się kapitan, przypominając sobie uroczą scenkę w swoim gabinecie z udziałem Budnego i panny Alicji w roli głównej.
- Może. Choć wydaje mi się, że Budny nie lubi zmieniać raz już ustalonych poglądów na cokolwiek. Wracając do Jacka, z jego punktu widzenia jedynie ja stanowiłem przeszkodę. Ja, stary człowiek, który już przeżył swoje nie najkrótsze życie i który i tak za niedługi czas przyjmie na stałe pozycję horyzontalną... Gdybym ja zamilkł na zawsze wskutek nieszczęśliwego wypadku, nic by mu przez najbliższe dni nie groziło. A potem? Potem byłby bezpieczny. Kanada daleko stąd...
- Istnieje ekstradycja. Przesłębstwo kryminalne...
- Mój chłopcze! – roześmiał się profesor – chyba żartujesz. Natychmiast sam Jacek zrobiłby z tego sprawę polityczną. I dopiero skandal! Przecież on był już znanym naukowcem... Nie, nie, Jacek się nie mylił. Grał o wysoką stawkę. Gdyby mu się udało...
- Naturalnie nigdy by do kraju nie wrócił.
- Prawdopodobnie.
- Jeszcze jedno, panie profesorze. Jak sobie poradził z tym telewizorem? Pan go do siebie zaprosił?
- Nie. Celowo spotkałem się z nim na neutralnym gruncie. Zresztą niby przypadkowo. Jacek... no cóż, to była bardzo trudna rozmowa. Nie

przypuszczałem, bo naiwnością byłoby coś takiego zakładać, a więc nie przypuszczałem naturalnie, aby moje dość jasne do zrozumienia aluzje Wywołały efekt w postaci bicia się w piersi czy temu podobny. Jednak jego zachowanie trochę mnie zaskoczyło. Tylko na pierwsze słowa zareagował dość silnie. Potem był już całkowicie opanowany i jakby zupełnie nie pojmujący celu moich wywodów. Przyznam, podziwiałem go, bo to musiała być dla niego bardzo trudna chwila. Myślałem, że po prostu chce zachować twarz. Zresztą szybko skierował rozmowę na inny temat. Wspomniał o ojcu, o dawnych czasach, gdy jako dziecko asystował niekiedy przy naszych rozmowach. Pożegnaliśmy się. A po południu niespodziewanie wpadł do mnie, przynosząc mi swoją ostatnią publikację z serdeczną dedykacją. Przyjąłem to za szlachetny gest pożegnalny. Byłem wstrząśnięty...

– A w jaki sposób skłonił pana do opuszczenia pokoju? Bo domyślałem się, że o to tylko mu chodziło.

– Chciało mu się pić – spuścił głowę profesor – więc poszedłem do kuchni przygotować herbatę.

– To mu starczyło do zrealizowania swojego planu. Czy ktoś go u pana widział?

– Nie. Wyszedł krótko potem. Spieszył się, bo mówił, że przychodzą do niego goście z okazji wyjazdu do Kanady. Żegnając się, dał mi do zrozumienia, że więcej się już nie zobaczymy...

– Bo nie mieliście się już zobaczyć – parsknął kapitan – tylko że nie z powodu jego, a pana śmierci. Domyślałem się, że drugi wybuch tego wieczoru nastąpił, gdy pan, za moimi zresztą plecami – zaznaczył z grymasem kapitan – zatelefonował do Jacka. Bo to pan telefonował, prawda? Co pan mu powiedział?

– Tylko tyle, że żyję.

– Tym razem nareszcie pojął, że gra się skończyła.

– Tak, pojął i wyciągnął wnioski.

– A w rezultacie pewien kapitan milicji był zmuszony podpisać protokół o wypadku, o którym dobrze wiedział, że wypadkiem bynajmniej nie jest, ponadto musiał zniszczyć podpisany już nakaz aresztowania oraz odłożyć ad acta sprawę opatrzoną kryptonimem „Co lubią tygrysy”.

– Bardzo jesteś na mnie rozżalony, mój chłopcze?

– No, trochę. Ale nie tak bardzo jak w pierwszej chwili. Ostatecznie wygrał pan, profesorze, chociaż występ w roli amatora-detektywa o mało nie zakończył się dla pana tragicznie. Stanowczo na przyszłość będę ostrożniejszy w udzielaniu panu jakichkolwiek informacji... Znacznie lepiej, gdy śledztwo prowadzą powołane do tego czynniki. Przecież i tak, i tak Chomiński poniósłby zasłużoną karę, może nie tak straszną, bez wtrącania przez pana profesora swoich trzech groszy.

– Musiałem wtrącić się w tę sprawę, mój chłopcze. Bez względu na ryzyko uznałem, że tak należy, że jest to po prostu moim obowiązkiem.

– Ze względu na syna dawnego kolegi?

– Nie tylko. To, powiedziałbym, było wtedy już na drugim planie. Na pierwszym znalazły się – jak by to określić? – determinanty natury społecznej. Jestem, widzisz, człowiekiem starej daty. Dla mnie słowo „naukowiec” nie oznacza jedynie wysokiej klasy fachowca w swojej dziedzinie.

– Rozumiem – powiedział cicho kapitan. – Nie chciał pan dopuścić do skompromitowania w osobie Jacka tych wartości, które stale jeszcze przypisuje się waszej grupie. Czy to słuszne, panie profesorze? Rzeczywistość jest przeciwko panu...

– Tym gorzej dla rzeczywistości – zakonkludował z uśmiechem profesor i rozlał resztę koniaku do pękatek kieliszków.

KONIEC